

CZY TVN PRZEPROSI ZA KŁAMSTWA O JANIE PAWLE II?



TUSKA GRA Z POLEXITEM



PROF. GRZEGORZ GÓRSKI: III WOJNA JUŻ TRWA



BLAMAŻ CZY AWANS? POLSCY PIŁKARZE WALCZĄ O MUNDIAL

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

13 (695) 2026
23–29 marca 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



TYLKO U NAS

CZY ORBÁN PRZEGRA?

12 KWIETNIA ROZSTRZYGNIE SIĘ LOS WĘGIER, ALE NIE TYLKO. CZY VICTOR ORBÁN POLEGNIE W ZAŻARTYM BOJU Z PÉTEREM MAGYAREM, KTÓREMU DORADZAJĄ LUDZIE TUSKA?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

9 772544 269601 13

Numer w sprzedaży do 30 III 2026 r.

wPolsce 24

WIADOMOŚCI

codziennie
19:30
wPolsce 24

Najważniejszy program informacyjny w Polsce

Newsy, komentarze, opinie ekspertów



Piotr Pawelec

Marta Kielczyk

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Wszystkie rybki Tuska

Premier Donald Tusk kłamie. Zrobił z tego metodę polityczną. Więcej – on podąża za czasami, w których news żyje szybko i umiera młodo. By utrzymać się na powierzchni, musi więc kłamać coraz częściej i coraz mniej finezyjnie.

Od razu zaznaczę, że państwa nie pocieszę. Najprawdopodobniej nie spotka go za to kara, a im dłużej ów proceder będzie trwał, będzie mu łatwiej. Ale po kolei.

Miłościwie nam panujący „kierownik", były król Europy, jest dla mnie łaskawy. Odmładza mnie. Serio. Opowiadając o polexicie, daje mi wręcz wybór, czy chcę cofnąć się o kilka, czy kilkanaście lat. Bo przecież praktycznie co sezon słuchamy tej samej bajki, że prezes PiS Jarosław Kaczyński wyprowadza nas z Unii Europejskiej. W tym sezonie jest tylko jedna nowość, świeży „czarny charakter" w opowieści premiera. Prezydent Karol Nawrocki ma patronować planom „obu Konfederacji i większości PiS". W miejsce prezydenta wstawmy np. Andrzeja Dudę, a zamiast Konfederacji weźmy choćby Pawła Kukiza i mamy gotową baśń sprzed lat.

No, ale żeby połączyć te kropki, trzeba je znać. To w tym sensie Tuskowi będzie coraz łatwiej, bo przecież od pierwszego wyimaginowanego polexitu prawicy pojawiły się całkiem nowe pokolenia wyborców.

Dowodów na rzekomy polexit zawsze było sporo, ale ten sezon obfituje w intelektualne wodotryski ludzi Tuska jak mało który. Weto w sprawie lichwiarskiej pożyczki SAFE UE – wiadomo – wypychanie Polski ze Wspólnoty. Dyskusja o spekulanckim systemie ETS, który zwiększa nasze rachunki – prosta droga poza Unię. I tak dalej, i tak dalej...

Tusk jednak czuje, że sam polexit to może być za mało. Że to zgrana karta, że ktoś może się kapnąć, że łże. Podlewa więc rzekome wyjście z Unii Europejskiej sosem „prorosyjskości" zarówno PiS, jak i prezydenta Karola Nawrockiego. To już piramidalna bzdura, ale dopóki istnieją pracownicy mediów, które Tuska hołubią, będzie się to niosło i kiełkowało w mniej krytycznych umysłach.

Powiecie państwo, że przesadzam, że przecież nikt nie jest aż tak głupi. Otóż jest. Nawet nie sądziłem, że jest ich aż tylu. Pokazali się ostatnio przed pałacem prezydenckim. Wykrzykiwali różne hasła, wszystkie bez sensu, ale do poparcia swojego wywodu potrzebuję zacytować dwa z nich. „Za dwa lata przejmiemy władzę i będziemy mogli odrzucać weta". Hmmm... Naprawdę to powiedzieli. Przypominam, że mówimy o zwolennikach Tuska, który... rządzi. I drugie hasło. Można powiedzieć – klasyk: „Precz z Kaczorem dyktatorem". Może cytatów już wystarczy, bo to kompletna odklejka.

Dlatego Tusk może kłamać w coraz mniej wyrafinowany sposób. W tym zgromadzeniu jego zwolenników standardem jest pamięć jak u rybki akwariowej. Kto z nich go zapyta, jak prorosyjski może być człowiek, któremu ruscy zabili brata? Czy znajdzie się ktoś, kto powie, że moskiewskiemu układowi raczej nie może patronować ktoś, kto w Rosji jest ścigany listem gończym za burzenie sowieckich pomników? A teraz najtrudniejsze. Nawet dla starszych rybek, bo i takich sporo pływa w akwarium Tuska. Czy choć jeden z uczestników tego specyficznego „sanatorium miłości", które rozegrało się na Krakowskim Przedmieściu, zapyta: „Hej, premierze, jak to było z tym kontraktem gazowym? Czy to prawda, że wicepremier twojego rządu chciał w 2009 r. dać ruskim tyle, że nawet oni się dziwili polskiemu frajerstwu?".



Marcin Wikło

Autopromocja

eprasa.pl 9e5fa2ed64

SIECI spis treści



24 Wojna domowa Tuska
Stanisław Janecki



28 Spór o SAFE. Czy prezydent straci zaufanie wojska?
Piotr Gursztyn



49 Francuska atomowa chimera
Piotr Gontarczyk

NA POCZĄTEK

5 **PRZEZ PRYZMAT SAFE**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POLSKI PRZEMYSŁ DUSI SIĘ W ZIELONEJ PĘTLI**
Daniel Obajtek

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **OSZWABIENIE FRAJERÓW VEL KREDYTOWANE ZŁODZIEJSTWO**
Jan Pietrzak

12 **STRACHY MARSZAŁKA CZARZASTEGO**
Samuel Pereira

13 **KORZENIE INŻYNIERII SPOŁECZNEJ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA PAWŁA CIURA**
Michał Korsun

16 **WYSTAWA O ODWADZE I ODPOWIEDZIALNOŚCI**
Arkadiusz Mularczyk

17 **LITWO, OJCZYZNO MOJA…**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

18 **ORBÁN MA SZANSĘ UTRZYMAĆ WŁADZĘ**
Z Mihályem Rosonczy-Kovácsem rozmawia Jacek Karnowski

KRAJ

24 **WOJNA DOMOWA TUSKA**
Stanisław Janecki

28 **SPÓR O SAFE. CZY PREZYDENT STRACI ZAUFANIE WOJSKA?**
Piotr Gursztyn

31 **KTO WYPYCHA POLSKĘ Z UNII?**
Konrad Kołodziejski

34 **KOLEJNA BITWA O TRYBUNAŁ**
Jan Rokita

37 **CZY PRZEPROSZĄ ZA KŁAMSTWA O JANIE PAWLE II?**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

40 **PYTANIA O ZDOLNOŚCI NASZEGO KONTYNENTU DO OBRONY**
Marek Budzisz

43 **MIASTA W LEWO, PROWINCJA W PRAWO**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

46 **III WOJNA ŚWIATOWA JUŻ TRWA**
Z prof. Grzegorzem Górskim rozmawia Jerzy Szmit

49 **FRANCUSKA ATOMOWA CHIMERA**
Piotr Gontarczyk

52 **ARCYKAPŁAN LIBERALNEJ LEWICY**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

54 **MARCOWA PRZYMIARKA DO STANU WOJENNEGO**
Grzegorz Majchrzak

SIECI KULTURY

57 **OSCARY WYCHODZĄ Z KINA**
Jolanta Gajda-Zadworna

60 **CZEKAJĄC NA „SANTO SUBITO”**
Grzegorz Górny

62 **IRLANDZKA KREW, ANGIELSKIE SERCE**
Maciej Walaszczyk

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

SPORT

66 **BARAŻE TAK, BLAMAŻ NIE**
Michał Muzyczuk

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: TWÓRCY POLSKIEGO PLAKATU I ICH PRACE**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **GABRYNIA I REMIŚ**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **J-23 I…**
Ryszard Czarnecki

74 **BEZ GWARANCJI**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 9e5fa2ed64

BRONISŁAW WILDSTEIN

Przez pryzmat SAFE

Argumenty za i przeciw obu projektom SAFE (prezydenta i premiera) zostały już przedstawione. Przeglądają się w nich dwie fundamentalne postawy, których zderzenie wyznacza oś polityki w naszym kraju.

Po opuszczeniu prezydenckiego pałacu na konferencji prasowej premier Tusk przedstawił swoje stanowisko.

„Udało się mi w Europie załatwić wielkie pieniądze na obronę Polski" – entuzjazmował się. „Dzięki nim możemy być bezpieczni. Niestety powodowani partyjniackimi rachubami, walczący o swój, a nie o narodowy interes politycy PiS i ich reprezentant, prezydent, usiłują to zablokować. Ważniejsze jest dla nich, aby mój projekt się nie udał niż dobro państwa".

W streszczeniu tym mieści się autocharakterystyka polityki premiera. Jej istota to załatwiactwo. W tym, zgodnie z własną samoocenią, Tusk jest najlepszy i „nikt go w Europie nie ogra". A od dobrej woli jej przywódców i układów lidera rządu z nimi ma zależeć nasz los. Bruździ zły Kaczyński, który sam nic nie potrafi i nie liczy się w Unii, a wykorzystując ignorancję Polaków oraz posługując się swoimi marionetkami, w tym prezydentem Nawrockim, jest w stanie popsuć najlepsze dla naszego kraju rozwiązania.

Europejscy mocodawcy Tuska są dla Polski łaskawi. Trzeba tylko bez zastrzeżeń przyjmować to, co ofiarowują, bo darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, a łaskawcy mogą się rozmyślić. A to oznacza katastrofę: polexit, załamanie się polskiej gospodarki, oddanie nas w ręce Putina i utratę niepodległości. Wprawdzie i tak zależymy w pełni od UE, ale wcielenie do Rosji byłoby gorsze.

Idea III RP polega na totalnym wypłukaniu racjonalności z polityki. Tusk jest tego doskonałym rzecznikiem. Nie wolno nam analizować alternatywnych rozwiązań i projektów, strategii oraz taktyki, bezdyskusyjnie mamy oddać się światłym przywódcom, którzy będą nas modernizować oraz europeizować, naturalnie nad naszymi głowami.

Na żadną formę podmiotowości Polaków nie stać i optymalne, co możemy osiągnąć, to przynależność do UE, której zarządcom mamy bez reszty powierzyć swoją egzystencję, bo są mądrzejsi i najlepiej zadbają o nasze sprawy. Nie wolno kwestionować ich decyzji, gdyż mogą się rozgniewać i nas wyrzucić. Na swoich przywódców wybierać musimy tych, którzy są najlepiej widziani w Brukseli, czyli Berlinie, bo w innym przypadku Polskę ominie manna z unijnego nieba i spotka zasłużona kara.

W tej wersji polityka staje się bezrozumna i absolutnie spersonalizowana. Po to, aby taką jej wersję udało się narzucić Polakom, trzeba oddzielić ich od realności opiniotwórczym kordonem. Dlatego ze strony establishmentu taką furię wywołują niezależne media, które sieją „mowę nienawiści". Walka z nią jest uzasadnieniem cenzury, która ma nie dopuścić do obiegu publicznego treści kwestionujących liberalne *status quo*.

Uczestnicy wspomnianej konferencji zostali właściwie wyselekcjonowani, toteż pytania dotyczyły wyłącznie skali kompromitacji prezydenta w wypadku weta, pustki jego propozycji oraz nieogarnionych korzyści, jakich dostąpimy, przyjmując europejski projekt SAFE. Nikt nie podniósł zagrożeń z nim związanych. Nikt nie konfrontował zapewnień Tuska, że w prezydenckiej propozycji nie ma konkretów, z wyjaśnieniami prezesa NBP wskazującego, iż radykalny wzrost ceny złota, które NBP nabył ostatnio, powoduje, że można sprzedać jego część bez uszczuplenia niezbędnych rezerw i w ten sposób uzyskać fundusze na polską obronność bez zadłużania się i uzależniania od Brukseli.

Propagandę Tuska w stanie czystym zademonstrowała TVP w likwidacji. Bezpośrednio po orędziu prezydenta (TVP ustawowo musi je transmitować) dziennikarka publiczna z rzecznikiem prasowym premiera zgodnym chórem opowiadali o narodowej zdradzie – tak, tak, tymi słowy – Nawrockiego. Zabieg ten nosił znamiona przestępstwa, gdyż zobowiązanie TVP obrócił w jego zaprzeczenie, nie mówiąc już o oszczerstwach rzucanych na głowę państwa.

Odbiorcy dominujących w Polsce ośrodków opiniotwórczych nie dowiedzą się niczego o klauzuli warunkowości; o niekompatybilności uzbrojenia, które mamy kupować, z tym już nabytym; o tym, że polskie firmy nie są w stanie dostarczyć potrzebnego nam sprzętu, a na sprzęt europejski czekać będziemy nie wiadomo jak długo; że to Bruksela (czytaj: Berlin) kontrolować będzie nasz militarny potencjał; że kontrakt wystawia nas na ryzyko płynnego kursu walutowego ani o innych obciążeniach Tuskowego SAFE. Dowiedzą się, że prezydenckie weto zatrzyma wielkie pieniądze, które zapewnić mają nasze bezpieczeństwo. Zresztą duża część kontraktu w Polsce została utajniona, inaczej niż to ma miejsce w innych krajach.

Nie musimy znać warunków, musimy śpieszyć się z podpisywaniem tego, co nam zaproponowano, bo łaskawcy z Brukseli mogą się rozmyślić.

Rewersem narzucanej nam żebraczo-niewolniczej postawy jest nienawiść do wszystkich, którzy jak prezydent odsłaniają ją i odrzucają. To warunek władzy Tuska.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Sygnalista nadaje

W bieżącym numerze tygodnika naszą rubrykę sponsoruje słowo „polexit". W tym tygodniu padło ono z ust premiera Donalda Franciszka Tuska 2807 razy. To o 70 razy więcej niż w poprzednim, ale 44 razy mniej niż w analogicznym tygodniu ubiegłego miesiąca. W skali roku odnotowano tendencję zwyżkową o 53 razy w porównaniu z pierwszą połową marca 2025 r. Analitycy przewidują dalszy wzrost używania słowa „polexit". PS Jeśli chodzi o premiera, to mamy pytanie do szanownych czytelników: usłyszeliśmy ostatnio fajne określenie – „najwyższy przywódca". Po angielsku brzmi jeszcze lepiej – „supreme leader". A „premier" brzmi nie dość, że banalnie, to jeszcze na dodatek ten tytuł jest zhańbiony tym, że nosili go tacy straszni ludzie jak Kaczyński, Morawiecki i Szydło. Czy nie czas odejść od tego niedemokratycznego określenia na rzecz takiego, które oddaje wielkość Donalda Franciszka? Supreme Leader Tusk – tak chyba będzie lepiej! Zbierajcie podpisy, wpisujcie miasta!

Jedocześnie wyrażamy nasze poparcie dla decyzji premiera Donalda Franciszka o niewysłaniu polskich lotniskowców do Zatoki Perskiej. Potępiamy agresję amerykańskiej soldateski na praworządny lud Iranu. Teheran–Warszawa – wspólna sprawa! To bardzo dobra decyzja, szczególnie w świetle tego, że nasz flagowy lotniskowiec ORP Biedrzycka powinien przejść kolejny face lifting, zanim go gdziekolwiek poślemy. Np. na Grenlandię, gdzie będzie bardziej potrzebny.

Swoje osiągnięcia statystyczne ma też minister ds. rozliczeń ***Żurek Waldemar***: w bieżącym miesiącu plan B został ogłoszony już 24 razy. To pobicie poprzedniego rekordu – w lutym minister Żurek zapowiadał 23 plany B. Minister idzie jak burza, ogranicza go tylko liczba liter w alfabecie. W najbliższym czasie przewidziane jest ogłoszenie planu C. W kolejnych miesiącach planów D, E, F, aż do Z, Ź, Ż.

Takich osiągnięć nigdy nie mieli nieudacznicy z PiS. 48,5 mld zł – tyle w dwa miesiące rząd premiera Tuska osiągnął w dziedzinie deficytu budżetowego. Przeganiamy takie potęgi gospodarcze jak Japonia, Niemcy, Francja, Wielka Brytania i wiele innych. PiS tak nie potrafiło. Robimy, nie gadamy.

Kolejny sukces gospodarczy rządu. Premier Donald Franciszek obiecał (a u niego jedna obietnica cenniejsza niż 100 konkretów), że zainwestuje bilion złotych w energetykę. To już drugi bilion. A to dlatego, że zainwestowanie biliona premier obiecał także we wrześniu ub.r. Czekamy na trzeci bilion, bo apetyt rośnie wraz z inwestowaniem i obiecywaniem.

Słuszną linię ma nasza władza. Media donoszą o naciskach na przystawki, aby dołączyły do głównego nurtu i zgodziły się na wspólną listę wyborczą w 2027 r. Zgodzą się! To, iż teraz mówią, że nie, jest tylko kokieterią. Ale jest tu jeszcze jedna ważna sprawa: do wspólnej listy trzeba dołączyć Sławka Mentzena i Grześka „Hare Krishna" Brauna. Może pewne tematy różnią ich od Koalicji Obywatelskiej, ale zgadzają się w zasadniczej sprawie. Czyli w tym,

eprasa.pl 9e5fa2ed64

że stale trzeba nawalać w PiS. Pod tym względem zawsze można na nich liczyć.

Krok w dobrą stronę. Europejską, unijną i inkluzywną. Na razie tylko jeden, ale żądamy następnych. Ministra ***Barbara Nowacka*** nakazała, aby bachory w podstawówkach nie czytały książki o dziwnym tytule „Pan Tadeusz” (słyszeliście w ogóle o niej?). To jakaś pisowska literatura propagandowa, bo ministrę atakują za jej decyzję sami prawacy. Szkoda, że Baśka jest zbyt miękka i zostawiła obowiązek czytania tej faszystowskiej książki w szkołach średnich. Znane nam demokratyczne i prounijne dzieci oraz młodzież na szczęście nie są zbyt przesadnie skłonne do jakiejkolwiek lektury. Niestety są osoby uczniowskie, które nadal czytają i one będą narażone na treści zawarte w tego typu książkach. A potem zdziwienie, że młodzież nie chce głosować na Rafała, tylko woli jakiegoś Nawrockiego z Gdańska.



Ufamy premierowi, więc spokojnie reagujemy na doniesienia, że Baśka Nowacka ma zostać zrekonstruowana. Ale nie kosmetologicznie, bo to już zrobiła, lecz politycznie. Ma przestać być ministrą. Może to i dobrze, bo wtedy osobą ministerską ds. nieuctwa zostanie Staszek Lubnauer. Czyli postać równie legendarna. Zrekonstruowane mają zostać też dwie inne osoby ministerskie. Jedna, która ma dwa nazwiska, ale których nikt nie pamięta, a jest ministrą ds. zamykania szpitali, porodówek i wprowadzania limitów na leczenie. Bardzo dobrze, że poleci, bo tempo zamykania szpitali ciągle jest zbyt wolne. Zwłaszcza w rejonach Ten Kraju, które głosują na PiS. No i znakomita wiadomość dla Ciechanowa. Uwaga! Wraca do was Marta Cienkowska. Przestanie być osobą ministerską ds. kultury. Z jakiego powodu? Nie wiadomo. Tak samo jak nie wiadomo, z jakiego powodu została ministrą.



Rząd chce przejąć Trybunał Konstytucyjny. Słusznie. To bardzo dobra miejscówka w centrum Warszawy. Obok mieszka Monika Olejnik. Szkoda, że taka działka się marnuje. Niejeden deweloper czuł okropny ból serca, przejeżdżając Al. Szucha. Czas, aby rząd to zmienił. Dobrze by było wybudować tam ekskluzywny apartamentowiec o jakiejś ekologicznej nazwie. Z jednej strony blisko do kancelarii premiera, z drugiej Radek miałby bliziutko do roboty. Tylko przez ulicę, choć on i tak woli pracować zdalnie. Podobnie jak premier. Bo wszędzie dobrze, ale w rezydencji najlepiej.



Jeśli chodzi o inne sądy, trzeba zrobić podobnie. To znaczy zamknąć, a działki sprzedać deweloperom. Bo po co te sądy, skoro nie służą praworządności (tak jak ją my rozumiemy)? Oto najbardziej wstrząsający przykład: sposób, w jaki jest traktowany w sądach wybitny autorytet moralny, postać krystalicznie czysta i uczciwa, czyli mecenas poseł ***Roman Giertych***. Padł ofiarą zbrodni sądowej! Takiej jak z czasów pisowskiej okupacji. Najpierw przegrał w sądach wszystkich instancji sprawę, którą wytoczył portugalskiej skrajnej prawicy, czyli Samuelowi Pereirze. A teraz cztery razy przegrał z posłem PiS Jabłońskim. Kochani, nie o taki Ten Kraj walczyliśmy 15 października (i 13 grudnia), żeby dochodziło do takiej niesprawiedliwości.

Są też krzepiące zdarzenia w tematyce praworządności: typ z prokuratury, niejaki Drelewski, który prześladował inną postać demokratyczną o kryształowej uczciwości, ponosi konsekwencje swych zbrodni. To ten, co ścigał uosobienie bezinteresowności i altruizmu Sławomira Nowaka za jakieś głupie 6 mln zł, które miał wziąć jako łapówki od ukraińskich oligarchów. Absurdalne podejrzenie, że Sławek połasił się na takie ochłapy. Zwłaszcza że na Ukrainie panują inne standardy, jeśli chodzi o korupcję, a należy szanować odmienności kulturowe. Tam, jeśli oligarcha daje jakiś symboliczny prezent, jest wielką niegrzecznością odmowa jego przyjęcia. Tak więc teraz prokurator Drelewski dostanie dyscyplinarkę za działania antydemokratyczne. Kara musi być surowa, bo kiedyś to on prześladował także inną wybitną postać, osobę niebinarną i aktywistyczną – Margot.

Zaprzeczamy pogłoskom, że KOD wymarł. Kilka osób jeszcze żyje, a nawet samodzielnie chodzi (choć niektórzy z balkonikami). Dowodem na to jest manifestacja pod pałacem prezydenckim okupowanym przez tego Nawrockiego z Gdańska. Manifestacja pod hasłem „Chcemy być SAFE”. Obecna była też młodzież, a konkretnie osoba aktorska Joanna Szczepkowska i sędzia mgr Jerzy Stępień (dla przyjaciół „Profesor”).

Uwaga! Chcecie mieć swoje pięć minut i wystąpić w jakiejś dużej telewizji? Jest sposób: zapiszcie się do PiS, a potem skrytykujcie tę partię w jakiejś ważnej aktualnie sprawie, np. SAFE albo polexit. Gwarantujemy wam zaproszenie do TVN24, a może nawet TVP w nieustającej likwidacji. Bliższe szczegóły poda pan Włosowicz z Kielecczyzny. Nie słyszeliście o nim? My też nie. W sumie nikt o nim wcześniej nie słyszał, ale ostatnio to on wypróbował ten sposób. I to działa.

Fot. RMF FM, Andrzej Wiktor, M. Czutko

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Polski przemysł dusi się w zielonej pętli

Kiedy patrzę na to, co się dzieje wokół unijnego systemu handlu emisjami EU ETS, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Bruksela żyje w zupełnie innej rzeczywistości niż my, Polacy. Tam, w gabinetach z widokiem na Place du Luxembourg, Ursula von der Leyen i jej ekipa wciąż powtarzają mantrę o „ratowaniu planety", dodając coś nieśmiało o „korekcie". Tymczasem u nas rachunki za prąd rosną, przemysł traci konkurencyjność, a zwykli ludzie zastanawiają się, czy w przyszłym sezonie grzewczym nie będą musieli wybierać między ogrzewaniem a jedzeniem. ETS nie jest abstrakcyjną dyrektywą – to cichy zabójca, który co roku wyciąga z polskiej gospodarki 35 mld zł. A kiedy darmowe uprawnienia się skończą, będzie blisko 48 mld zł. I to wszystko w imię religii klimatycznej, którą sama szefowa Komisji pomyliła z przyrodą.

Nie mówię tego z powietrza. Przez lata, zmieniając ORLEN w multienergetycznego giganta, widziałem na własne oczy, jak te unijne opłaty przekładają się na realne koszty. Podnoszą cenę prądu o jedną trzecią, a ETS2 – ten nowy podatek od ogrzewania domów i paliwa do aut – ma wejść w 2028 r. i podbić ceny gazu o 30 proc., węgla o 50 proc., a benzyny o 50 gr na litrze. Pięciokrotne podwyżki w perspektywie kilku lat? To nie prognoza katastrofy – to fakt, który już dziś widzą Niemcy z BASF, Czesi, Słowacy, Austriacy, Włosi i nawet niskoemisyjni, bo atomowi Francuzi. Wszyscy zaczynają mówić: „Dość tego szaleństwa". Tylko w Warszawie... no właśnie.

Obecny rząd, zamiast twardo powiedzieć „nie" w Brukseli, szuka „polskich rozwiązań" w unijnej biurokracji. Przed szczytem Rady Europejskiej Donald Tusk deklaruje, że będzie się domagał „korekt" i „zmian". Szlachetne, prawda? Tylko że jednocześnie opowiada bajki, że z ETS nie da się wyjść ani go zawiesić. A Zjednoczona Prawica od lat mówi głośno i wyraźnie: „System ETS należy zawiesić!". Napisał o tym wprost w liście do von der Leyen Mateusz Morawiecki, przekonując, że to gospodarcze samobójstwo Europy, że czas zakończyć ten eksperyment. I ma rację. PiS od początku było konsekwentne – walczyliśmy z tym unijnym haraczem, kiedy KO klaskała w rytm zielonego marszu Fit for 55. To oni popierali ETS2, to oni bronili ideologii, która dziś dusi polski przemysł i portfele.

Na szczęście nie wszyscy w Polsce śpią. Prezydent Karol Nawrocki wysłał do premiera list, który powinien być lekturą obowiązkową w każdym gabinecie przy Wiejskiej. Najbardziej racjonalne rozwiązanie? Całkowite odejście od ETS. W punkt. Jeśli nie da się od razu, to głęboka reforma – opłata zastępcza zamiast umarzania uprawnień, mechanizm cenowy jak na Market Stability Reserve, wykluczenie spekulantów-finansistów z rynku, utrzymanie darmowych uprawnień dla przemysłu i całkowita rezygnacja z ETS2. To nie jest kapitulacja przed Brukselą – to kontratak w interesie Polaków. Prezydent mówi wprost: 20 lat tego systemu wystarczy, by ocenić, że on nie działa. Hamuje rozwój, deindustrializuje Europę i zostawia nas z rachunkami, które płacimy my, a zyski zgarniają spekulanci.



Obecny rząd, zamiast twardo powiedzieć „nie" w Brukseli w sprawie ETS, szuka „polskich rozwiązań" w unijnej biurokracji

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z czerwca 2025 r. dał nam narzędzie – procedura przyjęcia ETS była niezgodna z polską konstytucją. PiS już przygotowuje ustawę o wyjściu. To nie populizm, jak próbują nam wmówić w mediach głównego nurtu. To logika. Zawieszenie ETS natychmiast obniżyłoby ceny energii o minimum 30 proc. – policzyliśmy to wielokrotnie w Parlamencie Europejskim. A Tusk zamiast tego oferuje komunały i puste obietnice – to nawet nie plasterek na krwawiącą ranę po unijnym nożu. „Polskie rozwiązania"? Brzmi pięknie, ale pachnie kolejną kapitulacją. Bo kiedy Bruksela każe, rząd Tuska salutuje, a Polacy płacą.

Patrzę na to z perspektywy kogoś, kto przez lata walczył o polską energetykę niezależną od Rosji i unijnych ideologów. Budowaliśmy flotę gazowców, zwiększaliśmy wydobycie, dywersyfikowaliśmy. Dziś to wszystko jest zagrożone przez ETS, który nie chroni klimatu – on tylko transferuje pieniądze z naszych kieszeni do unijnych funduszy i chińskiego przemysłu OZE. Inne kraje już się budzą. Francuzi zaczynają głośno narzekać, Niemcy widzą, jak ich przemysł ucieka za ocean. A my? My mamy szansę być liderem tej kontrrewolucji.

Prezydent Nawrocki i Mateusz Morawiecki pokazali kierunek – zawieszenie, reforma, a najlepiej wyjście. PiS konsekwentnie stał po stronie polskiej racji stanu – wbrew Brukseli, wbrew zielonym fanatykom i wbrew tym, którzy wciąż wierzą, że UE wie lepiej, jak Polak ma ogrzewać dom. Czas, by rząd przestał klaskać i zaczął działać. Bo inaczej nie będzie to już tylko ETS. To będzie zielona pętla na szyi polskiej gospodarki.

Daniel Obajtek

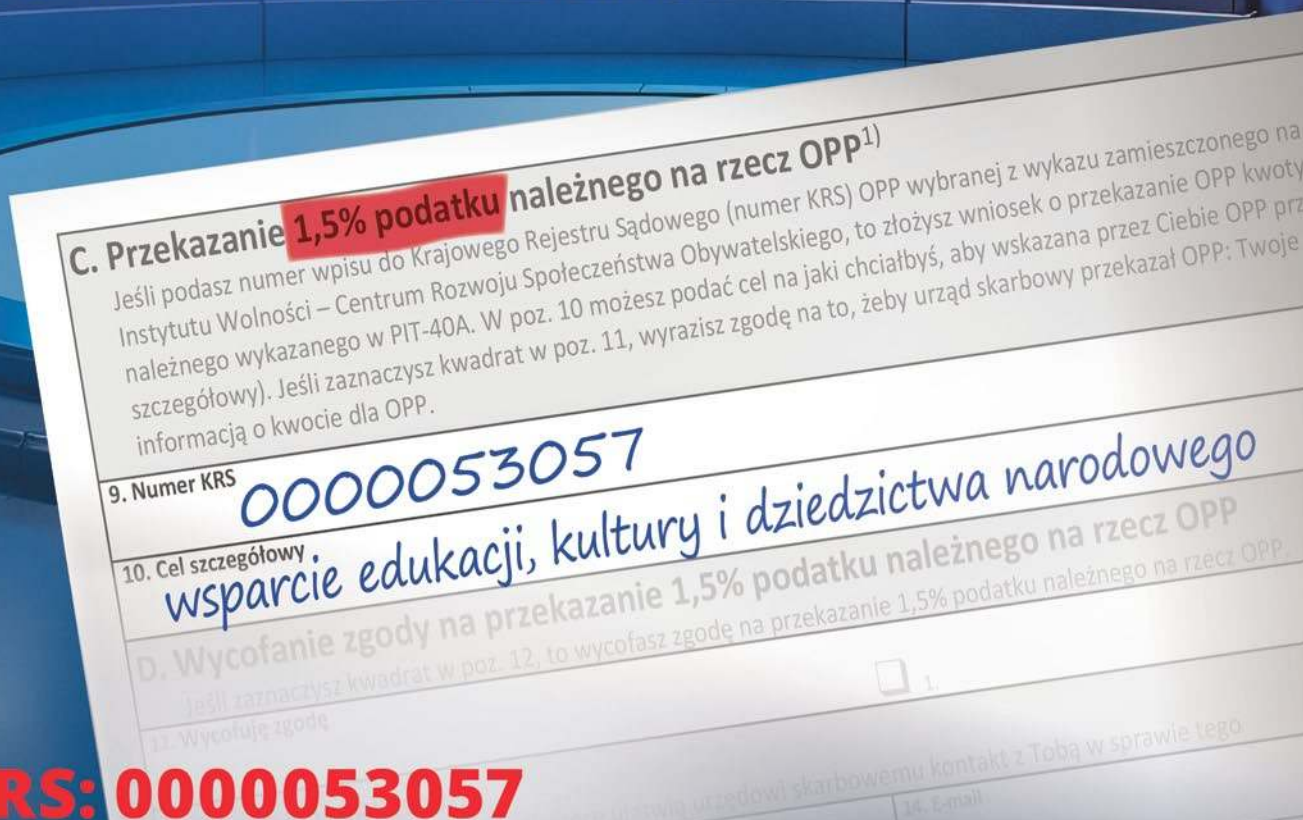
Reklama | 02/0225/F/ZAL
Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 9e5fa2ed64

wPolsce 24

Rozliczasz PIT?

Przekaż 1,5% podatku i pomóż nam tworzyć polskie media



KRS: 0000053057

Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

Cel szczegółowy: **wsparcie edukacji, kultury i dziedzictwa narodowego**

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Gołąb i lis zamiast Churchilla i Austen



Brytyjska fauna zastąpi postacie historyczne na kolejnej serii banknotów emitowanych przez Bank of England. Jeszcze w tym roku znikną z nich osoby ważne dla brytyjskiej historii, zastąpione motywami przyrodniczymi. Oczywiście odpowiednie wzory wybiorą nieomylni „eksperci", w tym czarny aktywista Nadeem Perera pochodzenia jamajsko-cejlońskiego.

Na pomysł podmiany tematyki budującej dotąd brytyjską tożsamość wpadł Bank Anglii. W lipcu ub.r. przeprowadzono tzw. konsultacje społeczne, w których wzięło udział 44 tys. respondentów. Za wizerunkami zwierząt i roślin miało się opowiedzieć 60 proc. badanych. Zastąpią one m.in. pisarkę Jane Austen, matematyka Alana Turinga, a przede wszystkim premiera Winstona Churchilla, za pozostawieniem których głosowało tylko 38 proc. pytanych. W głosowaniu przepadły także motywy przedstawiające architekturę i zabytki (56 proc.) i nawiązujące do brytyjskiej sztuki, kultury i sportu (30 proc.).

Wspomniany już Perera tłumaczy, że brytyjska przyroda jest częścią kultury. „Znajduje się w naszych herbach futbolowych i folklorze" – mówi aktywista, podkreślając, że należy zmienić postrzeganie „źle rozumianych" zwierząt. Na nowych banknotach znajdą się więc podobizny m.in. gołębi, mew i lisów. Do kompletu brakuje tylko wróbli, myszy i szczurów.

Bank Anglii nie będzie pierwszym w Europie, który w miejsce postaci budujących narodową tożsamość postanowił umieścić neutralne motywy przyrodnicze. Na tych emitowanych w Szkocji już jakiś czas temu pojawiły się makrele, wydry i wiewiórki. Z kolei Europejski Bank Centralny rozważa projekty z europejskimi ptakami i rzekami, aby całkowicie zmienić graficzny i symboliczny wizerunek europejskiej waluty. Towarzyszy temu wypracowana przez odpowiednich „ekspertów" argumentacja klimatyczno-ekologiczna.

Nie ma jednak wątpliwości, że to wizerunki władców, umieszczane najpierw na bitych przez nich monetach, a potem także na banknotach, są narzędziem budowania pamięci historycznej, legitymizacji państwa i kształtowania tożsamości narodowej. Władca jest łatwo rozpoznawalnym symbolem ciągłości władzy, niepodległości – nawet jeśli państwo w formie monarchii już nie istnieje. Banknot jest jego ruchomą wizytówką, zawiera zwięzłą narrację i pozostaje nośnikiem edukacji historycznej. Jasne jest więc, że lewica pragnie wymazać tę narrację.

Maciej Walaszczyk



Czas na zmianę kursu

„Wolność, wolność!" – mieli skandować mieszkańcy 70-tysięcznego miasteczka Morón na wschodzie Kuby. Wszystko zaczęło się po kolejnej, tym razem aż 30-godzinnej przerwie w dostawach prądu. Manifestanci starli się z policją, a następnie przystąpili do szturmu na miejscowy komitet partii komunistycznej. Wdarli się do budynku, próbowali go podpalić, a na koniec wyrzucili z drugiego piętra na ulicę meble i papiery.

Według Cubalex, amerykańskiej organizacji zajmującej się prawami człowieka, liczba protestów na Kubie wzrosła z 31 w styczniu do 60 w lutym i 130 w pierwszej połowie marca. Opór rośnie, bo kraj pogrąża się w zapaści. Brakuje nie tylko energii elektrycznej. Nie ma również lekarstw, nie funkcjonuje komunikacja, śmieci nie są wywożone, a głodowe wynagrodzenia nie wystarczają na zaspokojenie podstawowych potrzeb.

Obrazu tej katastrofy dopełnia kryzys paliwowy. Wcześniej dostawy ropy na wyspę zapewniała Wenezuela, ale po aresztowaniu przez Amerykanów Nicolása Maduro import się skończył. Kubański reżim nie może też liczyć na Meksyk, bo administracja Donalda Trumpa wymusiła na tym państwie wstrzymanie dostaw. W efekcie z powodu braku paliwa władze musiały zawiesić połączenia lotnicze, co spowodowało utratę ostatniego źródła twardej waluty, jakim był sektor turystyczny. Na budowę luksusowych hoteli zarządzanych przez firmę powiązaną z siłami zbrojnymi wydano miliardy dolarów. Dziś stoją one puste. Na dodatek administracja Trumpa zaczęła wywierać presję na kraje sojusznicze, które – tak jak Włochy – zatrudniają kubańskich lekarzy, aby zrezygnowały z tej formy współpracy z reżimem.

Presja najwyraźniej zaczyna działać. Reżim rozpoczął – najpierw nieoficjalne, a teraz już jawne – rozmowy z Waszyngtonem. Uczestniczy w nich 94-letni Raúl Castro, żyjący brat Fidela oraz jego wnuk Raúl Guillermo Rodríguez Castro. Jest on podpułkownikiem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie ma odpowiadać za ochronę swojego dziadka, ale wiadomo też o jego związkach z „gospodarczym ramieniem" armii.

Pierwszym efektem rozmów jest uwolnienie grupy 51 więźniów politycznych, a kolejnym – zapowiedź nowego podejścia do kubańskiej diaspory, która ma zyskać możliwość inwestowania na wyspie. Wydaje się więc, że proces zmian został uruchomiony. Nie wiadomo jednak, czy doprowadzi to do upadku dyktatury.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x4

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Religijne przebudzenie

Brazylia

Gwałtownie rosnąca popularność wyznań protestanckich w Brazylii może mieć znaczący wpływ na wyniki tegorocznych wyborów prezydenckich w tym kraju. Pobudzeni religijnie wyborcy, zwłaszcza młodzi, chcą bowiem oddać swoje głosy na kandydata prawicy Flávia Bolsonaro.

To syn byłego prezydenta Jaira Bolsonaro, który w 2025 r. został skazany na 27 lat więzienia za usiłowanie zamachu stanu. Oskarżenie opierało się na bardzo niepewnych podstawach i miało charakter politycznej zemsty. Nie ma więc wątpliwości, że jeśli Flávio Bolsonaro zdoła pokonać w wyborach obecnego lewicowego prezydenta Luiza Lulę da Silvę, to Jair wyjdzie na wolność. A szanse na to są coraz większe.

Popularność kandydata prawicy rośnie bowiem wraz z poziomem religijności w Brazylii, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Tradycyjnie katolickie państwo podobnie jak większość krajów chrześcijańskich przez kilkadziesiąt lat zmagało się z falą sekularyzacji napędzaną w Ameryce Łacińskiej ogromnymi nierównościami społecznymi. Tego procesu nie zahamowała teologia wyzwolenia będąca w uproszczeniu karkołomną próbą wpisania katolicyzmu w ideologię marksistowską. Niektórzy twierdzą, że to jeszcze pogłębiło kryzys Kościoła katolickiego.

Jednak próżnię pozostawioną przez słabnący katolicyzm wypełniły – ku irytacji liberalnej lewicy – importowane ze Stanów Zjednoczonych wyznania protestanckie z zielonoświątkowcami na czele.

W tej chwili – głównie za sprawą mediów społecznościowych – obserwuje się w Brazylii gwałtowny wzrost religijności, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. W grupie wiekowej 18–34 lata udział protestantów wynosi aż 30 proc. – najwięcej w całej Ameryce Łacińskiej. Dla porównania w Argentynie i Peru jest to 19 proc.

Co ciekawe, wzrost religijności dotyczy również Kościoła katolickiego, który – jak się zdaje – zdołał przezwyciężyć wieloletni kryzys. Ma to konsekwencje dla mocno spolaryzowanej brazylijskiej sceny politycznej, gdzie sympatie elektoratu przesuwają się w prawą stronę. Według danych z 2022 r. ponad trzech na czterech protestanckich wyborców poniżej 30. roku życia określało się jako konserwatyści (tak samo połowa katolików). Dotyczy to również kobiet.

Młodzi protestanci są w tej chwili głównym zapleczem wyborczym kandydata prawicy – tak jak było w przypadku Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych. Jednak są też znaczące różnice. W Brazylii za konserwatystów uważają się najczęściej osoby o niższych dochodach i rasie innej niż biała. Pokazuje to klęskę liberalnej lewicy w walce z powszechnym ubóstwem i wykluczeniem społecznym. Pozbawieni perspektyw młodzi ludzie mogą wystawić jej za to rachunek.

Konrad Kołodziejski



Proces stulecia do powtórki

Watykan

Kiedy w grudniu 2023 r. kard. Angelo Becciu został skazany przez watykański sąd na 5,5 roku więzienia za oszustwo i defraudację, media pisały, że największa afera finansowa w historii Stolicy Apostolskiej dobiegła końca. Niedawno Sąd Apelacyjny Państwa Watykańskiego unieważnił jednak ów wyrok. Uznano, że proces w pierwszej instancji był przeprowadzony nierzetelnie: zostały pogwałcone gwarancje proceduralne, a oskarżony nie miał skutecznego prawa do obrony.

Główną przyczyną zakwestionowania wyroku były cztery reskrypty, które w trakcie śledztwa podpisał Franciszek. Zmieniały one przepisy karne Państwa Watykańskiego dotyczące sprawy Becciu, nadając promotorowi sprawiedliwości (prokuratorowi) uprawnienia, jakich nie przewidywało do tej pory prawo kanoniczne. Wyposażona w nowe prerogatywy prokuratura sięgnęła podczas dochodzenia po środki, o których nikt w Watykanie nie miał pojęcia, ponieważ wspomniane dokumenty zostały utajnione. Dopiero w trakcie procesu wyszło na jaw, że papież podpisał reskrypty, które stały się źródłem prawa, pozostały jednak zatajone przed oskarżonym i obrońcami. Sąd Apelacyjny unieważnił więc wyrok, uznając, iż podważona została zasada legalności w procesach karnych.

Na dodatek watykańska prokuratura wszczęła postępowanie w sprawie składania fałszywych zeznań i przekupstwa w kontekście procesu kard. Becciu. Główną podejrzaną jest była pracownica Państwa Watykańskiego Francesca Chaouqui, która miała przekupić głównego świadka oskarżenia, ks. Alberta Perlascę (kiedyś bliskiego współpracownika kard. Becciu), aby ten obciążył purpurata fałszywymi zeznaniami. Dowodem są m.in. podsłuchy rozmów telefonicznych, z których wynika, że Chaouqui zapłaciła mu za to 30 tys. euro. W jednej z ujawnionych przez media rozmów powiedziała: „Jeśli dowiedzą się, że zawarliśmy układ, proces zostanie odwołany". Może się więc okazać, że Becciu jest niewinny, choć został już ukarany przez Franciszka odebraniem przywilejów kardynalskich, w tym prawa udziału w konklawe.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 9e5fa2ed64

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Oszwabienie frajerów vel kredytowane złodziejstwo



Jan Pietrzak

Jeżeli władza może nieustannie bezkarnie kłamać, to znaczy, że ma prawo hurtowo okradać frajerów. Te odstępstwa od moralnej normy są ze sobą ściśle powiązane. Ilość kłamstw wylewających się z mediów na polskie głowy jest tak przytłaczająca, że demoluje fundamenty życia społecznego. Nie zapominajmy, że same media też w dużym procencie są ukradzione.

Najgłośniejszy w ostatnich tygodniach przykład to próba oszwabienia (jest takie staropolskie słowo) kilku pokoleń Polaków pod pretekstem ich uzbrojenia. Przygnębiająca jest liczba rodaków, którzy popierają tę akcję. Zaślepienie niepozwalające odróżnić oszustów od przyzwoitych, rzetelnych urzędników, polityków rozumiejących, „co tu jest grane". Zwracam uwagę, że ekipa rządowa, która desperacko chce Polskę „dozbroić", to ci sami „obywatelscy" miglance, którzy kilkanaście lat temu radykalnie rozbrajali i miniaturyzowali Wojsko Polskie. Likwidacja wszystkich garnizonów po wschodniej stronie Wisły była strategicznym aktem oddania połowy Polski ewentualnym gościom ze Wschodu – projekt marsz. Kulikowa z jeszcze dawniejszych lat. W tamtym momencie całe nasze siły zbrojne mieściły się na jednym stadionie. O sprzeciwie nikt z nich nie myślał. Rząd kochał Rosję taką, jaka ona jest. Uzbrojenie naszej armii stanowiły przypadkowe resztki Układu Warszawskiego, rozsypane bez ładu i składu pod dowództwem generałów i pułkowników też z przypadku. Minęły lata, do władzy znowu dorwała się zgrana ekipa sprzed 2015 r.... i co nam tu wyprawia?

Trwa operacja specjalna Unii Europejskiej pod kryptonimem SAFE. Chodzi o to, jak dyskretnie okraść Polskę pod pretekstem kredytu. To nie są miliardy przeznaczone na nasze uzbrojenie, lecz na niemiecki (głównie) przemysł i francuskie (przeważnie) banki. Po wecie prezydenta Nawrockiego ten chytry skok został zdemaskowany. Szloch i wycie dobiegały z europejskich salonów długo w nocy.

Premier Tusk w ataku furii ogłosił, że prezydent stracił okazję, by zachować się jak patriota. Dobre sobie! Kalka powiedzonka prezydenta Chiraca o Polakach, którzy stracili okazję, by siedzieć cicho! Niestety sytuacja jest zbyt skomplikowana, byśmy siedzieli cicho. Ponieważ patriotyzmy mają różne imiona. Aż dziw, że takie rzeczy trzeba wyjaśniać pustym łbom. Nie wszystko, co z powodu patriotyzmu podoba się Niemcom, musi się podobać Polakom. Sytuacja jest mocno rozczarowująca.

Po latach nadziei na racjonalną współpracę w ramach Unii Europejskiej Niemcy postanowili nam pokazać, kto tu rządzi. Żałosne nieudolne próby reaktywacji pruskiego drylu są skazane na porażkę. My mamy do rozstrzygnięcia dylemat, czy chcemy brać udział w niemądrym, brukselskim auto da fé, czy iść własną drogą! Panowie politycy – do dzieła!

Strachy marszałka Czarzastego



Samuel Pereira

Przestraszył się politycznych konsekwencji zamrażania prezydenckich projektów – odbiór wśród wyborców jest coraz gorszy. Perspektywy Trybunału Stanu? A może jedno i drugie? Niezależnie od przyczyn, to ewidentnie strach sprawił, że marszałek Włodzimierz Czarzasty szybko zmienił narrację, także wobec projektu SAFE 0 proc. Najpierw buńczuczne „absolutnie nie widzę sensu procedowania tej ustawy", po tygodniu zasłanianie się opiniami prawnymi i... konstytucją. W skrajnie absurdalny sposób, bo powołując się na art. 221 („Inicjatywa ustawodawcza w zakresie ustawy budżetowej, zmiany ustawy budżetowej, o zaciąganiu długu publicznego i udzielaniu gwarancji finansowych przysługuje wyłącznie Radzie Ministrów").

W rzeczywistości to nie konstytucja blokuje procedowanie projektu, lecz decyzje marszałka i jego faktycznego szefa, Donalda Tuska. Tłumaczenie, że art. 221 ogranicza prace nad ustawą, nie wytrzymuje krytyki – ani literalnie, ani w świetle wyroku TK K 1/12 z czasów Andrzeja Rzeplińskiego (sic!). Możemy w nim przeczytać o zasadzie *exceptiones non sunt extendendae* („wyjątków nie wolno interpretować rozszerzająco") dotyczącej też wspomnianego przepisu, którym nie można obejmować regulacji niemieszczących się wprost w jego zakresie. Dlaczego? To proste. Art. 221 KRP dotyczy ustaw systemowych w finansach publicznych, a nie punktowych instrumentów wsparcia, takich jak SAFE 0 proc.

Poszczególny przepis z elementem finansowym nie wymaga wyłącznej inicjatywy rządowej. Gwarancja BGK to mechanizm wykonawczy, wtórny wobec przyjętego modelu instytucji publicznej, a nie akt nowej polityki fiskalnej. Logika marszałka prowadzi do blokady każdej inicjatywy ustawodawczej, której autorem nie jest rząd (czyli też posłów koalicji 13 grudnia).

Chodzi tu o kontrolę i pokaz siły. Uzurpowanie sobie prerogatyw, których wyborcy nie przekazali, łamanie trójpodziału władzy i ograniczanie roli prezydenta – tak wygląda polityka koalicji 13 grudnia. „Checks and balances" już ich nie obowiązuje. Mają dużo, a chcą więcej. Wydzierają prawa, których nie dali wyborcy, łamiąc nie tylko enigmatyczny trójpodział władzy, lecz także prawa obywatelskie realizowane przez prezydenta.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Korzenie inżynierii społecznej



Marta Kaczyńska-Zielińska

W marcu br. Argentyna w ślad za Stanami Zjednoczonymi wycofała się z WHO (Światowej Organizacji Zdrowia). W zeszłym roku oświadczyła, że „zalecenia WHO są nieskuteczne, ponieważ nie opierają się na dowodach naukowych, lecz na interesach politycznych". USA sformalizowały wycofanie się z WHO w styczniu, rok po tym, jak prezydent Donald Trump podpisał dekret o wystąpieniu z tej międzynarodowej organizacji skupiającej ponad 190 państw, ale w ostatnich latach podobnie jak ONZ niewykazującej się skutecznością.

Prawdziwym problemem WHO jest jednak to, że poza deklarowaną troską o zdrowie publiczne działa ona bardziej jak globalistyczna instytucja promująca własne cele polityczne. Według krytyków organizacji konsekwencje upolitycznienia przez nią zdrowia publicznego ujawniły się szczególnie podczas pandemii COVID-19, kiedy WHO wydawała się bardziej zainteresowana tuszowaniem roli Chin w rozprzestrzenianiu się tej choroby niż przejęciem inicjatywy w zakresie ochrony ludzkości przed nią.

Można się spotkać z opiniami, że WHO wykorzystuje troskę o globalne zdrowie publiczne do realizacji swojego projektu inżynierii społecznej od lat 40. XX w., dążąc do przeprojektowania stylu życia i zmiany wartości wpływających na nasze zachowania. Założyciele WHO w latach 40. XX w. byli oddani walce nie tylko z problemami zdrowia fizycznego, lecz także z tym, co określali mianem chorej kultury świata zachodniego. Brock Chisholm, pierwszy dyrektor generalny WHO, był przeświadczony, że szybki wzrost liczby ludności może prowadzić do niestabilności społecznej, chorób psychicznych i fizycznych oraz konfliktów, w tym wojen. Uważał, że aby temu zapobiec, potrzebne są globalne działania ograniczające wzrost populacji. Zabijanie niechcianych dzieci miałoby doprowadzić do ogólnego wzrostu poczucia szczęścia, a tym samym zmniejszenia liczby „bezużytecznych" członków społeczeństwa.

Od momentu powstania w 1948 r. WHO zakładała, że posiada niezwykle szerokie kompetencje, obejmujące nie tylko kwestie medyczne i naukowe, lecz także te związane ze stylem życia. Zgodnie z definicją przyjętą w 1948 r. zdrowie to „stan pełnego dobrostanu fizycznego, psychicznego i społecznego, a nie jedynie brak choroby lub niepełnosprawności". Z perspektywy WHO brak choroby nie oznacza, że jest się zdrowym. Widoczna tendencja do zacierania różnic między zdrowiem a chorobą bazuje na radykalnej redefinicji tego, co ono oznacza dla człowieka i pozostaje spójna z redefinicją rodzaju płci, której określanie ma zostać ostatecznie oderwane od obiektywnych uwarunkowań biologicznych.

W 1974 r. organizacja rozszerzyła znaczenie pojęcia zdrowia, wprowadzając termin „zdrowie seksualne". WHO apelowała o „integrację somatycznych, emocjonalnych, intelektualnych i społecznych aspektów bytu seksualnego w sposób pozytywnie wzbogacający". W kolejnych dekadach jej celem stało się zapewnienie „przyjemnych i bezpiecznych doznań seksualnych", m.in. poprzez edukację, począwszy od grupy wiekowej 0–4! WHO odgrywa aktywną rolę w promowaniu swojej ideologii wśród uczniów na całym świecie. Swój program indoktrynacji nazywa kompleksową edukacją seksualną (CSE). W 2010 r. organizacja opublikowała zestaw standardów nauczania CSE, które są promowane m.in. w UE.

Według planów MEN od września edukacja zdrowotna zgodna z wytycznymi WHO ma się stać obowiązkowa w polskich szkołach. W ostatnim czasie w Poznaniu powstała seria filmików finansowanych przez miasto, w których mówi się, że jeżeli „odczuwalna płeć" jest inna niż określona przy urodzeniu, to należy ją uznawać, używając odpowiednich zwrotów. Podobno odbyło się też szkolenie MEN dla nauczycieli edukacji zdrowotnej, sugerujące, by bez zgody rodziców pozwalać dzieciom na tranzycję społeczną poprzez używanie imion sprzecznych z płcią dziecka, wyrażanie zgody na korzystanie z toalet przeznaczonych dla innych płci. Projekt blokujący tranzycję płci u dzieci, wymieniający konkretne ingerencje medyczne, pozostaje w zamrażarce legislacyjnej.

REKLAMA



220226/F

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Walizka Pawła Ciura

akordeonisty Kapeli Warszawiaki i Cwaniaki



Miłość do akordeonu towarzyszy mi od najwcześniejszych lat. Wtedy nie miałem fizycznego kontaktu z tym instrumentem, ale gdy w TV widziałem grający zespół, patrzyłem z podziwem tylko na niego. Pierwszy akordeon, 72-basowy, 2-oktawowy, dostałem od ojca chrzestnego z okazji pierwszej komunii. W szkole podstawowej nauczyłem się podstaw zapisu nutowego. Piosenki nagrywałem z radia na magnetofon szpulowy, potrafiłem je zagrać po kilku odsłuchaniach. Zanim skończyłem 18 lat, założyłem z kolegami zespół Voyager, a potem Awers, z którym jeździliśmy po weselach. Grałem w nim na keyboardzie. Niestety do gry włączył się alkohol – do tego stopnia, że utrudnił mi dalsze muzykowanie. Żonę znałem jeszcze z podstawówki, ale dopiero w wieku 26 lat nasze drogi zeszły się na ślubnym kobiercu. Przez pierwsze 10 lat naszego małżeństwa przychodziłem do domu pijany. Zapijałem smutki i radości. Żona jako osoba współuzależniona zaczęła chodzić do psychologa i tam na recepcji usłyszała rozmowę o kościele św. Bartłomieja Apostoła w Pawłowicach (niedaleko Żelazowej Woli), w którym odprawiano mszę w intencji uzależnionych. Zadecydowaliśmy, by tam pojechać. Dodam tylko, że ubocznym skutkiem mojego picia były zmiany na skórze. W piątek, dzień przed nabożeństwem, jeszcze „leczyłem kaca", a jechałem tam tylko po to, „żeby babie zamknąć usta". W małym kościółku usiedliśmy w ostatnim rzędzie. Gdy zobaczyłem, że ksiądz wchodzi do konfesjonału, ku zdumieniu żony nogi mnie same zaprowadziły do spowiedzi. Gdy tylko klęknąłem i zacząłem mówić, zniknęły moje zmiany skórne, a co najważniejsze – pociąg do wódki. To był prawdziwy cud, bo miesiąc później na weselu wznosiłem toasty oranżadą. Mogłem wrócić do normalnego życia i grania, które kocham. Zaczęło się od wciąż aktywnego zespołu uwielbieniowego – Ci, Co Zaufali Panu – a Kapela Warszawiaki i Cwaniaki pojawiła się w moim życiu w 2019 r. W naszym repertuarze są warszawskie szlagiery, nawiązujące do tradycji przedwojennej Warszawy. Skład zespołu to Krzysztof Kiełbus – gitara klasyczna, Tomasz Kiełbus – gitara basowa, Piotr Trzaskowski – wokal i przeszkadzajki, Janusz Żukowski na banjo i ja na akordeonie.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Pawła Ciury, Agata Soldaj

eprasa.pl 9e5fa2ed64



KUCHY

Nasz czworonożny domownik. Wszyscy pytają, skąd to imię. Gdy pojawił się w naszej rodzinie, w Legii Warszawa nie było już Michała Kucharczyka – ulubionego piłkarza syna. Nadał mu to imię na jego cześć. Ciekawostka: podczas wędkowania Kuchy informuje, gdy jest branie!

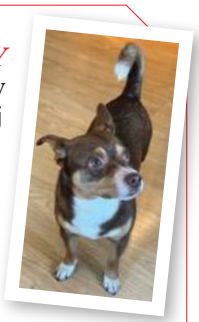




IMAGE AKORDEONISTY

Nawiązując do przedwojennej mody, na występy obowiązkowo zakładam m.in. kamizelkę i kaszkiet. Każdy, kto oglądał film „Zakazane piosenki", kojarzy akordeonistę grającego w przyciemnionych binoklach. Swoje zakupiłem na bazarze Wolumen.



PISMO ŚWIĘTE

Słowo Boże, które każdego dnia pomaga, inspiruje, udziela wskazówek. Dla mnie lektura Biblii jest jak osobista rozmowa z Panem Bogiem.

AKORDEON
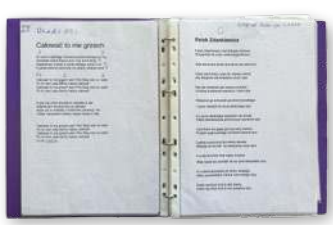
To przepiękny instrument, w którym zakochałem się jako dzieciak. Rodzina, wiedząc o tym, sprezentowała mi pierwszy taki instrument z okazji komunii. Obecnie posiadam dwa akordeony 120-basowe. Nie wyobrażam sobie życia bez mojej rodziny... i tego instrumentu.





RÓŻANIEC

Od 18 lat jestem trzeźwym alkoholikiem. Dzięki różańcowi, który w intencji mojego zdrowia odmawiała moja żona, Pan Bóg za sprawą Maryi uwolnił mnie od alkoholizmu. Od 14 lat jestem zelatorem w Kółku Żywego Różańca, gdzie każda z 20 osób codziennie odmawia jedną „dziesiątkę". Jest to kilkuminutowa modlitwa, ale może zdziałać bardzo dużo dobrego.



ŚPIEWNIK PIOSENEK WARSZAWSKICH

Jest w nim ok. 40 piosenek, m.in. Stanisława Grzesiuka. Mamy jeszcze autorskie i kilka na warsztacie, do których przygotowujemy aranżacje.

ŻONA RENATA

Przez pierwsze 10 lat naszego małżeństwa przychodziłem do domu pijany. Nie mam słów, którymi byłbym w stanie wyrazić wdzięczność mojej Renacie za jej miłość, wytrwałość i wsparcie żarliwą modlitwą, która została wysłuchana. Bardzo ją kocham.



ŚP. TATA

Zacząłem grać dzięki niemu. Tata Mieczysław miał słuch i był uzdolniony muzycznie. Jako młody chłopak grał na harmonijce ustnej. Gdy dostałem pierwszy akordeon, kilka razy dotknął jego klawiszy i bezbłędnie zagrał melodię. Zmarł nagle w 2000 r., a ja ciągle gram dla niego





SYN MIKOŁAJ

Jest naszą wielką dumą. Student piątego roku dziennikarstwa na UKSW, zagorzały sportowiec i oddany fan Legii. Na portalu legionisci.com można przeczytać jego artykuły.



MIEJSCE CUDU

Kościół św. Bartłomieja Apostoła w Pawłowicach, blisko Żelazowej Woli, w którym nastąpiło moje uzdrowienie. Wprawdzie kapłan z mojej cudownej mszy przeszedł na emeryturę, ale Bóg cały czas działa.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Pełną historię świadectwa Pawła Ciura można wysłuchać na kanale Salve NET na YouTube

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Wystawa o odwadze i odpowiedzialności

W tym tygodniu w Parlamencie Europejskim w Brukseli z naszej inicjatywy odbywa się wystawa poświęcona Polakom ratującym Żydów w czasie II wojny światowej. I nie ma co udawać – dla niektórych to niewygodna ekspozycja, bo powstała po to, by przypomnieć prawdę tam, gdzie od lat próbuje się ją zakłamywać.

Bo były w Europie czasy, gdy za człowieczeństwo i litość płaciło się własnym życiem. W okupowanej przez Niemców Polsce pomoc Żydom oznaczała natychmiastową śmierć – często nie tylko dla tego, kto pomagał, lecz także dla całej jego rodziny. To był systemowy terror.

Dotychczasowe badania wskazują, że co najmniej 782 Polaków zostało zamordowanych za pomoc i ukrywanie Żydów. To liczba udokumentowana – a przecież wiemy, że to niepełny obraz. Szacuje się, że ok. 1,4 tys. ofiar pozostaje niezidentyfikowanych. Za tymi liczbami kryją się konkretne nazwiska, rodziny, dramaty – i odwaga, której nie da się zmierzyć.

A jednak tysiące Polaków powiedziało temu systemowi „nie". Ryzykowali wszystko. Dla drugiego człowieka. Szacuje się, że setki tysięcy naszych rodaków były zaangażowane w pomoc. Ponad 7,2 tys. uhonorowano tytułem „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata" przez Yad Vashem – najwięcej spośród wszystkich narodów.

I choć fakty te często są dobrze udokumentowane, historia okupowanej Polski wciąż bywa zniekształcana. Dlatego dziś szczególnie ważne jest przywracanie prawdy – poprzez konkretne ludzkie historie.

Jedną z nich jest historia rodziny Ulmów – tragiczna, ale jednocześnie niezwykle piękna. Józef i Wiktoria Ulmowie wraz ze swoimi dziećmi zostali zamordowani przez niemieckich okupantów za ukrywanie Żydów. W 2023 r. zostali beatyfikowani przez papieża Franciszka, stając się symbolem heroizmu, który przekracza granice strachu.

Dlatego ta wystawa nie będzie neutralna. Na pewno będzie kłuć w oczy niektórych parlamentarzystów. W niemieckiej narracji od lat widzimy niepokojące zjawisko: rozmywanie odpowiedzialności, rozcieńczanie winy, przesuwanie akcentów, tak by sprawca przestawał być sprawcą, a ofiara zaczynała być współodpowiedzialna. Dlatego mówimy wprost: to fałszowanie historii. Odwracanie ról kata i ofiary nie jest „interpretacją" – jest kłamstwem. I Europa, jeśli chce być wspólnotą wartości, nie może tego tolerować.

Ta wystawa jest więc czymś więcej niż przypomnieniem o bohaterach. Jest dowodem na to, że nawet w najczarniejszym czasie byli ludzie, którzy nie dali się złamać – i że w ogromnej mierze byli to Polacy.

Bo bez prawdy nie ma pamięci. A bez pamięci nie ma uczciwej Europy. I dlatego ta wystawa jest tak ważna.

Arkadiusz Mularczyk



Lubię być z nim na planie

Z aktorem Dawidem Dziarkowskim rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Od serialu „Ludzie i bogowie", a w nim pańskiej najgłośniejszej roli – Tadeusza „Dagera" Korzeniewskiego – minęło sześć lat. Kogo gra pan w najnowszym serialu „Wojna zastępcza"?

Dawid Dziarkowski: Mjr. Aleksandra Zarudina. To czarny bohater, ale nie do końca jednoznaczny. I takie postacie chętnie buduję. Mimo że nie robią rzeczy do końca dobrych, lubi się je i za nimi podąża.

Za co można polubić Zarudina?

Uwielbiam jego poczucie humoru. To taki ironista, który chce osiągnąć swoje cele i idzie po swoje. Niekoniecznie grając czysto.

Widzom wciąż zdarza się mylić plan zdjęciowy z rzeczywistością i utożsamiać bohatera z aktorem. Czy rola szpiega może być dziś niebezpieczna?

Wcielanie się w różne postacie i wchodzenie w różne ekranowe sytuacje to mój zawód, moja praca. Nie dajmy się ogłupić. W tej produkcji jest kontekst szpiegowski, a w innej dzieje się coś zupełnie innego.

Jaką realizację ma pan na myśli?

Serial „Zaraz wracam", który bardzo polecam i zapraszam do oglądania. Gram w nim supersympatyczną postać. Michał to ciepły gość, który świetnie gotuje i ludzie go lubią, a ja lubię Michała. I lubię być z nim praktycznie codziennie na planie.

Fot. Dawid Olczak/TVP

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Litwo, ojczyzno moja...



Jako licealista nie lubiłem XIX-wiecznych, bujających w obłokach romantyków (choć z polskiego zawsze miałem piątkę, a wybrane fragmenty epopei narodowej do tej pory znam na pamięć). Czytając „Pana Tadeusza", pomijałem opisy przyrody, zatrzymując się na scenach akcji (pojedynki, zajazdy, polowania). Znacznie bardziej ceniłem poezję Baczyńskiego, a to za spójność słów z czynami (Krzysztof Kamil poległ był z bronią w ręku w powstaniu warszawskim).

Do Mickiewicza wróciłem dopiero podczas studiów politechnicznych, z tęsknoty za humanizmem. I odkryłem go na nowo! Tym razem wschody i zachody słońca nad Soplicowem zachwyciły mnie. Zrozumiałem, jaką moc miały te słowa dla polskiej emigracji. I jak ważna była jego twórczość w przechowaniu polskości pod zaborami.

Zakochałem się w tej poezji, sam zacząłem pisać trzynastozgłoskowcem (vide: 4 tomiki). Zespół muzyczny nazwałem po staropolsku: Zayazd. Na 200-lecie urodzin wielkiego poety wydaliśmy płytę z jego podręcznikowymi wierszami. Graliśmy utwory wieszcza na Pikniku Country i Festiwalu Pieśni Kresowej (oba w Mrągowie), na koncertach w kraju i za jego granicami. Gliwicki Teatr Muzyczny wystawił musical pt. „Mickiewicz". Wisienką na torcie było telewizyjne widowisko muzyczne według mojego scenariusza pt. „Zakochany Mickiewicz" (2021) z udziałem gwiazd polskiej estrady, orkiestry Kukla Band i Art Color Ballet.

Dlaczego o tym piszę? Bo właśnie „ministra" Nowacka skasowała „Pana Tadeusza" z listy obowiązkowych lektur szkolnych. Uderza tym w samo serce polskiej duszy, zgodnie z lewackim planem rugowania z przestrzeni publicznej prawdy, dobra i piękna.

Aktorka Janda nie zauważy nawet, że „sr...ją jej na głowę". Aktor Seweryn nie „przyp...doli komu trzeba" w obronie narodowej świętości. Klucznik-Olbrychski nie rzuci się Rejtanem przed siedzibą MEN.

PS Na szczęście jest internet. Prognozuję wzrost zainteresowania mickiewiczowskimi balladami Zayazdu, Sanah, Grechuty, Niemena i innych.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA Krokusy zakwitły pod Giewontem



Fot. Marcin Szkodziński/Polska Press/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: JUAN MABROMATA/AFP/EAST NEWS, AP PHOTO/DENES ERDOS/EAST NEWS, ABACA/EAST NEWS, GABRIEL BOUYS/AP/EAST NEWS, RYSUNEK MICHAŁ KORSUN, SHUTTERSTOCK/MISS.CABU, PRASONGTAKHAM, LABIB RETROMAN, VIPER-ZERO, MIKOLAJ BARBANELL

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Péter Magyar na wiecu wyborczym 15 marca 2026 r.

Orbán ma szansę utrzymać władzę



Widać, że Donald Tusk wspiera Pétera Magyara w kampanii. Powiązanie jest ewidentne. Zoltán Tarr, wiceprezes partii TISZA, mówił nawet o bezpośredniej współpracy. Zresztą sam polski premier przyznał otwarcie, że Magyar dzwonił do niego z pytaniem: „Jak to się robi?”

Jacek Karnowski rozmawia z Mihálym Rosonczy-Kovácsem, węgierskim analitykiem i ekspertem ds. międzynarodowych, dyrektorem ds. zagranicznych think tanku Nézőpont

Fot. Istvan Csak/Shutterstock.com

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Viktor Orbán na konkurencyjnym wiecu, 15 marca 2026 r.

Fot. Balazs Szekelyhidi/Xinhua News/East News

Jakie są szanse na zwycięstwo w wyborach 12 kwietnia węgierskiego obozu rządzącego? Zarówno większość ośrodków badania opinii publicznej, jak i duża część opinii europejskiej przewiduje upadek rządu premiera Viktora Orbána.

Mihál Rosonczy-Kovács: Aktualna dynamika kampanii sprzyja Fideszowi i rządowi. Najsilniejszy kontrkandydat, Péter Magyar, z zapleczem Europejskiej Partii Ludowej, globalistycznych mediów i elit, był na fali wznoszącej głównie w 2024 r., trwało to jeszcze do lata ub.r. Ostatnie miesiące, a zwłaszcza finisz kampanii, pokazują trend odwrotny: na wiecach Orbána jest więcej ludzi niż na zgromadzeniach Magyara, który – na razie – nie potrafi wprowadzić nowych elementów, a przekaz typu „wszystko jest złe teraz i wszystko byłoby dobre, gdybym ja rządził" zaczyna być nudny.

Liczby pokazują, że elektorat Fideszu jest liczniejszy — najważniejszym celem partii pozostaje mobilizacja, podczas gdy TISZA, prowadząc kampanię bazującą niemal wyłącznie na negatywnych emocjach i protestach, musi starać się także o to, by mniejsze partie antyrządowe nie odebrały jej części wyborców.

Orbán, choć miał cotygodniowe występy, dopiero teraz tak naprawdę włączył się w kampanię, prawie codziennie jest obecny na spotkaniach z wyborcami. Na wiecach Fideszu widzimy tę „cichą większość", która nie zabiera głosu w sporach w mediach społecznościowych, robi swoje, idzie do pracy, utrzymuje rodzinę, ale ma dość tego, że jest krytykowana i lekceważona tylko dlatego, że popiera prorodzinną politykę rządu opartą na interesie narodowym.

Ci, którzy mówią o rzekomo dużych szansach liberalnej opozycji wspieranej przez EPL i europejskich globalistów, powtarzali bardzo podobne rzeczy w 2018 i 2022 r. To prawda, że z powodu wojny i sankcji w ciągu ostatnich czterech lat rząd stanął przed większymi wyzwaniami gospodarczymi. Kiedy w wielu częściach Europy rządy wprowadzają wyższe podatki (np. w Polsce akcyzę), gabinet węgierski odpowiadał na te wyzwania nowymi programami socjalnymi i obniżkami podatków: kredyt 3 proc. na pierwsze mieszkanie, stopniowe wdrażanie 14. emerytury czy zwolnienie matek z dwójką dzieci z podatku PiT do końca życia, czyli także w tej kadencji parlamentarnej dowiózł swoją politykę: podatki w dół, wsparcie rodzin do góry. W oczach wielu to może podważać wiarygodność narracji Pétera Magyara, że wszystko jest złe.

A więc węgierskie sondażownie, w tym renomowane, takie jak Median, po prostu fałszują rzeczywistość? Ordynarnie grają do jednej bramki?

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Péter Magyar musiał najpierw sprzedać nadzieję, że można wygrać z Viktorem Orbánem. Te badania na pewno mu w tym pomogły, ale w Nézőponcie staramy się nie krytykować innych pracowni, wierzymy we własne dane. Według naszego ostatniego sondażu gdyby wybory odbyły się teraz, Fidesz wygrałby przewagą 5 pp.: Fidesz – 45 proc., TISZA – 40 proc., a do parlamentu weszłaby jeszcze skrajnie prawicowa Mi Hazánk z 8-proc. poparciem.

Co do sondaży mówiących o dwucyfrowej przewadze: przypominam badania z wyborów prezydenckich w Polsce, które na początku kwietnia 2025 r. dawały Rafałowi Trzaskowskiemu przewagę 22,5 pp. w drugiej turze nad Karolem Nawrockim. Prawie wszystkie polskie sondaże wieszczyły zwycięstwo Trzaskowskiego, tylko zapomniano poinformować o tym wyborców. I wiemy, jak to się skończyło: w maju wygrał Nawrocki. To samo działo się np. w Ameryce. Faktem jest, że trwa ostry wyborczy wyścig, ale rząd Orbána ma dużą szansę, by utrzymać władzę.

Czy możliwe jest przełożenie wyborów albo ich odwołanie?

Jeśli polski czytelnik chce zrozumieć narrację i strategię lewicowego kandydata oraz sprzyjających mu mediów, wystarczy przypomnieć kampanię w Polsce z 2023 r.: spekulacje o przełożeniu wyborów, o tym, czy PiS odda władzę itd. To samo widzimy na Węgrzech, gdzie strona konserwatywna stale jest przedstawiana przez oponentów jako „niedemokratyczna" i „nieeuropejska". Stabilność systemu parlamentarnego pozostaje ważnym elementem naszej demokracji. Od 1990 r. na Węgrzech ani razu nie było przyspieszonych ani odłożonych wyborów. Tego jasno oczekują także wyborcy.

Podstawą kampanii rządu Fideszu jest teza, że wygrana TISZY oznacza wciągnięcie Węgier w wojnę, bo Europa rzekomo szykuje się do konfliktu zbrojnego. Magyar mówi nawet o „psychozie wojennej". Jednocześnie lider TISZY jest prezentowany jako pacynka Zełenskiego, jego przedstawiciel na Węgrzech. Dla nas to trochę zagadka: skąd na Węgrzech taka niechęć do Ukrainy? Dziś w Polsce też nie brakuje napięć w tym obszarze, ale to nieporównywalne zjawiska. Zwłaszcza że na Węgrzech bagatelizuje się zagrożenie rosyjskie, nie widzi się w Rosji agresora, który chce odbudować imperium.

Wręcz przeciwnie, zagrożenie rosyjskie trzeba postrzegać bardzo poważnie, nasz interes jest spójny z państwami bałtyckimi i Polską – o czym mówił sam Viktor Orbán. Czyli trzymać zagrożenie rosyjskie na jak najniższym poziomie. Tylko że Węgrzy mówią, iż aktualna droga temu nie służy, bo z jednej strony wykrwawiamy tę „poduszkę geopolityczną", która jest pomiędzy nami a Rosją, a z drugiej – napędzamy rosyjską machinę wojenną. Do tego teraz pojawia się plan uzbrojenia Ukrainy, czyli narodu, który – jak pokazuje historia – zawsze stawał raz po tej, raz po tamtej stronie. Węgrzy mówią, że trzeba – jak robią Polacy – wzmacniać własne zdolności obronne, żeby art. 5 NATO był wiarygodny, a Ukrainie oferować partnerstwo strategiczne, także z aspektem obronności. Co do agresji rosyjskiej, Węgrzy wsparli Ukrainę największą misją humanitarną i nadal to robią, a po za tym energią i wysiłkami dyplomatycznymi. Ale w interesie Węgier jest jak najszybsze zawieszenie broni w tej wojnie i nie twierdzimy, że inne kraje, np. Polska, nie mogą mieć w tej sprawie innego zdania.

> Według naszego ostatniego sondażu gdyby wybory odbyły się teraz, Fidesz wygrałby przewagą 5 pp.: Fidesz – 45 proc., TISZA – 40 proc.

Wracając do kampanii – wątek ukraiński jest jej wiodącym elementem. Z wymienionych wyżej powodów Węgrzy nie chcą też partycypować w pożyczkach wojennych dla Ukrainy i sprzeciwiają się nie tylko członkostwu Ukrainy w NATO (podobnie jak prezydent Nawrocki), lecz także w Unii Europejskiej.

Europejscy ludowcy z EPL otwarcie mówią o tym, że Unię trzeba przekształcić w sojusz wojenny: Manfred Weber twierdzi, że należy rozszerzyć punkt o wzajemnym wsparciu obronnym, a do tego jeszcze mówi o zagrożeniu 360 st., czyli *de facto* postrzega USA jako rywala. Chcą jeszcze wysyłać żołnierzy pod flagą unijną. Donald Tusk mówi o czasach przedwojennych. Czyli EPL szykuje się na wojnę – pragnie dokooptować Ukrainę, z nią wszystkie ryzyka bezpieczeństwa dla UE, jednocześnie wzmacniając w traktatach aspekt militarny.

Tymczasem Węgrzy chcą, aby Unia była taka, jak wyobrazili ją sobie ojcowie założyciele: sojuszem pokojowym, gdzie kwitnie gospodarka, a nie projektem prowojennym. To jest oferta dla wyborców Fideszu: Orbán obiecuje, że jeśli wygra, Węgrzy nie dadzą się wciągnąć w wojnę. Za to partia TISZA przeprowadziła referendum w gronie swoich sympatyków, zadając pytanie, czy popierają członkostwo Ukrainy w UE i wygrało „tak" – tutaj różnica między ofertami wyborczymi jest ewidentna. Stanowisko Orbána pozostaje więc sprzeczne z interesem Zełenskiego, który tak samo jak w Polsce w 2023 r. angażuje się w wybory, wspierając kandydata niemiecko-brukselskich globalistów. Teraz poszedł o parę kroków dalej niż wtedy, szantażując blokadą dostaw węgierskiego oleju i śmiertelnymi groźbami wobec premiera. Czyli potwierdził narrację Fideszu, którą opozycja starała się bagatelizować, przedstawiać wręcz jako „histeryzowanie" narodu.

Wielkie marsze 15 marca br., w dniu święta narodowego, nie przyniosły rozstrzygnięcia. Fidesz zgromadził wielkie rzesze sympatyków, ale marsz TISZY także robił wrażenie, wypełniono Plac Bohaterów.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

To chyba pierwsza kampania od lat, w której tak wielkie znaczenie mają publiczne zgromadzenia.

Magyar wywodzi się z kręgów Fideszu. Karierę polityczną zaczął budować na tym, że zdradził swoją żonę, która wówczas była unijną minister, podsłuchując i potem szantażując matkę swoich dzieci, oraz swoje środowisko polityczne. Stara się kopiować elementy polityki Fideszu, w której marsze odgrywają ważną rolę od 2012 r. To, że udało mu się wyprowadzić ludzi na ulice, jest też efektem współpracy ze sztabem Donalda Tuska, w kampanii którego marsze też były ważne, a zwłaszcza komunikacja bazująca na zawyżonych liczbach uczestników. Stary bolszewicki trik: „My jesteśmy większością" – mówi Magyar. „Tu jest Polska" – mówił Tusk. Tyle że Fidesz zdołał wyprowadzić więcej ludzi, jeśli bierzemy pod uwagę dane z telefonów komórkowych – na wiecu TISZY w Budapeszcie miało być 150 tys. ludzi, a Fideszu, czyli partii, której elektorat jest skoncentrowany poza Budapesztem, 180 tys.

Wielu sympatyków Fideszu powołuje się na wybory z 2022 r. Wówczas też prowadziła opozycja, a ostatecznie wysoko przegrała. To może być jednak złudna analogia – wtedy wybuchła wojna i naród wybrał stabilność. Teraz konflikt zbrojny też się toczy, ale stał się już elementem oswojonym, wpisanym w pewne ramy codzienności. Czy liczenie na „milczącą większość" znów przyniesie sukces?

EPL idzie na wojnę – aby wysyłać pieniądze na uzbrojenie Ukrainy, zaciąga dług, który potem będą spłacali podatnicy swoich krajów. Mówią o czasie „przedwojennym" (np. Donald Tusk), chcą wysyłać żołnierzy unijnych na bezpośredni front z Rosją. Szef francuskiego sztabu generalnego mówi o tym, że matki powinny się przyzwyczaić do tego, że ich synowie wracają do domu w trumnach. Czyli przekaz Fideszu jest właściwy, ale lewicowa machina medialna, która pozostaje bardzo skuteczna, przedstawia go jako element histeryzowania. Opozycja ma niesamowite wsparcie, lewicowe media krytykują rząd w dzień i w nocy, w kinach można zobaczyć nowy film o Péterze Magyarze, a zgodnie z naszym raportem od 2010 r. założono 36 nowych mediów antyrządowych. Dla prawicy wyzwaniem jest choćby staranie się o parytet w przestrzeni medialnej.

Péter Magyar okazał się groźnym przeciwnikiem. Był związany z Fideszem, zna to środowisko i skutecznie unika pułapek. Posługuje się także retoryką prawicową, patriotyczną i robi to dość wiarygodnie. Mam wrażenie, że politycy Fideszu długo nie doceniali zagrożenia. Zgadza się pan z tą oceną?

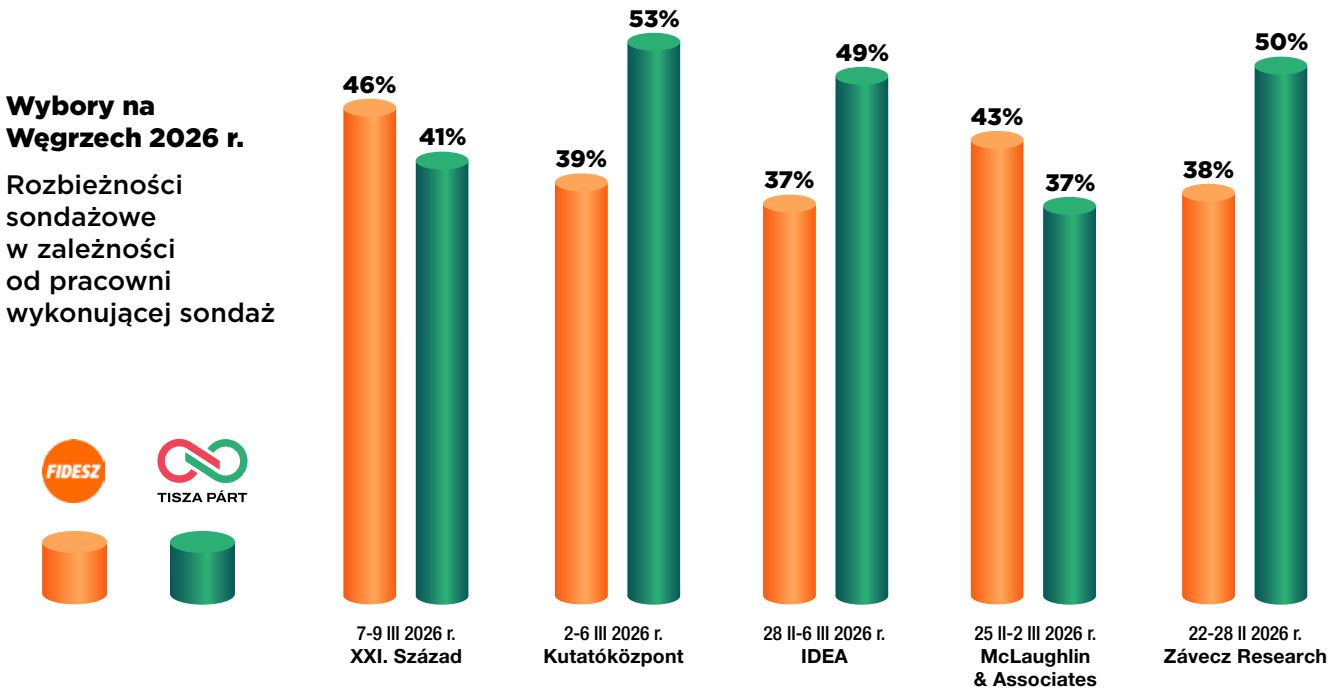
Prawdziwym oponentem Fideszu nie jest Péter Magyar, lecz kręgi globalistyczne, cała prasa, o której mówiliśmy, do tego międzynarodowe wsparcie tych postaci, które w 2023 r. chciały odsunąć od władzy polską prawicę

Prawdziwym oponentem Fideszu nie jest Péter Magyar, lecz kręgi globalistyczne, cała prasa, o której mówiliśmy, do tego międzynarodowe wsparcie tych postaci, które w 2023 r. chciały odsunąć od władzy polską prawicę. Ale faktem jest, że chyba nikt nie myślał, iż Magyar może zrobić taką karierę polityczną. To przecież osoba, która ma na koncie wiele skandali, np. ostatnio sam mówi o tym, że spędził godziny w domu, w którym był proszek przypominający narkotyk, ponadto z osobą, która już od wielu miesięcy go szantażowała. To również wiele mówi o mocy mediów, które go wspierają.

Słuchając Magyara, odnoszę wrażenie, że ma polskich doradców. Posługuje się dokładnie tą samą populistyczną retoryką, której używał Donald Tusk. „Nie macie na szpitale, macie za to na media publiczne" – tak brzmią te zdania. Do tego bardzo brutalne ataki na przeciwników, obiecywanie wszystkiego wszystkim i retoryka patriotyczna, pomijająca globalistyczne powiązania TISZY. Czy pańskim zdaniem Donald Tusk wspiera Magyara nie tylko z oddali, lecz także czynnie, na miejscu, w trakcie kampanii?

Tak, powiązanie jest ewidentne, można długo pokazywać podobieństwa. Zoltán Tarr, wiceprezes partii TISZA, mówił nawet o bezpośredniej współpracy. Zresztą sam Donald Tusk przyznał otwarcie, że Magyar dzwonił do niego z pytaniem: „Jak to się robi?". Granie na negatywnych emocjach, podgrzewanie nienawiści, dzielenie narodu, a jednocześnie mówienie o jedności i miłości, uśmiechu – ewidentnie ta sama zbiorowa psychoza jest używana na Węgrzech, co w Polsce. Pokazywanie państwa jako niefunkcjonalnego, ale bez przedstawienia własnej wizji kraju, narodu, Europy i człowieka. 100 konkretów tam, 240-stronicowy rzekomy program tu. O podobieństwach można mówić jeszcze długo. Tyle że ci spin doktorzy, którzy to wymyślili dwa lata temu, chyba nie myśleli, iż rząd Tuska będzie działać tak nieudolnie. Węgrzy mogą teraz zobaczyć, że może można mieć antyprawicową władzę, ale jej rządy nie niosą niczego dobrego. W Polsce poszybowały ceny energii, ze 100 obietnic zrealizowano 17, w ciągu dwóch lat zamiast obniżki podatku w formie podniesienia kwoty wolnej daniny idą w górę, budżet jest w katastrofalnym stanie, bezrobocie rośnie od dziewięciu miesięcy itd. I nie zapominajmy: Donald Tusk przegrał wybory z Jarosławem Kaczyńskim, i to wyraźnie. Mógł przejąć władzę przez „trik" Trzeciej Drogi, która, jak się okazało, w ogóle nie była trzecią drogą. Dzięki polskiej ordynacji wyborczej to mogło zadziałać, ale węgierskie wybory będą rozstrzygane w okręgach

eprasa.pl 9e5fa2ed64



jednomandatowych. Tutaj wynik koalicji Tuska nie doprowadziłby do zmiany władzy.

Magyar zapowiedział już, że pierwszą wizytę złoży w Warszawie. On jest chyba zapatrzony w Tuska. Sądzi pan, że będzie prowadził podobną politykę co premier Polski? Że zaraz po zdobyciu władzy brutalnie uderzy w opozycję, podepcze konstytucję, sięgnie po przemoc?

Wiele na to wskazuje. Grozi dziennikarzom, mówi o założeniu nowego urzędu, którego nazwa brzmi, jakbyśmy cofnęli się do komunizmu: Urząd Odzyskiwania Majątku Narodowego. Tak samo uspokaja zwykłych wyborców, że chodzi tylko o wąską grupę ludzi, którzy mają się bać. Co mówił Tusk? Że chodzi tylko o paręset osób. A o tym, jak było naprawdę, mogliby więcej powiedzieć pani Urszula, pani Karolina i ks. Michał. Strategia wydaje się podobna: najpierw zdobyć kontrolę nad mediami, ograniczać wolność słowa, potem mieć „własne" organy ścigania i dzięki dominacji w mediach prawdopodobnie usprawiedliwiać wszystkie swoje kroki.

Z czego wynika sukces TISZY – bo niewątpliwie jest to sukces? Czy aby nie z ogromnego zmęczenia 16-letnimi rządami Viktora Orbána? W Polsce po ośmiu latach rządów PiS wielu wyborców chciało po prostu zmiany, mimo że sytuacja gospodarcza była doskonała, a rząd miał na koncie spektakularne sukcesy. Czy więc po ewentualnym piątym zwycięstwie Fideszu to wszystko po prostu nie wybuchnie?

Strategia Magyara wydaje się podobna do strategii Tuska: najpierw zdobyć kontrolę nad mediami, ograniczać wolność słowa, potem mieć „własne" organy ścigania i dzięki dominacji w mediach prawdopodobnie usprawiedliwiać wszystkie swoje kroki

Naród węgierski chyba bardziej docenia stabilność, ale jest ewidentne, że Fidesz stara się odnawiać. W 41 z 106 okręgach jednomandatowych wystawił nowych, młodych kandydatów. Celem partii nie jest przeżycie kolejnych czterech lat, lecz przedstawienie takiej oferty wyborcom, która może dać wizję i nadzieję na wiele dekad, jak np. CSU w Bawarii.

Magyar mocno eksploatuje temat korupcji. Nazywa Węgry „najbardziej skorumpowanym krajem w Unii Europejskiej". Punktuje oligarchów, wskazuje na oczywiste nadużycia. Na ile ta retoryka i nagłośnienie konkretnych spraw zaszkodziło partii rządzącej? I czy nie sądzi pan, że koncepcja budowy „narodowej klasy kapitałowej" okazała się politycznie bardzo kosztowna?

Kiedy opozycja prowadzi negatywną kampanię, zawsze łatwo jest grać na zazdrości. Jeśli zagraniczna firma wyprowadza zyski, wielu ludziom przeszkadza to mniej, niż gdy bogaci się węgierski przedsiębiorca. Coraz więcej osób akceptuje jednak

Autopromocja

eprasa.pl 9e5fa2ed64

stanowisko strony konserwatywnej: jeśli te przedsiębiorstwa dają pracę Węgrom i płacą coraz więcej podatków, to wszyscy na tym zyskują. Trzecim oczekiwaniem wobec nich jest to, by działały zgodnie z obowiązującymi przepisami. Ja bym nawet odwrócił ten temat: moim zdaniem polskiej prawicy raczej zabrakło większej dbałości o wzmocnienie narodowej klasy kapitałowej. A przecież polskie możliwości są nieporównywalne z węgierskimi. Wzmocnienie polskiej narodowej klasy kapitałowej wzmocniłoby całą Europę Środkową.

Pétera Magyara i jego TISZĘ mocno wspiera Bruksela. Blokowanie pieniędzy należnych Węgrom osiągnęło poziom bezprecedensowy, dużo większy niż w Polsce. W istocie jest to po prostu cyniczna przemoc. Czy argument, który Magyar często podnosi, a według którego on odblokuje pieniądze, ma dużą nośność społeczną?

Właśnie w sporze wokół SAFE w Polsce widzimy, jak szkodliwym narzędziem stało się to, że Unia wprowadziła zasadę praworządności jako instrument polityczny. Środki unijne i tak wrócą do kraju, ponieważ bez Węgier nie da się przyjąć siedmioletnich ram finansowych. Różnica polega na tym, że jeśli sprowadzi je rząd Fideszu, pozostaną na Węgrzech, natomiast jeśli TISZA, to część z nich trafi dalej, np. na Ukrainę, czemu zresztą Magyar i jego szefowa polityki zagranicznej partii nie zaprzeczali, kiedy przez godzinę rozmawiali o ich polityce.

Jaką politykę będzie prowadził Magyar, jeśli wygra? Może dostanie – tak jak Tusk – zgodę na opóźnienie wdrażania pewnych procesów, bo Bruksela wie, że mocne tożsamościowo narody trzeba najpierw znieczulić, oszukać, a dopiero potem zmusić do przyjęcia szalonej ideologicznej agendy?

Oczekiwania wobec Magyara ze strony Brukseli są ewidentne: prędzej czy później wdrażać agendę LGBT+ w szkołach, zgodzić się na migrację, wspierać Ukrainę wszelkimi dostępnymi środkami. Jednym słowem – robić to, co Europejska Partia Ludowa. Przecież nie wstępuje się do EPL po to, żeby później robić coś innego – to jest tak proste.

A jaką politykę będzie prowadził piąty rząd Viktora Orbána? Co się zmieni w porównaniu z gabinetem, który kończy misję?

Fundamenty pozostają niezmienne: wsparcie dla rodzin, ochrona europejskiego, chrześcijańskiego stylu życia, zapewnienie rodzicom prawa do wychowywania dzieci, odrzucenie nielegalnej migracji oraz wzmacnianie NATO. Do tego wykorzystanie „złotej ery" relacji dyplomatycznych ze Stanami Zjednoczonymi. Pytanie nie dotyczy więc w dużym stopniu polityki Fideszu, lecz raczej tego, jakie kroki podejmie elita brukselska: czy nadal będzie próbowała hamować politykę Orbána, nawet kosztem naruszania traktatów, czy też ewentualnie zmieni swoje podejście.

> Europejscy ludowcy z EPL otwarcie mówią o tym, że Unię trzeba przekształcić w sojusz wojenny. Tymczasem Węgrzy chcą, aby UE była taka, jak wyobrazili ją sobie ojcowie założyciele: sojuszem pokojowym, gdzie kwitnie gospodarka, a nie projektem prowojennym

Czasem premier Orbán wydaje się zmęczony, co zresztą zrozumiałe po tak wielu latach kierowania państwem. Czy jest możliwe jego odejście? Kto mógłby go zastąpić? Minister spraw zagranicznych Péter Szijjártó, a może minister transportu János Lázár?

Ja widzę to inaczej: moim zdaniem chodzi raczej o to, że to, co najważniejsze, dopiero nadchodzi. W Stanach Zjednoczonych rządzi konserwatywna administracja, która opowiada się za jednoznacznym językiem w dyplomacji oraz za tym, by każde państwo stanęło w obronie własnych interesów. W Europie coraz silniejsi są patrioci, a wybory we Francji w 2027 r. mogą przynieść przełomowy zwrot. Ostatnie dekady były w dużej mierze okresem defensywy, natomiast w nadchodzących latach możliwe będzie skuteczne działanie nie tylko na rzecz Węgier, lecz także na rzecz ratowania i wzmacniania Europy. Ale nawet jeśli Fidesz przegra, to moim zdaniem do kolejnych wyborów przystąpi ponownie z kandydaturą Viktora Orbána, tak jak widzieliśmy to na przykładzie Andreja Babiša.

Porażka Fideszu byłaby ciosem w całą europejską prawicę walczącą o ocalenie podstaw naszej cywilizacji. Jak patrioci w innych państwach europejskich mogą dziś pomóc Viktorowi Orbánowi i jego formacji?

Międzynarodowa lewica widzi, jaką siłę ma patriotyczna współpraca, dlatego robi wszystko, aby wyolbrzymiać rzeczywiste lub domniemane różnice między narodowymi interesami poszczególnych sił patriotycznych. Dla sił patriotycznych i konserwatywnych najważniejsze jest to, aby potrafiły się temu przeciwstawić. Każdy powinien reprezentować własne interesy narodowe i mówić o nich otwarcie – wtedy się okaże, że znacznie więcej nas łączy, niż dzieli.



NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?

Płacisz mniej niż w kiosku – tylko 9,40 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Wojna domowa Tuska

Obecny premier bawi się odbezpieczonymi granatami w wielkim magazynie materiałów wybuchowych i amunicji. Do czego chce doprowadzić?



STANISŁAW JANECKI

Gdy Donald Tusk przejmował władzę 13 grudnia 2023 r., już od ok. 20 lat prowadził w Polsce zimną wojnę domową z kilkoma epizodami wojny gorącej. Stała się ona permanentnie gorąca przed wyborami prezydenckimi w 2025 r., a bardzo gorąca po ogłoszeniu 12 marca 2026 r. przez prezydenta Karola Nawrockiego weta wobec Ustawy o Finansowym Instrumencie Zwiększenia Bezpieczeństwa SAFE.

Od razu po orędziu prezydenta zapowiadającego weto premier Tusk i jego żołnierze zaczęli znieważać (to jest karalne z art. 135 par. 2 kk i grozi więzieniem do lat trzech), obrażać, zniesławiać i zohydzać głowę państwa. Czyli zaczęli jeszcze podgrzewać i tak już gorącą atmosferę wojny domowej.

„Prezydent stracił szansę, aby zachować się jak patriota. Wstyd!" – napisał Donald Tusk na platformie X. „Ludzie w Polsce zastanawiają się, czy to zdrada" – powiedział 13 marca, otwierając nadzwyczajne posiedzenie Rady Ministrów. Potem dodał jeszcze na platformie X: „W wojnie o SAFE wszystkie maski opadły. Dziś już nikt nie może mieć wątpliwości, że najbliższe wybory zdecydują o tym, czy Polska pozostanie w Europie i kto chce nas z niej wyprowadzić. Musimy wspólnie zastopować politycznych szaleńców".

Radosław Sikorski pisał z kolei: „Prezydent wolnej Polski nie powinien być kłamcą i tchórzem". A Władysław Kosiniak-Kamysz twierdził: „To weto nie jest przeciwko rządowi, jest przeciwko bezpieczeństwu Polski!". Marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty grzmiał: „Prezydent naszego kraju dokonał, moim zdaniem, zdrady stanu". Dołączył rzecznik rządu Adam Szłapka: „To jest akt zdrady narodowej".

Cel nagonki na Karola Nawrockiego jest wyjątkowo łatwy do wyjaśnienia: prezydent i PiS to samo zło, które trzeba zwalczać wszelkimi sposobami, także fizycznie, czyli nawet metodami wojny domowej. A wśród tych metod znajduje się przecież „ślepy terror".

Już 20 grudnia 2016 r., gdy Donald Tusk był przewodniczącym Rady Europejskiej, przy okazji przeprowadzanego wtedy sejmowego puczu robił to, co wielu mogło odczytać jako wezwanie do rozpoczęcia wojny domowej. Henryk Skwarczyński, polski pisarz, emigrant polityczny po wprowadzeniu stanu wojennego we Francji i w USA, pisał na łamach wPolityce.pl: „Polska na skraju wojny domowej! Takiej samej, jak doświadczyła jej w roku 1936 Hiszpania. Wojny, która może pochłonąć setki ofiar przy biernym współudziale zachodnioeuropejskich mediów". O ryzyku wojny domowej mówili też wtedy inni. I to ryzyko było obecne przez cały okres rządów Prawa i Sprawiedliwości – jako sposób na odsunięcie tej partii od władzy.

Kiedy stało się to 15 października 2023 r., wojna domowa nie przestała być użytecznym narzędziem – tym razem służącym do zniszczenia Prawa i Sprawiedliwości oraz wzięcia odwetu na jego członkach i sympatykach. Tak jak w 1920 r., kiedy Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Julianem Marchlewskim, Feliksem Konem i Feliksem Dzierżyńskim próbował wywołać wojnę domową, by ułatwić Armii Czerwonej podbicie Polski i uczynienie z niej republiki sowieckiej.

> Donald Tusk najwidoczniej uznał, iż rozpętanie wojny domowej przestraszy Polaków na tyle, że nie zechcą zmiany władzy. To spowoduje, że w wyborach parlamentarnych w 2027 r. będą łaknęli tylko odrobiny spokoju. A wtedy zapomną o wszystkich obietnicach składanych w programie „100 konkretów w 100 dni" i o kryzysie państwa pod jego rządami

UCIECZKA OD PROBLEMÓW

W marcu 2026 r. rządowa i prorządowa propaganda zaczęły intensywnie piętnować prezydenta Karola Nawrockiego oraz Prawo i Sprawiedliwość jako sprzymierzeńców Putina i zwolenników polexitu. Tusk straszył, że gdyby do tego doszło – a może dojść nawet wbrew intencjom, jak w Wielkiej Brytanii – straty będą takie, że Polska właściwie upadnie. Nieważne, że PiS w ogóle tego nie rozważa, a Jarosław Kaczyński absolutnie nie widzi takiej perspektywy. W strategii premiera i jego ministra spraw zagranicznych polexit ma funkcjonować jako tragedia porównywalna tylko z rozbiorami Polski w XVIII w. Dlatego w marcu 2026 r. Tusk ogłosił, że obecna opozycja chce polexitu, a on pozostaje jedyną siłą, która jest w stanie obronić Polskę i Polaków przed tą narodową tragedią. I musi to zrobić. Dlatego „zdrajcy" zasługują tylko na eliminację: najpierw polityczną, a potem ewentualnie także fizyczną, co wojna domowa bardzo by ułatwiła.

Donald Tusk najwidoczniej uznał, że rozpętanie wojny domowej przestraszy Polaków na tyle, że nie zechcą zmiany ekipy rządzącej. A to spowoduje, że w wyborach parlamentarnych w 2027 r. będą łaknęli tylko odrobiny spokoju. I podobnie ma być przed wyborami prezydenckimi w 2030 r. Tusk zapewne sądzi, że gdy w kraju panuje atmosfera gorącej wojny domowej, Polacy zapominają o większości spraw ważnych dla nich na co dzień, takich jak niedotrzymane obietnice ze „100 konkretów w 100 dni", ogromny kryzys w ochronie zdrowia i edukacji, wysokie ceny paliwa, rosnące

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e5fa2ed64

bezrobocie, dług publiczny wynoszący już 2 bln zł i grożący nam „grecki scenariusz", co prognozuje już nawet Komisja Europejska. Tusk chce uciec od tego wszystkiego, rozpętując wojnę domową.

Elementami wojny domowej są kolejne bitwy: przeciw Trybunałowi Konstytucyjnemu i prezesowi Bogdanowi Święczkowskiemu, Krajowej Radzie Sądownictwa, Sądowi Najwyższemu i jego pierwszej prezes. Elementami tej wojny są także zapowiedzi działań cenzorskich, głównie w internecie, ataki na wolne media, powszechna już dyskryminacja sympatyków opozycji – także w miejscach pracy i zamieszkania.

Długofalowo wojna domowa Tuska ma nie tylko pomóc mu utrzymać władzę, lecz także uzasadnić zgodę na przyjęcie w Polsce euro, abdykację z kolejnych elementów suwerenności państwa, ewolucję Unii Europejskiej w superpaństwo. Dla Tuska i jego rządów ta droga ma być stabilizatorem oraz gwarancją bezpieczeństwa. Pozwoli utrzymać władzę nawet w roli jedynie namiestnika.

Rozpoczęta w marcu 2026 r. bardzo gorąca wojna domowa jest dużo zacieklejsza niż ta sprzed 100 lat, gdy z powodu ówczesnej „wojny domowej" w maju 1926 r. doszło do zamachu stanu. Różnica jest taka, że obecnie to rządzący dokonują pełzającego i permanentnego zamachu stanu.

GRA W GOŁĄBKA POKOJU

Już 21 czerwca 2022 r. w TVP Jarosław Kaczyński ostrzegał: „Donald Tusk przygotowuje coś w rodzaju wojny domowej w Polsce. Ten szok wynikający z utraty władzy – oni zdaje się byli przekonani, że będą rządzić bardzo długo – doprowadził do jakichś zmian psychicznych i snucia planów, które z demokracją i praworządnością nie mają nic wspólnego. Mogę ostrzec tych, którzy chcieliby głosować na takie rozwiązania, że będą tego fatalne skutki. Apelowanie do Donalda Tuska i jemu podobnych jest zupełnie bezsensowne, to jest pewien stan psychiczny".

15 września 2023 r. w Radiu Wnet wybitny historyk prof. Andrzej Nowak mówił: „Celem Tuska nie jest wygrana w wyborach, tylko przygotowanie scenariusza do wojny domowej po przegranych wyborach". Okazało się, że scenariusz wojny domowej jest użyteczny także po przejęciu władzy przez Tuska, choć formalnie jego partia wyborów nie wygrała, dostając ponad milion głosów mniej niż PiS. 1 października 2021 r. senator Michał Kamiński mówił dla „Wprost": „6 sierpnia [2021 r.] Donald Tusk zaproponował Polakom wojnę domową, jakiej jeszcze nie mieli. Bo próba zdejmowania krzyży z salek szkolnych i innych miejsc to jest rozciągnięcie wojny domowej jak Polska długa i szeroka". 16 kwietnia 2026 r. w TV Republika eurodeputowany Adam Bielan stwierdził: „Tusk wywołuje polityczną wojnę domową w naszym kraju. Nigdy po 1989 r. opozycja nie była tak traktowana jak dzisiaj ze strony premiera".

> W marcu 2026 r. rządowa i prorządowa propaganda zaczęły intensywnie piętnować prezydenta Karola Nawrockiego oraz Prawo i Sprawiedliwość jako sprzymierzeńców Putina i zwolenników polexitu. Tusk straszył, że gdyby do tego doszło – a może dojść nawet wbrew intencjom, jak w Wielkiej Brytanii – straty będą takie, że Polska właściwie upadnie. Nieważne, że PiS w ogóle tego nie rozważa, a Jarosław Kaczyński absolutnie nie widzi takiej perspektywy

O tym, co daje wojna domowa, mówił 28 marca 2024 r. w Wirtualnej Polsce politolog prof. Rafał Chwedoruk: „Wojny domowe mają to do siebie, że z reguły druga ich strona nie jest traktowana jak przeciwnik honorowy, z którym walczy się na powszechnie przyjętych zasadach, tylko jako ktoś, kto jest najzwyczajniej w świecie zdrajcą". I o to właśnie chodzi Donaldowi Tuskowi.

Kiedy Donald Tusk jest oskarżany o wywoływanie wojny domowej, odwraca kota ogonem, a przy okazji zmienia znaczenie podstawowych pojęć. Po 2015 r. wielokrotnie oskarżał Prawo i Sprawiedliwość (szczególnie Jarosława Kaczyńskiego) o to, że jego działania prowadzą do „wojny domowej", „zniszczenia wspólnoty" i „rozrywania kraju". Np. w 2020 r. Tusk straszył „widmem wojny domowej". Mówił o tym w kontekście protestów kobiet czy zadym przed Sejmem na przełomie 2016 i 2017 r. 25 października 2020 r. Tusk napisał na platformie X: „Wojna domowa to ich żywioł. Ale przegrają ją. Już przegrali". 18 lutego 2022 r. w TVN24 przebrał się nawet za gołąbka pokoju: „Trzeba zaniechać tej wojny domowej i to jest apel do wszystkich, i mówię to do siebie, mówię to do Kaczyńskiego, mówię to do wszystkich uczestników polskiej politycznej wojny domowej". Powiedzieć można wszystko. Tak jak 13 kwietnia 2022 r. po Radzie Krajowej Platformy Obywatelskiej, gdy Donald Tusk stwierdził: „Nie fundujcie Polsce politycznej wojny domowej. Ten powrót do Smoleńska i retoryki o zamachu jest wyłącznie po to, aby ta wojna domowa na nowo rozgorzała z niezwykłą mocą. Właśnie teraz, kiedy Rosja zagraża nie tylko Ukrainie, ale także Polsce i Europie". Było to oczywiste wykręcanie się od odpowiedzialności za Smoleńsk i rozpętywanie złych emocji przeciw rządzącemu wtedy PiS. Polacy poznali tę strategię już po zabójstwie prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza 14 stycznia 2019 r. Tusk i jego obóz

Autopromocja

eprasa.pl 9e5fa2ed64

oskarżali rządzące wtedy PiS o stworzenie atmosfery nienawiści prowadzącej do fizycznych starć.

Wymownie milczeli natomiast o tym, że jedynym politycznym zabójstwem w III RP było zamordowanie 19 października 2010 r. Marka Rosiaka. Stało się to w biurze poselskim europosła Janusza Wojciechowskiego oraz posła na Sejm RP Jarosława Jagiełły w Łodzi. Marek Rosiak tam pracował. Zabił go Ryszard Cyba, były członek PO (w latach 2004–2006). Sąd Okręgowy w Łodzi uznał, że mężczyzna działał z motywacji zasługującej na szczególne potępienie i kierował się motywami politycznymi. Sędzia w uzasadnieniu stwierdził m.in., że Cyba w 2010 r. przygotowywał zamach na życie Jarosława Kaczyńskiego, jednak odstąpił od niego z powodu środków bezpieczeństwa, w związku z czym postanowił dokonać zamachu na inne osoby związane z PiS. Sprawcy było obojętne, kogo zastanie – miał on na celu zabicie kogoś z Prawa i Sprawiedliwości.

CHLEJĄ, BIJĄ SWOJE DZIECI, BIJĄ KOBIETY

Przygotowaniem do wojny domowej Tuska jest odczłowieczanie przeciwnika politycznego, a także jego wyborców. 11 maja 2023 r. na otwartym spotkaniu z wyborcami w Sulechowie Donald Tusk mówił: „Wszystko w Polsce od kilku lat jest postawione na głowie, tzn. królami życia są ci, którzy chleją, biją swoje dzieci, biją kobiety i pracą się nie zhańbili od wielu lat. Wymarzona klientela polityczna dla władzy, która sama ma sposób myślenia bardzo podobny do tej klienteli".

Z pogardą o owej „klienteli" wielokrotnie wypowiadali się prorządowi intelektualiści, tacy jak profesorowie Radosław Markowski, Magdalena Środa czy Wojciech Sadurski, a także tacy artyści jak Agnieszka Holland, Krystyna Janda czy Joanna Szczepkowska. Pogardliwe traktowanie wyborców PiS dehumanizuje ich i łamie granice tego, co można z nimi zrobić. To też jest tworzenie atmosfery uzasadniającej wojnę domową.

Tworzeniem atmosfery sprzyjającej uznaniu wojny domowej za dopuszczalne rozwiązanie jest też wciąganie wojskowych do politycznych rozgrywek. Szczególnie gdy właściwie delegitymizują oni zwierzchnika sił zbrojnych, czyli prezydenta RP. Wysocy oficerowie, i to w mundurach, zaczęli bywać w mediach, szczególnie w TVN24, żeby publicznie alarmować, iż weto prezydenta wobec ustawy o instrumencie SAFE jest właściwie zdradą Polski. Najwyżsi dowódcy zachowują się tak, jakby byli politykami i uczestnikami politycznych wojenek. To nie jest jeszcze powtórzenie „obiadu drawskiego", czyli wydarzeń z 30 września 1994 r. Wtedy na poligonie w Drawsku Pomorskim ówczesny prezydent Lech Wałęsa zarządził głosowanie wśród wysokich dowódców, kto jest za ministrem Piotrem Kołodziejczykiem, a kto przeciw. Tylko dwóch generałów wstrzymało się od głosu, pozostali byli przeciwko ministrowi.

A teraz generał w stanie spoczynku Stanisław Koziej, szef BBN za prezydentury Bronisława Komorowskiego, stwierdził wprost na platformie X: „Gdyby Prezydent storpedował program SAFE, utraciłby w Siłach Zbrojnych wiarygodność jako ich konstytucyjny najwyższy zwierzchnik". To można interpretować jako zapowiedź rokoszu czy obiadu drawskiego bis. Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej" 16 marca 2026 r. napisała na platformie X: „O rozczarowaniu żołnierzy wetem prezydenckim mówi Paweł Mateńczuk ps. Naval [w radiu Tok FM], były żołnierz Jednostki Specjalnej GROM, pełnomocnik Ministra Obrony Narodowej ds. Warunków Służby Wojskowej o rozgoryczeniu żołnierzy". Odpowiedział jej znany historyk prof. Stanisław Żerko: „Szczucia żołnierzy na prezydenta ciąg dalszy. Jak widać w walce z prezydentem RP każda metoda jest dobra. Tu akurat TOK FM posługuje się osobą Pawła Mateńczuka, któremu nie udało się wejść do Sejmu z listy jednej z partii obecnie rządzących". Chodzi o to, że Mateńczuk kandydował w wyborach do Sejmu 2023 r. z listy Trzeciej Drogi, z ostatniego miejsca w okręgu nr 14, czyli w powiecie tatrzańskim (z poparciem Polski 2050), i uzyskał tylko 1555 głosów (0,36 proc.).

MEMENTO Z 9 MAJA 1794 r.

Szef BBN prof. Sławomir Cenckiewicz słusznie stwierdził, że „wykorzystywanie przez MON i Władysława Kosiniaka-Kamysza najwyższych rangą dowódców do rozstrzygania wielkich politycznych sporów [...] i wysyłanie ich w mundurach do TVN, by ganili krytyków [polityków] tej czy innej koncepcji politycznej" jest „poważnym nadużyciem". Także dlatego, że stanowi część wdrukowywania opinii publicznej, iż sytuację w Polsce można naprawić, dopuszczając do wojny domowej. To jest powtórzenie strategii gen. Wojciecha Jaruzelskiego, gdy wprowadzał stan wojenny. Właśnie po to, by „naprawić" i „uratować" Polskę. Niestety Donald Tusk i jego poplecznicy albo w ogóle nie myślą o strasznych konsekwencjach wojny domowej, albo uznają, że cel uświęca środki. A do radykalnych działań popycha ich jeszcze to, że w instytucjach Unii Europejskiej panuje atmosfera przyzwolenia na takie skrajne działania.

Ideologiczna podbudowa już została stworzona poprzez odczłowieczenie politycznych przeciwników i potraktowanie ich jako zdrajców, których należy po prostu zniszczyć fizycznie. Donald Tusk nie bawi się zapałkami przy beczkach z benzyną. On się bawi odbezpieczonymi granatami w wielkim magazynie materiałów wybuchowych i amunicji. A najgorsze jest to, że traktuje wojnę domową jako dopuszczalne rozwiązanie. Zaczęło się od demokracji walczącej, a może się skończyć na wojnie domowej. Premier powinien jednak pamiętać o tym, co się stało 9 maja 1794 r. w Warszawie.



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA PRZEZ InPost
Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!
prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ DODATKOWO?
Dostęp do e-prenumeraty SIECI
- teraz możesz czytać wygodnie na telefonie lub komputerze

eprasa.pl 9e5fa2ed64



PIOTR GURSZTYN

Spór o SAFE.
Czy prezydent straci zaufanie wojska?

Czy weto w sprawie SAFE odbierze Karolowi Nawrockiemu poparcie wojska? Taką tezę głoszą politycy koalicji i zwolennicy obecnego rządu. Widać, że sami wierzą w swoje prognozy, ale czy nie jest to myślenie życzeniowe? Czy żołnierze, funkcjonariusze służb mundurowych i ich rodziny tylko z jednego powodu całkowicie zmienią swoje dotychczasowe przekonania? Rzeczywistość jak zwykle jest bardziej skomplikowana, niż przedstawiają głosiciele prorządowej propagandy



Fot. Andrzej Wiktor

„Prezydent stracił szansę, aby zachować się jak patriota" – takim gniewnym wpisem zareagował premier Donald Tusk na wieść o prezydenckim wecie (którego się zresztą spodziewał). Swoim zwyczajem Tusk przedstawił się jako ostateczny arbiter określający, kto jest patriotą, a kto nie. Jednocześnie sugerując, że to on jest głównym depozytariuszem pięknego uczucia, jakim jest miłość do ojczyzny. On zatem powinien być popierany przez jej obrońców, a nie Karol Nawrocki, wetujący ustawę o SAFE.

WOJSKO NA PRAWO

Faktem jest, że 1 czerwca 2025 r. wojsko (a zapewne także rodziny żołnierzy) w ogromnej większości głosowało na Karola Nawrockiego. Wybory są tajne, ale w kilku komisjach wyborczych – gdzie wiadomo, że większość głosujących to żołnierze – było widać, że armia ma poglądy zdecydowanie prawicowe. Przykładem niech będzie czysto wojskowa komisja wyborcza obsługująca misję pokojową w Kosowie, w której Karol Nawrocki otrzymał 74,41 proc. głosów. W innych komisjach, już na terenie Polski, gdzie wiadomy był ponadprzeciętny udział głosujących żołnierzy, Nawrocki zawsze miał wyniki znacząco lepsze niż Rafał Trzaskowski.

Bliższa znajomość realiów wojska pozwala namalować następujący obraz: im niższe szarże, tym bardziej prawicowo. W korpusie wyższych oficerów istnieje duże zróżnicowanie poglądów, co widać później, gdy któryś z generałów lub pułkowników przechodzi w stan spoczynku i staje się aktywnym użytkownikiem mediów społecznościowych lub komentatorem w tradycyjnych środkach masowego przekazu. Ale młodsi oficerowie, podoficerowie i szeregowi to zdecydowana prawica. A dotyczy to kilkuset tysięcy ludzi, więc to oni, a nie wyższe szarże tworzą „masę".

KTO KRYTYKUJE

Czy weto to zmieni? Takie mocne przekonanie panuje po stronie wspierającej rząd Donalda Tuska. Jako dowód na to wskazuje się liczne wypowiedzi wojskowych w stanie spoczynku, oburzonych na decyzję głowy państwa. Weto było krytykowane np. przez gen. Romana Polko, który w obecnym wcieleniu stał się pupilem liberalnych mediów, w których grzmiał, że należy zakazać jakiejkolwiek antyniemieckiej „narracji"

eprasa.pl 9e5fa2ed64

w kontekście SAFE. W radiu TOK FM weto krytykował były żołnierz GROM, st. chor. sztab. Paweł Mateńczuk „Naval". Ale trzeba zauważyć, że dzisiaj to przede wszystkim celebryta – pisarz i uczestnik programów telewizyjnych. A także kandydat w wyborach do Sejmu Trzeciej Drogi w 2023 r., teraz zaś pełnomocnik MON ds. warunków służby. Oburzał się też gen. Mirosław Różański, obecnie senator Trzeciej Drogi: „Pan nie jest patriotą" – grzmiał w swoim stylu pod adresem prezydenta.

Rozpolitykowany generał senator Różański krótko po ostatnich wyborach prezydenckich zlecił wykonanie badań na temat poglądów politycznych i preferencji wyborczych żołnierzy. Wynik jasno pokazał światopogląd „osób żołnierskich" i musiało to być mocno rozczarowujące dla generała jako zleceniodawcy badań. Autorzy raportu napisali, że elektorat wojskowy ma „odmienny profil polityczny względem reszty społeczeństwa, charakteryzujący się silnym poparciem dla kandydata reprezentującego nurt konserwatywno-prawicowy".

OBAWY PREZYDENTA

Skąd więc dzisiaj nadzieje na zmianę tych preferencji? Trzeba od razu zaznaczyć, że te oczekiwania nie były całkiem absurdalne. Prezydent oraz spora część jego współpracowników obawiali się negatywnych reakcji wojska i środowisk powiązanych z armią. W czasie sporu o SAFE, jeszcze przed podjęciem decyzji przez głowę państwa o niepodpisaniu ustawy, większa część strony prawicowej lekceważyła ten czynnik. W pałacu traktowano go jednak z wielką powagą i wcale nie było pewne, że Karol Nawrocki zawetuje ustawę, mimo że od razu dostrzegał jej wady. Liczył się jednak z nastrojami wojska. Armia wychodziła bowiem z założenia, że – upraszczając – lepiej spłacać najgorsze długi w warunkach pokoju, niż odbudowywać kraj zniszczony wojną.

PROPAGANDOWY BÓJ

Trwa zresztą bój propagandowo-narracyjny i finał tego, kto wygrał lub przegrał w sprawie SAFE nadal jest odległy. Rząd wciągnął w swoją narrację generałów cieszących się autorytetem. Skądinąd nominatów z czasów pisowskich, wcześniej odsądzanych od czci i wiary przez polityków i zwolenników obecnej władzy. Mowa o gen. Wiesławie Kukule i gen. Arturze Kuptelu. Ryzyko utraty przez prezydenta poparcia w wojsku ciągle jest realne. Wygląda na to, że aż do wyborów w 2027 r. obóz rządowy będzie wykorzystywał sprawę weta. I nawet wiadomo jak. Wystarczy przypomnieć słowa Radosława Sikorskiego z jego sejmowego exposé, że za każdy niestrącony rosyjski dron będzie odpowiadał prezydent.

Osobną, ale dość ważną sprawą, jest zachowanie tzw. OSINTU, czyli dziennikarzy, komentatorów i youtuberów zajmujących się tematyką militarną. To bardzo zróżnicowany zbiór – przeważają w nim ludzie złośliwie nazywani OSINT-polo z powodu swojego gwiazdorzenia połączonego ze słabymi kompetencjami. Jest też jednak trochę osób poważnych, dobrze zorientowanych w tematyce. I prawie cały polski OSINT poparł rządową wersję SAFE. W pewnym momencie miało to znaczenie, bo oprócz internetowych gwiazdeczek głos zabierali autorzy z poważnych portali. Ale niektórzy z nich (mowa o tych z autorytetem) zbyt mocno zaangażowali się po stronie rządu. Na dodatek w kilku przypadkach wyszło na jaw, że wprawdzie są znakomitymi znawcami tematyki wojskowej, ale nie rozumieją politycznych aspektów SAFE, zwłaszcza reguły warunkowości. „To trzeba prowadzić taką politykę, aby nie dawać UE pretekstów zablokowania pieniędzy" – napisał jeden z nich. Tak więc tzw. polski OSINT jest jednym z największych przegranych batalii o SAFE i w tej chwili jego głos stracił na znaczeniu.

ZMIANA NASTROJÓW

Z początku sprawa SAFE wyglądała na nietrudną do wygrania przez rząd i tym samym pogrążenia prezydenta oraz prawicy. Według rządowej narracji to łatwe pieniądze, po które wystarczy się tylko schylić. I nagle rząd zaczął przegrywać, a prezydent nie zatonął.

Wszystko zmieniło jedno magiczne słowo – „alternatywa". Czyli ogłoszenie wspólnie z prezesem NBP Adamem Glapińskim pomysłu nazwanego „SAFE 0 proc.". Głośno zabrzmiały też inne argumenty, ze szczególnie chwytliwym porównaniem do kredytów frankowych. Kolejne sondaże zaczęły pokazywać, że bardzo wielu Polaków nie uważa unijnego SAFE za łatwe i bezpieczne pieniądze. W połowie lutego badanie IBRIS wskazywało, że prawie 60 proc. ankietowanych chciało, aby prezydent podpisał ustawę. Tylko 30 proc. żądało weta. Na początku marca ta sama sondażownia odnotowała dużą zmianę nastrojów: 54 proc. za podpisem prezydenta, 42 proc. za wetem. 18 marca ukazało się kolejne badanie IBRIS: 47 proc. badanych chciało, aby rząd realizował SAFE mimo weta, 44 proc. odpowiedziało, że gabinet Tuska nie powinien tego robić.

Ciekawe były też badania komentarzy i wpisów internetowych przeprowadzone przez instytut Res Futura: 62 proc. popierało weto, 38 proc. krytykowało decyzję prezydenta. Tego typu badanie ma oczywiście szczególną specyfikę, bo dotyczy tylko najbardziej aktywnych internautów. Czy nie jest jednak wskazówką, że przeciwnicy SAFE będą bardziej zaangażowani w obronie swoich poglądów niż zwolennicy strony rządowej?

Zwrot akcji był tak spektakularny, że nieżyczliwe Nawrockiemu media musiały przyznać, iż to jego wygrana: „Na dziś Karolowi Nawrockiemu udało się uciec z pułapki, jaką był dla niego SAFE" – napisał portal Onet. Z kolei OKO.press stwierdziło: „Może się też okazać, że na wecie do SAFE Nawrocki nie straci tak wiele, jak dziś może się wydawać, właśnie dzięki temu, że znów zagrał suwerenistyczno-antysalonową kartą".

Miarą sukcesu prezydenta są też żarty komików z „dogodnego" kredytu SAFE, czy dostępne na YouTube piosenki, gdzie przerobiony przez AI Tusk śpiewa „Zadłużę się w SAFE, bo Berlin zdecydował" na nutę przeboju zespołu Queen.

ZBYT OSTRA JAZDA RZĄDU

Dlaczego rząd przegrywa? Bo przegrzewa, wpadł w histeryczny ton i sam zaprzecza swojej dotychczasowej propagandzie. Raptem pojawił się „argument", że z powodu weta prezydenta

eprasa.pl 9e5fa2ed64

wojsko, policja i Straż Graniczna nie otrzymają kamizelek kuloodpornych. Ripostę komentatorów stanowiło przywołanie świeżych przechwałek premiera o nadzwyczajnych sukcesach gospodarczych rządu. A chwilę wcześniej wojsko i służby były bombardowane informacjami o wielkich sukcesach operacji „Szpej": „Zakup 200 tys. hełmów kewlarowych, 100 tys. kamizelek, ponad 50 tys. sztuk osprzętu optoelektronicznego i ponad 1 mln elementów umundurowania – tak wygląda telegraficzny skrót prawie dwóch lat prowadzenia operacji »Szpej«" – pisała w grudniu ub.r. „Polska Zbrojna".

Rząd zaczął też głosić, że ma plan B, co znowu rozmyło zarzuty wobec prezydenta. Teraz władze zagłuszają same siebie hałaśliwą kampanią o rzekomym polexicie. Znając pobudliwość Donalda Tuska i jego łatwość w głoszeniu najstraszniejszych zarzutów, skończy się tak, że Polacy co chwilę będą bombardowani oskarżeniami o najgorsze zdrady popełnione przez prezydenta i prawicę, przy czym nie tylko PiS, lecz także Konfederację. To, że również ona jest przeciwna SAFE, też ma duże znaczenie. Traci bowiem sens „argument" rządu, że Nawrocki zawetował, bo kazał mu Jarosław Kaczyński, gdy jednocześnie słychać głośne słowa Krzysztofa Bosaka o tym, że SAFE to KPO na sterydach.

CZYM KIERUJĄ SIĘ ŻOŁNIERZE?

Liberalne media chętnie eksponują głosy wojskowych krytykujących weto. Nie brakuje jednak żołnierzy popierających decyzję prezydenta. „To bardzo dziwna struktura pozyskiwania sprzętu dla wojska i bardzo dziwna struktura finansowa, ekonomiczna oraz gospodarcza. Niekoniecznie zgodna z wcześniejszymi sposobami pozyskiwania sprzętu, ale również dziwna struktura z poziomu potrzeb dowódcy" – mówił o SAFE gen. Dariusz Wroński.

Równie krytycznie wypowiadał się gen. Jarosław Gromadziński, określający SAFE jako „kredytową pułapkę": „To nie są »dodatkowe« pieniądze, które spadają nam z nieba. To pożyczka, która często zastępuje środki, które już mieliśmy zaplanowane w Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. [...] To zabierze tlen przyszłym pokoleniom i w efekcie będzie balastem dla modernizacji armii". Obaj wspomniani generałowie cieszą się wielkim autorytetem w wojsku, więc ich opinie nie przejdą bez echa.

Abstrahując jednak od SAFE, trzeba zaznaczyć, że ta sprawa – choć ważna – nie będzie dla żołnierzy jedynym kryterium podejmowania decyzji wyborczych. Czynników jest więcej, zwłaszcza ogólna sytuacja w wojsku i bieżące warunki służby. Tutaj zaś nie ma jakichś sukcesów ani rewelacji – wbrew obietnicom z kampanii wyborczej 2023 r. oraz buńczucznym wypowiedziom szefów MON (ze szczególnym uwzględnieniem wiceministra Cezarego Tomczyka). W porównaniu z czasami rządów PiS sytuacja w wojsku nie zmieniła się na lepsze. Oceny są różne: według niektórych jest gorzej, według innych tak samo, ale nie słychać opinii, że jest lepiej. W optymistycznym wariancie można to nazwać kontynuacją tego, co było, ale bez wartości dodanej.

To powoduje, że preferencje polityczne wojska będą kształtowane bardziej przez czynniki ogólne niż jednorazowe zdarzenia typu SAFE. Wojska nie da się też wypreparować z całości społeczeństwa i jego ocen bieżącej polityki. A trzeba przy tym pamiętać, że większość wojskowych pochodzi z mniejszych miast oraz wsi. I bardziej z Polski wschodniej niż zachodniej.

> Liberalne media chętnie eksponują głosy wojskowych krytykujących weto. Nie brakuje jednak żołnierzy popierających decyzję prezydenta

Przypomnijmy badanie zlecone przez senatora Różańskiego. W tym kontekście łatwiej zrozumieć jego wynik. A do tego dochodzi to, że wyniesiona z domu tożsamość jest wzmocniona przez specyfikę służby w wojsku. To powszechnie znany fakt, nie tylko w Polsce.

Pozwólmy sobie tutaj na dygresję: amerykański psycholog polityki Drew Westen w swej słynnej książce „Mózg polityczny" odnotował rzecz zaskakującą dla amerykańskich liberałów. Wiadomo, że w USA znacząca większość obywateli ciemnoskórych i pochodzenia latynoskiego zawsze głosowała za demokratami i nie lubiła republikanów. Nagle wiele badań ujawniło ciekawe zjawisko. Afroamerykanie i Latynosi, którzy odbyli służbę wojskową w US Army, stawali się zadeklarowanymi wyborcami republikanów. „Osoby żołnierskie" w Polsce nie muszą przechodzić takiej transformacji wbrew środowiskom, z których się wywodzą.

KOMU UFAJĄ POLACY

Twarzą unijnego SAFE jest Donald Tusk, człowiek dużo starszy od przeciętnego żołnierza (inaczej niż Nawrocki, który jest prawie ich rówieśnikiem). Na dodatek obecny premier to rekordzista wszystkich badań pod względem niepopularności. Jest gorzej oceniany niż cały jego rząd. Według niedawnego sondażu IBRIS 60,3 proc. Polaków jest niezadowolonych z rządów premiera Tuska. A badanie CBOS, wykonane już po odmowie podpisania ustawy SAFE, pokazało, że 54 proc. Polaków pozytywnie ocenia prezydenckie weta. Ten sam CBOS podaje, że w kwestii reprezentowania państwa 41 proc. ufa prezydentowi, a tylko 29 proc. rządowi. To nawet mniej niż poparcie Koalicji Obywatelskiej.

Jeśli ktoś budzi tak powszechne niezadowolenie, to trudno oczekiwać, aby był jednocześnie przekonujący i wiarygodny. W wielkiej grupie niezadowolonych każde słowo i argument Donalda Tuska będą wzbudzały niechęć lub niewiarę. Także, a może szczególnie wśród żołnierzy i funkcjonariuszy służb mundurowych.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Kto wypycha Polskę z Unii?



Członkostwo w Unii w jej obecnym kształcie nie jest sprawą neutralną politycznie. Przeciwnie, determinuje ono dalsze losy Polski: czy będzie ona państwem suwerennym i demokratycznym, czy też peryferyjnym protektoratem eksploatowanym przez liberalną oligarchię. Tusk blokuje taką dyskusję i nazywa ją polexitem



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Polexit to dzisiaj realne zagrożenie! Pragną go obie konfederacje i większość PiS. Nawrocki jest ich patronem. Rozwalić Unię chcą: Rosja, amerykańska MAGA i prawica europejska z Orbánem na czele. Dla Polski byłaby to katastrofa. Zrobię wszystko, żeby ich powstrzymać" – stwierdził tydzień temu Donald Tusk, uruchamiając w ten sposób szaleńczą kampanię propagandową przeciwko prezydentowi Nawrockiemu i szeroko rozumianej prawicy.

„W wojnie o SAFE wszystkie maski opadły. Dziś już nikt nie może mieć wątpliwości, że najbliższe wybory zdecydują o tym, czy Polska pozostanie w Europie i kto chce nas z niej wyprowadzić. Musimy wspólnie zastopować politycznych szaleńców" – pisał dzień wcześniej na platformie X.

„PATRIOCI" I „ZDRAJCY"

Związek przyczynowo-skutkowy jest tu jasny – ujawnił go przecież sam Tusk – poszło o prezydenckie weto w sprawie unijnego SAFE. Determinacja szefa rządu, aby za wszelką cenę przepchnąć unijną pożyczkę, była tak duża, że wzbudzało to mnóstwo podejrzeń co do jego rzeczywistych intencji. Ogólnie jednak SAFE miało być kotwicą, która zagwarantuje obozowi Tuska długie i nieprzerwane rządy w Polsce.

Prezydenckie weto spowodowało, że Tusk uruchomił zapowiadany wcześniej plan B. Wiadomo już, że będzie on przepychał pożyczkę bez oglądania się na prezydenta, ale musi to jakoś uzasadnić, a na koniec wygrać spór politycznie. Stąd powrót do wielokrotnie już wykorzystywanego hasła polexitu.

Stawką w tej niebezpiecznej grze jest bezpieczeństwo i przyszłość naszego kraju. Tymczasem polityka Tuska, który wyraźnie zmierza do pozbawienia Polski podmiotowości, może się skończyć katastrofą. Szef rządu tradycyjnie odwraca tutaj kota ogonem, a jego propaganda wmawia Polakom, że to Nawrocki i prawica prowadzą państwo do zguby.

Tusk nazywa swoich oponentów „politycznymi szaleńcami", cynicznie sklejając Nawrockiego i PiS z Braunem. Polacy mają uwierzyć, że tylko koalicja rządowa zapewni im stabilność i bezpieczeństwo, bo po drugiej stronie są rosyjska agentura, obłęd, chaos i groźba wybuchu wojny. Być może mamy już przedsmak wyjątkowo brutalnej kampanii przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi. Niewykluczone zresztą, że Tusk będzie chciał pójść za ciosem

eprasa.pl 9e5fa2ed64

i przyspieszyć ich termin. Dlatego rozpala już najgorsze emocje i wchodzi na jeszcze wyższy niż dotąd poziom polaryzacji.

Hasło polexitu – wszystko na to wskazuje – ma być tutaj główną osią sporu. My – czyli Tusk z ekipą – chcemy bezpiecznego rozwoju Polski w Unii, a oni – czyli opozycja i prezydent – dążą do zawieruchy i porzucenia nas na pastwę wrogów. W tym propagandowym ujęciu członkostwo Polski w Unii nie jest już – jak dotąd twierdzono – przywilejem ekonomicznym, ale kwestią absolutnie egzystencjalną. Kto się temu sprzeciwia, ten jest oczywistym wrogiem Polaków. Chodzi teraz o to, aby w tak zarysowany podział – na „patriotów" od Tuska i „zdrajców" z prawicy – uwierzyła jak największa grupa wyborców.

TEMAT TABU

Tusk sięgał po straszak polexitu wielokrotnie i zwykle się to sprawdzało. Kwestia członkostwa Polski w Unii i warunków naszego udziału we wspólnocie zawsze stanowiły bowiem temat tabu – nie wolno było mieć żadnych wątpliwości i niczego kwestionować, bo natychmiast ściągało to na głowę każdego sceptyka potężne gromy ze strony liberalnej oligarchii. Nic więc dziwnego, że nikt rozsądny nie chciał się wychylać, zwłaszcza że co do zasady udział Polski w zachodniej wspólnocie narodów nie był kwestionowany. Trwano więc w poczuciu, że choć Unia ma swoje „błędy i wypaczenia", to zasadniczo kierunek jest słuszny. Efekt tego milczenia był jednak taki, że narastające frustracje zagospodarowały dzisiaj siły skrajne, a bardzo potrzebna dyskusja na temat korzyści oraz strat wynikających z członkostwa Polski w Unii zamieniła się w krzykliwą pyskówkę, w której racjonalne argumenty nie mają siły przebicia. Oczywiście Tuskowi bardzo odpowiada taki scenariusz, bo dzięki temu jest mu łatwiej przedstawiać swoich oponentów jako grono „szaleńców".

> Jeśli ktoś chce doprowadzić do końca członkostwa Polski w Unii, to jest nim sam Tusk. Przynajmniej takie mogą być konsekwencje jego polityki

Niestety PiS dało się tutaj ograć. Być może zbyt długo milczano w obawie przed oskarżeniami o eurosceptycyzm, być może ciągle liczono na dobrą wolę Komisji Europejskiej, a być może uznano – zresztą nie bez pewnych podstaw – że Polska jest już wystarczająco silnym partnerem, aby zacząć stawiać własne warunki. Najbardziej bolesną nauczką była tutaj kwestia Zielonego Ładu i KPO. Rząd Mateusza Morawieckiego, reprezentowany przede wszystkim przez Konrada Szymańskiego, został brutalnie wystawiony do wiatru przez Unię.

Pole manewru wydawało się wówczas bardzo niewielkie. Odrzucenie unijnych propozycji groziło bowiem propagandową nawałnicą w stylu tej, z jaką mamy dziś do czynienia w przypadku SAFE. Morawiecki, kierując państwem w bardzo trudnej sytuacji geopolitycznej (pandemia, wybuch wojny na Ukrainie), nie chciał na to pozwolić. Obawiano się też spadku poparcia przed wyborami w 2023 r. Dziś możemy się zastanawiać, czy te obawy miały jakiekolwiek podstawy, ale wtedy wcale nie było to takie oczywiste. Zdecydowano się więc na zawarcie dealu z Komisją Europejską, aby wytrącić liberalnej opozycji argumenty z rąk. Jak dziś wiemy, nic to nie dało, bo Unia – a konkretnie jej niemiecki trzon polityczny – zwyczajnie oszukała Morawieckiego, blokując wypłaty pod pretekstem braku praworządności. Skorzystał na tym Tusk, który wrócił do władzy pod hasłem odblokowania środków z KPO, które wydano m.in. na jachty i solaria.

Dziś ten sam Konrad Szymański, który kiedyś negocjował z Komisją Europejską i dobrze wie, czym się to skończyło dla rządów PiS, namawia tę partię do pozostania na dotychczasowym kursie wobec Unii, mimo że doprowadziło to do utraty władzy. Trudno te zabiegi interpretować inaczej niż jako próbę usprawiedliwienia własnej – choć nie do końca zawinionej – porażki.

ALBO REFORMA, ALBO UPADEK

Wyraźnie widać, że PiS, nauczone bolesnym doświadczeniem z ostatnich lat, podchodzi dziś do kontaktów z unijnym establishmentem z największą nieufnością. Nie ma bowiem sensu dalej udawać, że Unia jest bezstronną instytucją międzynarodową. Przez osiem lat rządów Prawa i Sprawiedliwości instytucje unijne – począwszy od Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego, kończąc na TSUE – brutalnie ingerowały w naszą politykę wewnętrzną, uzurpowały sobie kompetencje, których nie posiadały i zrobiły wszystko – jak się okazało, skutecznie – aby Donald Tusk powrócił do władzy.

Członkostwo w Unii w jej obecnym kształcie nie jest więc sprawą neutralną politycznie. Przeciwnie, determinuje ono dalsze losy Polski: czy będzie ona państwem suwerennym i demokratycznym, czy też peryferyjnym protektoratem eksploatowanym przez liberalną oligarchię.

Dyskusja na ten temat jest dziś w naszym kraju bardzo potrzebna. Przy czym nie powinno się to odbywać w formie internetowych filmików pod hasłem „etees-sre-te-es", ale na znacznie wyższym poziomie. Mowa jest bowiem o przyszłości naszego państwa.

Tusk blokuje taką dyskusję i nazywa ją polexitem. Mamy siedzieć cicho i bez szemrania przyjmować wszystko, co w naszym imieniu postanowią liberalne elity. Trudno o bardziej wyrazisty przykład zniewolenia. Nie do takiej Unii wstępowaliśmy w 2004 r. i nic dziwnego, że pojawia się coraz więcej głosów krytycznych. Nieobecność lub kunktatorstwo PiS byłyby tutaj niewybaczalne. Oznaczałoby to bowiem oddanie inicjatywy w tej sprawie w ręce Brauna. A to już wymarzony scenariusz dla Tuska, który mógłby się przedstawiać jako jedyna racjonalna siła polityczna w Polsce.

Tusk bardzo by chciał, aby PiS weszło w retorykę polexitu, tymczasem chodzi o coś zupełnie innego: o wewnętrzną reformę wspólnoty, bo jej obecna polityka musi skończyć się klęską. Inaczej mówiąc, przebudowa Unii jest jedyną szansą na jej przetrwanie, a kto – tak jak Tusk – uważa inaczej, ten zmierza ku katastrofie.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Wniosek z tego płynie taki, że jeśli ktoś chce doprowadzić do końca członkostwa Polski w Unii, to jest nim sam Tusk. Przynajmniej takie mogą być konsekwencje jego polityki.

SZANTAŻ PRZESTAJE DZIAŁAĆ

„Andrzej Duda dostał z PiS przekaz – rozpoczynają polexit" – pisał w 2018 r. dzisiejszy rzecznik rządu Adam Szłapka. Trzy lata później ostrzegał, że „pisowski polexit nabiera tempa". „Wchodzimy w fazę galopującego polexitu. Jeśli nie zatrzymamy PiS, Polska będzie poza Unią Europejską" – alarmował w kolejnym wpisie z września 2021 r. „Słowa Morawieckiego nie mają już żadnego znaczenia. Polexit w wykonaniu PiS już się rozpoczął" – dodawał w październiku. A w lutym 2022 r., tuż przed wybuchem wojny na Ukrainie, stwierdził lakonicznie: „PiS = Polexit".

Teraz – zgodnie z linią Tuska – Szłapka pisze: „Braun, Nawrocki, Kaczyński to kierunek na polexit" i zapewnia odważnie: „Zatrzymamy polexit".

Polexit jest dziś odmieniany na wszystkie przypadki. To słowo ma się wdrukować Polakom do głów, choć – co trzeba podkreślić – pojawia się niemal wyłącznie w ustach Tuska i polityków z jego otoczenia. Nikt w PiS nie nawołuje przecież do opuszczenia Unii.

Nasz redakcyjny kolega Krzysztof Feusette zauważył, że po raz pierwszy polexit pojawił się w wypowiedziach polityków PO już w 2008 r. Wobec ogromnego poparcia Polaków do członkostwa naszego kraju w Unii była to bowiem najlepsza forma zamykania ust oponentom. Dziś jednak zaczyna się to zmieniać.

Z sondażu Eurobazooka przeprowadzonego pod koniec listopada 2025 r. wynika, że aż 25 proc. Polaków chce wyjścia z Unii. Tymczasem jeszcze w 2022 r. za pozostaniem we wspólnocie opowiadało się 92 proc. ankietowanych. W ten sposób w ciągu zaledwie trzech lat z pozycji największych entuzjastów Unii przenieśliśmy się na miejsce największych eurosceptyków. Podobne są wyniki innych badań. Ipsos podobnie jak Eurobazooka naliczył 25 proc. przeciwników polskiego członkostwa w Unii, a brytyjski YouGov – 26 proc. Oznacza to, że Polaków rozczarowanych Unią zaczęło przybywać, i to w bardzo szybkim tempie.

Po ponad 20 latach członkostwa Unia, traktowana początkowo jako motor napędowy Polski, stała się nagle hamulcem naszego rozwoju. Jeżeli jeszcze kilka lat temu zdecydowana większość Polaków myślała, że czekają nas dekady niekończącej się szczęśliwości i bogactwa, to dziś przestajemy w to wierzyć. Jest odwrotnie – Unia coraz częściej zaczyna kojarzyć się z biedą i niepewnością.

Przy czym nie chodzi tu tylko o nasze podcięte skrzydła czy zablokowane aspiracje. Za sprawą obłąkanej polityki klimatycznej stajemy w obliczu katastrofy gospodarczej na niespotykaną dotąd skalę. Grozi nam głód i chłód – w sensie dosłownym. Zielony Ład może doprowadzić do zagłady rolnictwa i kryzysu energetycznego. Jeżeli te szalone pomysły zostaną wprowadzone w życie, to istnieje duże ryzyko, że cofniemy się w rozwoju o kilka dekad.

Unijna oligarchia potrafi jedynie ciąć koszty i maksymalizować zyski. To dlatego w ostatnich latach ściągnięto miliony imigrantów, którzy stali się gigantycznym obciążeniem dla przyjmujących państw. Wymyślono więc pakt migracyjny, który przerzuci koszty tej nieudanej „inwestycji" na zwykłych ludzi. Polska, która dotąd skutecznie opierała się temu „ubogaceniu", będzie prawdopodobnie musiała przyjąć dziesiątki tysięcy zupełnie niezintegrowanych z naszym światem ludzi. Na zawsze zmieni to krajobraz społeczny naszego kraju i stanie się przyczyną groźnych konfliktów. Wszystko to powoduje, że problem z Unią zaczyna mieć dla nas charakter egzystencjalny.

> Narastające frustracje zagospodarowały siły skrajne, a bardzo potrzebna dyskusja na temat korzyści i strat wynikających z członkostwa Polski w Unii zamieniła się w krzykliwą pyskówkę

PISTOLET POLEXITU

W rozczarowaniu Polaków kryje się odpowiedź na pytanie, kto wypycha nas z Unii. Otóż robi to unijna oligarchia – także rękami Tuska – kompletnie ignorując nastroje społeczeństwa i pozbawiając je prawa głosu w najbardziej codziennych sprawach. Bo czy ktoś pytał nas o zdanie np. w sprawie absurdalnego systemu kaucyjnego albo kosztownych inwestycji w nowe źródła energii? To samo dotyczy wspomnianej imigracji i wielu innych spraw. Gdzieś daleko stąd ktoś coś wymyślił i dał innemu zarobić, a my mamy się temu podporządkować i na rozkaz wyskakiwać z funduszy.

Ludzie zazwyczaj głosują portfelami i dostrzegają, że coraz częściej brakuje im w nich pieniędzy, a ich świat dookoła zmienia się na gorsze. Nielicznym żyje się za to coraz lepiej.

Z przytoczonych sondaży wynika też, że wśród osób deklarujących poparcie dla członkostwa w Unii ponad połowa uważa, iż wspólnota nie działa we właściwy sposób. Oznacza to, że większość Polaków – łącznie 61 proc. – ma zastrzeżenia do funkcjonowania UE. Przy czym część z nich ciągle jeszcze wierzy w Unię, a inni już porzucili tę wiarę.

Takie wyniki oznaczają, że Tusk – będący dziś główną twarzą Unii w Polsce – może mieć wkrótce problem. Dlatego jeszcze raz skierował w stronę opozycji pistolet polexitu, wiążąc to tym razem z bezpieczeństwem i zagrożeniem ze strony Rosji. To – być może – ostatnia szansa na odwrócenie lub zatrzymanie eurosceptycyzmu Polaków. O ile oczywiście uwierzą oni, że tylko Unia uratuje ich przed wojną. Prawda jest jednak taka, że UE w swoim obecnym kształcie nikogo – oprócz Tuska – nie zamierza ratować.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Kolejna bitwa o Trybunał



Prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski



JAN ROKITA

Istotą batalii o Trybunał Konstytucyjny jest to – parafrazując sławne zdanie premiera Jana Olszewskiego – czyj będzie Trybunał, a nie jaki ma być

Trwająca już dekadę partyjna batalia o kontrolę nad Trybunałem Konstytucyjnym od dawna dotyczy wyłącznie polityki, a nie prawa. Tylko w trybie politycznego zawieszenia broni mogłaby więc zostać zakończona. Co prawda w parlamencie i mediach – ilekroć powraca kwestia obsady Trybunału – fruwają sprzeczne nawzajem argumentacje prawnicze i konstytucyjne. Ale przecież każdy rozsądny obywatel wie, że to wszystko fikcja odprawiana przez partyjnych polityków i prawników na ich usługach. Fikcja, która jest utrzymywana od jakiegoś czasu nawet bez szczególnej troski o pozory legalizmu, zwłaszcza odkąd w grudniu 2024 r. rząd Tuska ogłosił tzw. uchwałę 162, zawieszającą bez terminu co najmniej 11 norm konstytucji kwietniowej 1997 r. odnoszących się wprost lub pośrednio do ustroju, składu i organizacji Trybunału Konstytucyjnego.

Jeszcze do 2023 r. pod rządami prawicy większość rządowa starała się dbać o formalne pozory legalizmu, nie podejmując żadnych kroków w sprawie Trybunału bez wcześniejszej, wygodnej dla swoich celów nowelizacji ustaw. Nie ma wątpliwości, że były to pozory, zwłaszcza że ustawę o Trybunale Konstytucyjnym potrafiono „dostosowywać" do bieżących i szybko zmieniających się partyjnych potrzeb nawet co drugi tydzień. Ale w tej dbałości PiS o formalne pozory legalizmu tkwił jednak pewien rodzaj respektu dla własnego państwa i jego praw konstytucyjnych.

Tusk dość bezceremonialnie uciekł się do praktyki otwartego gwałtu na legalizmie, motywowanego interesem partyjnym obozu władzy. I od tej pory, czyli od grudnia 2024 r., jest najzupełniej jasne, że – jakby to kiepsko nie brzmiało – batalia o Trybunał Konstytucyjny nie ma wiele wspólnego ani z konstytucją, ani z prawem, ale jest kwestią czystej polityki. A wszyscy, którzy z udawanym namaszczeniem cytują i wykładają przepisy tak jak im wygodnie, po prostu grają tylko swoje komediowe role przed opinią publiczną.

ODPUŚCIC CZY WALCZYĆ?

Każdy dobrze rozumie, że istotą batalii o Trybunał Konstytucyjny jest to (parafrazując sławne zdanie premiera Jana Olszewskiego), czyj będzie Trybunał, a nie jaki ma być. Dziś PiS ma w nim ośmiu ludzi, a największym atutem politycznym prawicy w Trybunale po-

Autopromocja

eprasa.pl 9e5fa2ed64

zostaje prezes Bogdan Święczkowski, twardy zawodnik, zaprawiony w partyjnych bojach u boku ministra Zbigniewa Ziobry, tym bardziej że jego mandat prezesa wygasa w grudniu 2027 r., a więc dopiero po następnych wyborach parlamentarnych. Nadto PiS utrzymuje w Trybunale siedmiu sędziów, z których – co istotne – kadencja dwóch kończy się jeszcze w 2026 r., a jednego – na początku 2027 r.

Jeśli Tusk będzie kontrolować większość parlamentarną co najmniej do końca tego roku (a nic nie wskazuje, by miało być inaczej), to PiS w normalnej procedurze nie zdoła utrzymać swoich aktywów w Trybunale.

Polityczne pytanie, na które muszą dziś odpowiedzieć Kaczyński i Nawrocki, brzmi: czy bez oporu oddać Tuskowi kontrolę nad TK? Oraz jakie polityczne skutki mogłoby mieć takie miękkie i grzeczne wyzbycie się Trybunału, który premier w praktyce i tak prawie (choć nie do końca) zablokował?

Od czasu objęcia władzy obóz Tuska wstrzymywał się z obsadzaniem przez większość sejmową kolejnych pojawiających się wakatów trybunalskich, sądząc zapewne, że w ten sposób uwiarygadnia swoją praktykę nieuznawania TK oraz niepublikowania i ostentacyjnego lekceważenia jego wyroków. Ale prawdę mówiąc, owo niewysyłanie przez Tuska swoich ludzi do Trybunału w praktyce i tak nie miało znaczenia: z nimi czy bez nich, uzurpacja władzy, jaką była sławetna uchwała nr 162, pozostawałaby deliktem konstytucyjnym, podpadającym bez cienia wątpliwości (przynajmniej wedle zasady prawa) pod osąd Trybunału Stanu. Pisowski Trybunał wydawał więc dotąd wyroki sobie a muzom, a rząd próbował je ignorować, choć – jak się zaraz okaże – nie był w stanie tego robić do końca.

Tusk nagle zmienił taktykę, choć wprowadzenie do Trybunału Konstytucyjnego nawet szóstki jego nowych ludzi, wybranych przez Sejm 13 marca, i tak nie daje mu jeszcze trybunalskiej większości niezbędnej do przesądzania o treści wyroków. Ale premier wie, że niemal za chwilę Sejm wybierze jego kolejnych dwóch ludzi, a wtedy będzie mógł polecić rozpoczęcie wewnątrz Trybunału prawdziwej konfrontacji ze Święczkowskim. W tej walce większości sędziów przeciw prezesowi realne siły byłyby mniej więcej wyrównane, zważywszy zwłaszcza na rozległe jednoosobowe uprawnienia prezesa do doboru składów orzekających. Wybór szóstki z 13 marca jest więc zapowiedzią tego, co ma się zdarzyć już za chwilę.

> Do czego Tuskowi może być potrzebne kontrolowanie Trybunału Konstytucyjnego? W najbardziej drastycznym scenariuszu do hipotetycznej delegalizacji PiS lub którejś innej partii prawicowej

Tymczasem akcja została rozłożona na dwa etapy, aby wyglądać – tylko na pozór – proceduralnie bardziej przyzwoicie, niż gdyby jesienią podjęto atak za wysłaniem pełnej ośmioosobowej trybunalskiej drużyny Tuska, gotowej z dnia na dzień zawładnąć większością w 15-osobowym sądzie. Po stronie premiera uznano zatem, że przejęcie większości, odmrożenie Trybunału i konfrontacja z Święczkowskim opłaca się Platformie (teraz zwanej KO) w jej politycznej rozgrywce o władzę z prawicą.

KALKULACJE TUSKA

Tymczasem rachunek zysków i strat po obu stronach wcale nie jest oczywisty. Tusk ma na głowie Nawrockiego, gotowego na efektywne wetowanie każdej ustawy rządowej, która zmierzałaby do takiego bądź innego osłabienia prawicy albo pozbawienia jej posiadanych politycznych aktywów. Jest zatem zasadnicza różnica, gdy idzie o polityczne znaczenie Trybunału Konstytucyjnego dla Kaczyńskiego w latach jego władzy 2015–2023 oraz dla Tuska w 2026 r.

Kaczyński rozumiał, że kontrolowanie przez Tuska Trybunału oznacza blokadę wszystkich jego politycznych planów wiążących się z uchwalaniem ustaw, z reformą sądową i skarbową na czele. W tamtym czasie wyrwanie premierowi TK było zatem dla jego zwycięskiego obozu czymś na kształt partyjnej racji stanu. Dlatego w 2015 r. Kaczyński zdecydował się nie tylko na usunięcie ze składu Trybunału dwóch sędziów wybranych przez Platformę „na wyrost", lecz także wykorzystał tamtą okazję do szybszego niż by wynikało z normalnych procedur przejęcia kontroli nad Trybunałem. Tak rozpoczęła się przewlekła awantura o tzw. dublerów.

Zatem do czego Tuskowi może być teraz potrzebne uruchomienie na nowo przymrożonego Trybunału? W najbardziej drastycznym scenariuszu – o ile premier rozważałby coś na kształt przedwyborczego puczu z obawy przed utratą władzy i odpowiedzialnością konstytucyjną bądź karną – działający i kontrolowany Trybunał mógłby się przydać do hipotetycznej delegalizacji PiS lub którejś innej partii prawicowej. Na razie niewiele wskazuje na taką odwagę działania Tuska, więc ten scenariusz nie rysuje się jako realistyczny.

Być może ożywienie Trybunału jest Tuskowi potrzebne w jego relacjach z instytucjami unijnymi – po to, by pochwalić się, iż po dwóch latach rządów w końcu udaje mu się w Polsce normalizacja, czyli mówiąc językiem euroideologii – „przywracanie praworządności". Ostatnio dość złowieszczo dla premiera musiały



NOWOŚĆ!
PRENUMERATA SIECI PRZEZ InPost
Zamów na: prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

CO ZYSKUJESZ?
Tygodnik SIECI odbierasz **już w poniedziałek** ze swojego paczkomatu
Możesz go zmienić na inny np. na czas urlopu

eprasa.pl 9e5fa2ed64

bowiem zabrzmieć zainspirowane przez Węgrów rozważania w czołowych europejskich gazetach (m.in. w „Politico") na temat tego, że skoro unijny sąd w Luksemburgu zdaje się zmierzać w stronę wyroku nakazującego Węgrom oddanie 10 mld euro, które Komisja Europejska wypłaciła im w nadziei na „postęp praworządności", którego jednak nie ma, to czy taki sam nakaz nie powinien dotyczyć kwoty 137 mld euro, jakie awansem wziął rząd Tuska, obiecując odwojowanie całego sądownictwa z rąk PiS, w czym jednak do dziś nie widać żadnego postępu? Odwojowany na rzecz Platformy (czyli „sił praworządności") Trybunał Konstytucyjny z pewnością zrobiłby dobre wrażenie nie tylko w Brukseli, lecz przede wszystkim w sądzie w Luksemburgu.

Sądzę jednak, że kluczowy powód, dla którego Tusk odmraża teraz Trybunał jest taki, że mimo bezprecedensowej uchwały rządu nr 162, kilku uchwał Sejmu, odmowy publikowania wyroków i co rusz nawracających ataków na polski TK ze strony unijnych sędziów z Luksemburga, tak naprawdę kontrolowanego przez Kaczyńskiego Trybunału nie udało się w pełni ubezwłasnowolnić.

Widać to choćby po doniosłym społecznie wyroku z 2024 r., przywracającym sporej grupie starych ludzi urodzonych w latach 50. XX w. należną im, a sztucznie zaniżaną przez lata emeryturę wraz z odszkodowaniami sięgającymi 100 tys. zł. Choć Tusk nie opublikował i nie uznaje również tego wyroku, to faktycznie zaczęły go stosować sądy, zmuszając w ten sposób rząd do przygotowania specustawy mającej przywrócić sprawiedliwość. Premier potrzebuje kontroli nad Trybunałem, aby sędziowie nie robili mu tego rodzaju niespodzianek finansowych.

Jeszcze większe znaczenie ma to w tuskowej strategii walki z sędziami mianowanymi przez prezydenta Dudę, których obóz władzy – jak wiadomo – nie uznaje za sędziów i za wszelką cenę chce usunąć z zawodu. Co prawda gwarantem tego, iż żadna ustawa kagańcowa przygotowana w resorcie Żurka nie wejdzie w życie, jest oczywiście nie Trybunał, lecz prezydent. Tyle tylko, że zdając sobie z tego sprawę, minister próbuje obejść wymóg ustawy i przeprowadzić czystki sądowe za pomocą regulaminów albo innych regulacji wewnętrznych, dotyczących np. sztucznej eliminacji części sędziów ze składów orzekających. A Trybunał już kilkakrotnie stwierdzał nielegalność takich prób, dając sędziom Sądu Najwyższego narzędzie, za pomocą którego mogą się przeciwstawić czystkom Żurka. Tusk oczywiście nie uznaje i nie publikuje także tych wyroków – cóż jednak z tego, kiedy i tym razem w praktyce stosowała je np. pani prezes Sądu Najwyższego.

> Być może ożywienie Trybunału jest Tuskowi potrzebne w jego relacjach z instytucjami unijnymi – po to, by się pochwalić, iż po dwóch latach rządów w końcu udaje mu się w Polsce normalizacja, czyli mówiąc językiem euroideologii – „przywracanie praworządności"

Aby rozstrzygnąć fundamentalną politycznie dla tej ekipy walkę o sądy na swoją rzecz oraz móc się wykazać w Brukseli i Luksemburgu, Żurek potrzebuje politycznego sojusznika w Trybunale Konstytucyjnym, gdyż nie ma go w najwyższych władzach Sądu Najwyższego. W tym sensie ożywiony i uplatformiony Trybunał przydałby się zapewne Tuskowi w dalszej rozgrywce z prawicą o sądy i sędziów.

DWA ROZWIĄZANIA

I chyba to jest kluczowy powód, dla którego Nawrockiemu i Kaczyńskiemu nie opłaca się dziś miękko oddawać Tuskowi kontroli nad Trybunałem. Przecież od dawna realne interesy partyjne w TK są maskowane trikami proceduralnymi. Teraz znów niby chodzi o jakieś sztuczki: a to Czarzasty nie umiał – nawet w tak wrażliwej sytuacji – nie złamać procedur sejmowych przy wyborze 13 marca sześciu sędziów Tuska, a to znów toczy się *stricte* formalny spór o to, czy sędzia wybrany przez Sejm, ale niezaprzysiężony przez głowę państwa, jest sędzią, czy nim nie jest.

U Żurka kombinują już, jak odebrać przysięgę od sędziów w inny sposób niż podczas uroczystości w pałacu prezydenckim. A może wybrani sędziowie Tuska złapią gdzieś Nawrockiego i wykrzyczą w jego obecności rotę przysięgi albo przyślą mu ją pocztą? Albo Czarzasty zwoła do odebrania przysięgi Zgromadzenie Narodowe, tak jak odbiera się przysięgę od nowo wybranego prezydenta?

Jedno jest jasne. Rozgrywka o Trybunał ma charakter polityczny, a nie prawny czy proceduralny. Niestety przepisy i procedury od dawna służą za parawan maskujący rzeczywistość. Natura współczesnych prawników jest taka, że potrafią przekręcić niemal każdy przepis, zwłaszcza jeśli reguluje on materię państwowych procedur. A jeśli nawet nie potrafią, to wtedy *par force* posłuszny prawnik – minister Berek – przygotuje Tuskowi uchwałę rządu uchylającą przepisy konstytucji.

W takich okolicznościach zawsze istnieją dwie polityczne możliwości. Albo strony – jak na prawdziwej wojnie – zawierają polityczny rozejm, najczęściej wedle zasady *uti possidetis* (czyli każdy szanuje i nie atakuje pozycji zdobytych i obsadzonych przez przeciwnika). I wtedy można czynić sobie także ustępstwa: np. koniec represji wobec sędziów mianowanych przez Dudę w zamian za Trybunał Konstytucyjny. Albo też – jeśli Tusk nadal nie chce żadnego rozejmu w wojnie o sądy – prawica musi kontynuować polityczną batalię o każdą zdobytą pozycję. I nie oddawać bez bitwy żadnej pozycji.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Czy przeproszą za kłamstwa o Janie Pawle II?



GORAN ANDRIJANIĆ

Teraz, kiedy po publikacjach Tomasza Krzyżaka i Piotra Litki stało się jasne, że dokument TVN24, który oskarżał kard. Karola Wojtyłę o ukrywanie księży pedofilów, jest zbudowany na manipulacjach, czy ktoś przeprosi za szerzenie kłamstw?

„Kard. Karol Wojtyła nie krył pedofili" – taki tytuł nosi tekst dziennikarzy „Rzeczpospolitej" Tomasza Krzyżaka i Piotra Litki. Artykuł, o którym cała polska opinia publiczna dyskutuje od momentu jego opublikowania.

Dziennikarze uzyskali dostęp do archiwów archidiecezji krakowskiej i na podstawie przeanalizowanych tam dokumentów doszli do wniosku, iż żadne z oskarżeń o rzekome tuszowanie pedofilii przez kard. Wojtyłę nie jest prawdziwe.



Kadr z filmu „Franciszkańska 3" – autor dokumentu Marcin Gutowski, reporter TVN24

Fot. Screen TVN24

Po opublikowaniu tych nowych badań o Janie Pawle II i jego zachowaniu wobec przypadków pedofilii w Kościele okazało się, że naprawdę jest tak, jak zawsze mówili uczciwi i cierpliwi ludzie: prawda wygrywa, nawet jeśli trzeba trochę poczekać na jej triumf.

Przecież większość z nas wciąż dobrze pamięta kampanię przeciwko św. Janowi Pawłowi II rozpoczętą w marcu 2023 r. przez lewicowo-liberalne media, oczywiście z pomocą kilku publicystów deklarujących się jako katolicy.

OSKARŻENIE W TVN24

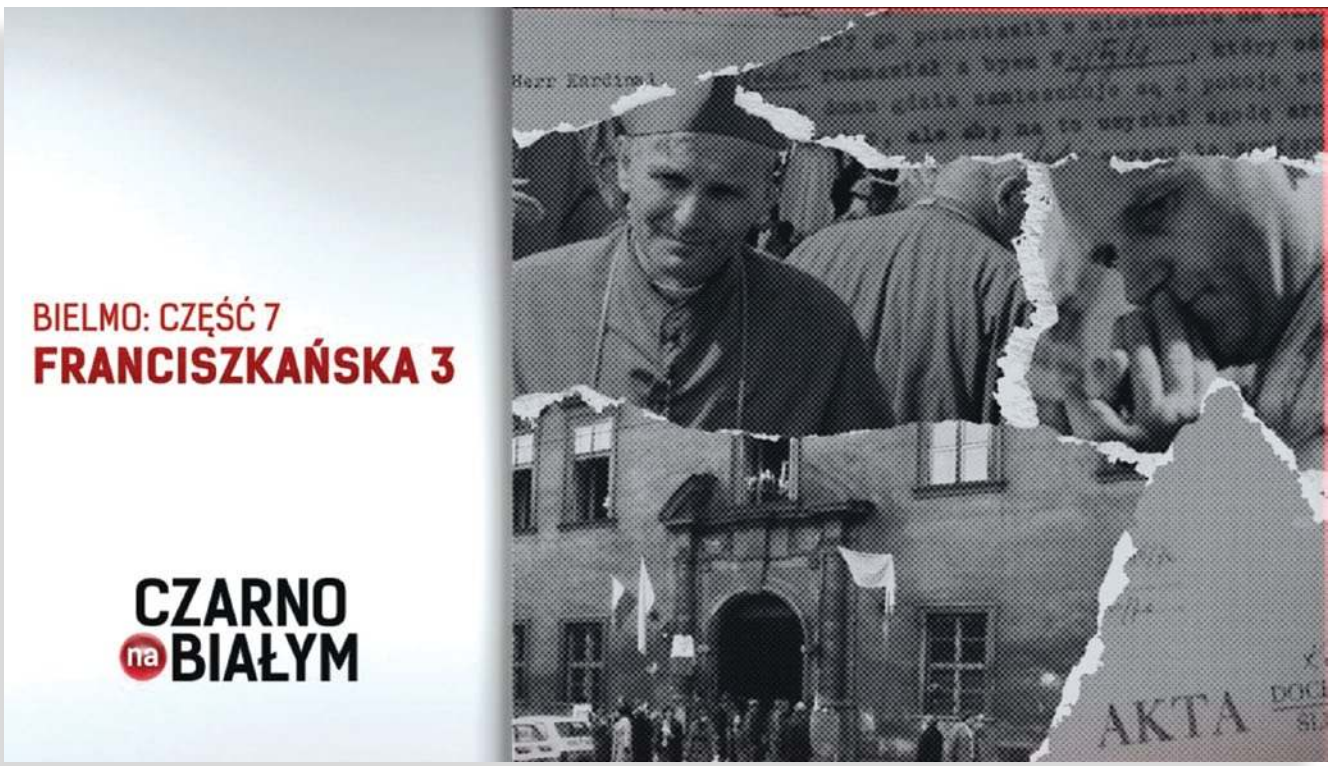
Film dokumentalny „Franciszkańska 3" reportera TVN24 Marcina Gutowskiego oskarżył Jana Pawła II o tuszowanie przypadków wykorzystywania seksualnego nieletnich przez księży w czasach, gdy był on jeszcze arcybiskupem krakowskim. Każdy, kto oglądał ten dokument, już po kilku minutach mógł sobie uświadomić, że Gutkowski miał zamiar stworzenia medialnej konstrukcji, która za wszelką cenę pokaże Karola Wojtyłę jako kogoś, kto tolerował pedofilię i był niewrażliwy na cierpienie ofiar.

W filmie jako jeden z autorytetów był cytowany holenderski dziennikarz Ekke Overbeek, autor książki o pedofili w Kościele katolickim, który całą wiedzę o wydarzeniach opiera na dokumentach komunistycznej Służby Bezpieczeństwa. Pozostałe cytowane w filmie „autorytety" również nie były od tego dalekie. Pewnej autentyczności reportażowi nadawały zeznania ofiar księdza pedofila Eugeniusza Surgenta, które pozostały anonimowe. Żadna z ich wypowiedzi nie stanowiła jednak dowodu przeciwko Janowi Pawłowi II.

Kulminacje manipulacji i obrzydliwej propagandy stanowił fragment o kard. Adamie Sapiesze, poprzedniku Wojtyły na stanowisku arcybiskupa krakowskiego. Film określa go jako „homoseksualnego grabieżnika". Kto był źródłem tej informacji? Jakiś „ksiądz patriota", alkoholik i współpracownik UB, którego Sapieha suspendował.

Jego oskarżenia były tak absurdalne, że nawet komuniści nie traktowali ich poważnie, bo nie mogli ich wykorzystać. Ale dlatego wykorzystali je „reporterzy

eprasa.pl 9e5fa2ed64



śledczy" III RP, dodając w filmie obrzydliwą insynuację, że to „homoseksualizm" i pedofilia Sapiehy były powodem, dla którego Wojtyła tolerował później pedofilię w swojej diecezji.

„Podawanie jako wiarygodnych zeznań tzw. księży patriotów, czyli gorliwych współpracowników SB, to przecież jawne matactwo. Tak jak niebranie pod uwagę ahistoryczności zarzutów czy potrzeby krytycznej oceny źródeł. Dlatego właśnie po emisji filmu Marcina Gutowskiego w TVN 24 tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że nie o szukanie prawdy ani o pomoc poszkodowanym tu chodzi" – napisała wtedy znana katolicka publicystka Milena Kindziuk.

PRAWDA W ARCHIWACH

Na szczęście byli jednak i tacy dziennikarze, którzy od początku oskarżeń pod adresem Wojtyły wciąż szukali prawdy. Wśród nich na pewno trzeba wyróżnić wspominanych już żurnalistów „Rzeczpospolitej".

„Ani w archiwach państwowych, ani kościelnych nie ma dowodów na to, by kard. Karol Wojtyła, będąc metropolitą krakowskim (1962–1978), tuszował pedofilię" – czytamy na początku tekstu Krzyżaka i Litki.

„Wojtyła nie przenosił księży z parafii do parafii, gdy dowiedział się o ich przestępczej działalności, ale podejmował szybkie działania, które nakazywało prawo kościelne. Niektóre jego decyzje – jak np. wysłanie w 1969 r. księdza podejrzewanego o krzywdzenie dzieci na badania psychiatryczne – były jak na tamte czasy ponadstandardowe" – piszą dziennikarze.

I relacjonują: „Obecny metropolita krakowski, kard. Grzegorz Ryś, udzielił nam zgody na zbadanie dokumentów księży Eugeniusza Surgenta, Józefa Loranca oraz Bolesława Sadusia. Dwaj pierwsi w latach 70. zostali skazani na kary pozbawienia wolności za seksualne wykorzystanie dzieci. A wedle przekazów medialnych z początków 2023 r., gdy Wojtyła dowiedział się, że ks. Saduś krzywdzi dzieci, miał wysłać go do Austrii. Działania Wojtyły w odniesieniu do ks. Surgenta oraz ks. Loranca, gdy dowiedział się o ich przestępstwach, były szybkie i zdecydowane: zawieszenie w obowiązkach, nakaz opuszczenia parafii i polecenie zamieszkania w wyznaczonym miejscu do czasu wyjaśnienia sprawy... W przypadku ks. Sadusia nie znaleźliśmy zaś żadnego dowodu na to, by do Wojtyły kiedykolwiek doszły wiadomości o tym, że miał on krzywdzić dzieci" – napisali dziennikarze, burząc całą narrację dokumentu Gutowskiego, w którym była mowa właśnie o tych trzech przypadkach.

KAMPANIA DYFAMACYJNA

A jeśli Gutowskiemu – jak słusznie zauważyła Kindziuk – nie chodziło o ofiary, to o co?

To stało się jasne po wyemitowaniu dokumentu w TVN24, kiedy zaczęła się natychmiastowa kampania całkowitej dyskredytacji nie tylko postaci, lecz także dzieła Karola Wojtyły. Różni analitycy i publicyści rozpoczęli rywalizację o napisanie najbardziej dramatycznego tekstu na temat „upadku Jana Pawła II" i tego, jak nadszedł czas, by Polacy zdystansowali się od jednego z największych synów narodu polskiego, bo, jak twierdzono bez żadnego poważnego uzasadnienia, „chronił pedofilów".

Od samego początku chodziło wyłącznie o jedno – zdyskredytowanie, zdekonstruowanie jednego z najważniejszych autorytetów patriotycznej

Fot. Screen TVN24

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Polski i nie tylko jej. Duchowe, intelektualnie i ludzkie dziedzictwo św. Jana Pawła II jest po prostu największą przeszkodzą dla każdego chcącego zarządzać i manipulować polskim społeczeństwem. Ten, kto pragnie kontrolować dusze Polaków, musi eliminować dziedzictwo Wojtyły. I nie chodzi o to, że robimy tutaj „bożka" z Jana Pawła II. Polski święty pozostaje ważny, bo jego dzieło stanowi emanację tego, czym jest polskość i jak wiele niesie.

Narracja dekonstrukcji przedostała się również do kręgów katolickich. Jej głównym przedstawicielem jest Tomasz Terlikowski. Publicysta, który już o dłuższego czasu z pewną dozą fanatyzmu pisze o potrzebie „rozliczenia z dziedzictwem Jana Pawła II" (przypominam, że z tym samym fanatyzmem kiedyś go bronił), pomógł rozpowszechnić kłamstwa, które Gutowski promował w swoim filmem. Pojawił się także w dokumencie, i to w scenach, w których padają oskarżenia pod adresem Sapiehy.

„Sprawa kard. Sapiehy to sprawa, o której w plotkach, sugestiach, niedopowiedzeniach mówi się od lat" – powiedział Terlikowski w filmie. A kiedy Gutowski go zapytał, co się mówi, stwierdził: „Zadaje się pytanie, dlaczego tak późno został kardynałem. To jest jedno z pytań. Mówi się o tzw. arystokratycznej chorobie, jaka miała go dręczyć. Księża opowiadają sobie historie o strojach gimnastycznych, w które ubierano młodych chłopców, żeby ćwiczyli przed kardynałem, kiedy przyjeżdżał do nich".

W swojej znakomitej naukowej analizie filmu „Franciszkańska 3" dr Klaudia Rosińska, wykładowca na Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, napisała następujące słowa, komentując właśnie ten segment: „W całym tym wątku rodzi się fundamentalne pytanie, czy dziennikarz śledczy w ogóle powinien powielać tego typu twierdzenia w swoim reportażu?".

I jeszcze: „Zdania są skonstruowane w trybie warunkowym, ale jednak orzekającym, a nie przypuszczającym. To, że na początku użyto twierdzeń »jeżeli« oraz »wygląda na to«, wbrew pozorom nie zmniejsza siły oddziaływania przekazu. Cała interpretacja jest budowaniem dalszych wniosków opartych o nieweryfikowalne i mało wiarygodne źródła, które zresztą do Wojtyły nie odnoszą się w ogóle. Znowu rodzi się pytanie, dlaczego dziennikarze i komentatorzy dyskutują o informacjach i snują na ich podstawie domysły, skoro sami wskazują, że mogą być nieprawdziwe".

Także katolicki publicysta Tomasz Rowiński uważa, że mamy do czynienia z pewną kampanią, która ma niewiele wspólnego ze wsparciem dla ofiar pedofilii. – Wprawdzie nie jestem skłonny do szybkiego przypisywania innym ludziom, nawet politykom i publicystom, złej woli, jednak w sprawie kampanii przeciwko dobremu imieniu Jana Pawła II trudno o inną ocenę działań, jakich byliśmy świadkami – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". – Książka Overbeeka, reportaże Gutowskiego, publicystyka Terlikowskiego czy twórczość braci Sekielskich okazały się w znacznej mierze twórczością śmieciową. Na fali zupełnie rzeczywistego problemu, którym okazały się drapieżnictwo seksualne w Kościele i słabość instytucji kościelnych w radzeniu sobie z takimi przypadkami (zresztą to samo można powiedzieć o środowiskach i instytucjach świeckich), spróbowano także wytworzyć w Polakach przekonanie, że jeden z ich największych rodaków był po prostu przestępcą seksualnym. Zapewne motywacje stojące za tymi działaniami różnych autorów były rozmaite: ideologiczne zacietrzewienie, słaby warsztat dziennikarski, konformizm. Dziś możemy powiedzieć, że mamy do czynienia ze zorganizowaną wrogością wobec Kościoła, która posiada zdolność zręcznego uwiarygodniania kłamstw na jego temat i mobilizowania przeciw ludziom wiary licznych słabych umysłów. Niestety musimy powiedzieć, że wielu katolików także ulega tego rodzaju propagandzie. Tymczasem naszym celem powinno być zawsze docierania do prawdy, niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie.

> Dziś możemy powiedzieć, że mamy do czynienia ze zorganizowaną wrogością wobec Kościoła, która ma zdolność zręcznego uwiarygodniania kłamstw na jego temat i mobilizowania przeciw ludziom wiary licznych słabych umysłów – mówi katolicki publicysta Tomasz Rowiński

Pytanie zadawane sobie teraz przez wszystkich, którzy ze zdumieniem obserwowali kampanię dyfamacyjną Korala Wojtyły, brzmi: czy jej twórcy przeproszą polską opinię publiczną? To pytanie wcale nie jest kapryśne. Chodzi o odpowiedzialność za wypowiadane słowo, świadomość, że istnieją pewne zasady i granice w recenzowaniu innych.

– Oczywiście, że nikt za nic nie będzie przepraszał – komentuje realistycznie Rowiński. – Wśród wrogów Kościoła powszechny jest styl myślenia, że ta instytucja zbawienia jest po prostu w sensie historycznym winna różnym złym rzeczom i należy ją zniszczyć, nie oglądając się na godziwość środków. Podam przykład. W Australii z badań opinii publicznej wynikało, że kard. George Pell powinien być skazany na więzienie, nawet jeśli nie zostanie mu udowodniona wina przestępstwa seksualnego, ponieważ ktoś w Kościele musi zostać ukarany za jego winy. Oczywiście były winy poszczególnych księży, ale w rzeczywistości Pell miał się stać kozłem ofiarnym społecznego oburzenia.

Najbardziej absurdalne w tym wszystkim jest to, że ci, którzy projektują takie kampanie, twierdzą, że robią to z najlepszymi intencjami. Zapytani, czy przeproszą za swój udział w kampanii kłamstw, zawsze odpowiadają, że „wykonywali swoją pracę dziennikarską" i „zadawali pytania". A kto zada takim „badaczom prawdy" pytanie o odpowiedzialność za kłamstwa, które rozpowszechniają?

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Pytania o zdolności naszego kontynentu do obrony



MAREK BUDZISZ

Konflikt wokół Iranu boleśnie uświadamia wszystkim jego obserwatorom skalę europejskich ograniczeń. Armie Starego Kontynentu, budowane przez lata po to, aby odgrywać rolę sił pomocniczych, nie są w stanie uczestniczyć w wojnie o takim poziomie intensywności, toczonej setki i tysiące kilometrów od własnych granic

„Sytuacja jest obecnie niezwykle dynamiczna. Nie widzę wielu krajów gotowych do wysłania okrętów wojennych w sam środek tego zagrożenia" – powiedział dziennikowi „The Telegraph" anonimowy przedstawiciel brytyjskiego resortu obrony wysokiej rangi. Inni reprezentanci Europy wypowiadają się podobnie. Kanclerz Merz powiedział, że „to nie nasza wojna" i wykluczył wojskowe zaangażowanie Niemiec w konflikt. Podobnie Francja, która mimo że wysłała wielką armadę we wschodnią część Morza Śródziemnego, nie ma zamiaru pójść o krok dalej.

Tego rodzaju postawa wywołuje niezadowolenie Waszyngtonu. Prezydent Trump udzielił ostrej reprymendy premierowi Starmerowi, mówiąc, że Wielka Brytania przyłączy się do wojny, kiedy będzie miała pewność, że już ją wygraliśmy, a w stronę europejskich sojuszników skierował słowa, iż „Ameryka zapamięta" ich postawę i w związku z tym przyszłość NATO stoi pod znakiem zapytania.

CO MOGĄ NAJWIĘKSI W EUROPIE

Oprócz kwestii politycznych, które wydają się determinować postawę największych państw europejskich, pojawiają się pytania o ich zdolności wojskowe. Innymi słowy – czy najwięksi europejscy gracze orędujący za autonomią, a nawet samodzielnością strategiczną naszego kontynentu, dysponują potencjałem wojskowym, który daje nadzieję na to, że jeśli wojna wybuchnie gdzieś daleko od granic Francji czy Niemiec, będą w stanie samodzielnie przeciwstawić się przeciwnikowi?

WIELKA BRYTANIA

Zacznijmy od sprawy podstawowej, czyli tego, czy w ogóle dotrą w rejon starcia. Wielka Brytania potrzebowała ponad tygodnia na przygotowanie do wypłynięcia z portu HMS Dragon, mimo że – jak donosiła prasa – już kilka tygodni wcześniej Amerykanie informowali Londyn o tym, iż uderzenie na Iran nastąpi. Ten niszczyciel rakietowy jest

Fot. FADEL ITANI/AFP/East News

eprasa.pl 9e5fa2ed64

jedynym okrętem tej klasy, który Royal Navy mogła wykorzystać. Na stanie ma ona sześć podobnych jednostek, ale trzy przechodzą dłuższe remonty, inne podlegają mniejszym naprawom i okazało się, że potęga morska, za jaką zawsze uznawano Wielką Brytanię, dysponuje tylko jednym okrętem zdolnym do tego, aby szybko wejść do gry. Stało się to po tym, jak Iran zaatakował brytyjską bazę Aktori na Cyprze. Wtedy premier Starter wydał polecenie, aby HMS Dragon wyszedł w morze z portu, ale po 17 dniach wojny, kiedy piszę te słowa, dopłynął dopiero w rejon Gibraltaru. Gdyby wojna wybuchła w innym regionie, np. w Estonii, gdzie dotarcie drogą morską byłoby utrudnione, bo na Bałtyku Rosjanie mogą skutecznie ograniczyć swobodę operowania NATO-wskich okrętów, pozostawałyby jedynie szlaki lądowe lub mieszane. Tylko że budowana od lat Rail Baltica, linia kolejowa mająca znaczenie strategiczne, ma znaczny poślizg, bo jak powiedział dziennikowi „Financial Times" Piotr Malepszak, wiceminister infrastruktury odpowiadający za kolej, „zmieniły się priorytety" i teraz, po spotkaniu w trójkącie Francja–Niemcy–Polska, nacisk kładzie się na szybki transport kolejowy z dwóch pierwszych krajów na wschód. W praktyce oznacza to, że europejskie środki popłyną na modernizację tras w Niemczech i Francji, a budowa połączeń z państwami bałtyckimi „złapała" 10-letnie opóźnienie – bo na tyle szacuje je Malepszak.

Keir Gilles, brytyjski ekspert wojskowy, który w 2024 r. wydał książkę „Kto będzie bronił Europy?", na łamach „Foreign Policy" stwierdził, że wojna i zagrożenie ze strony Iranu, który zaatakował brytyjskie bazy na Cyprze, obnażyły „kurczące się zdolności wojskowe" Londynu. Nie chodzi wyłącznie o to, że potencjał brytyjskich sił lądowych jest obecnie najmniejszy od początku XVII w. Dysponują one jedynie 145 czołgami, a transportery opancerzone, którymi brytyjska armia musi się posługiwać, są na tyle przestarzałe, że przewożeni nimi żołnierze po takiej „podróży" mieli torsje i ograniczające ich działanie bóle głowy. Już w 2024 r. brytyjscy eksperci wojskowi oceniali, że systemy obrony przestrzeni powietrznej będące na wyposażeniu sił zbrojnych „nie są przystosowane do zwalczania wielu rodzajów zagrożeń powietrznych", a na dodatek jest ich tak mało, że Londyn nie był w stanie ich wysłać na Cypr, gdzie Wielka Brytania utrzymuje przecież bazę lotnictwa bojowego. Gilles napisał, że „niezdolność Wielkiej Brytanii do ochrony swoich interesów zamorskich w dużej mierze odzwierciedla stan zaniku niegdyś potężnej Royal Navy". Ta diagnoza musi wzbudzać nasz niepokój, bo w ramach NATO-wskiego formatu JEF Londyn odpowiada i deklaruje zwiększenie zaangażowania w obronę przed Rosjanami północnego Atlantyku i obszarów podbiegunowych. Czy będzie ich bronił tak jak własnych baz na Cyprze?

FRANCJA

W lepszej sytuacji są Francuzi, ale również w tym przypadku pokaz wojskowej muskulatury ma swoje ograniczenia. Minister obrony Jean-Noël Barrot powiedział po wybuchu konfliktu, że „Francja jest gotowa" uczestniczyć w obronie państw Zatoki Perskiej i Jordanii przed atakami ze strony Iranu. Te deklaracje są zrozumiałe, zważywszy na to, że według szacunków francuskiej prasy w regionie mieszka i przebywa na stałe 40 tys. obywateli republiki, a Paryż zawarł też traktaty obronne, które w wielu przypadkach – tak jak choćby w umowie ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi – wręcz zobowiązują do przyjścia z pomocą wojskową, jeśli rząd państwa sojuszniczego wystosuje tego rodzaju prośbę.

Niezależnie od politycznych deklaracji przegląd francuskich zdolności do działania na miejscu ukazuje znaczące ograniczenia. W trzech bazach wojskowych w ZEA, w tym zdolnych do przyjęcia okrętów, przebywa obecnie 650 żołnierzy, co oznacza, że jest to personel umożliwiający funkcjonowanie tych placówek, ale nie mamy do czynienia z siłami interwencyjnymi. W bazie lotniczej Al Dhafra znajduje się 7 myśliwców Rafale, a w kolejnej 3 plutony czołgów, czyli 9–15 maszyn Leclerc. W Iraku w związku z misją Inherent Resolve, w której uczestniczy 80 krajów i której celem jest walka z ISIS, bierze udział ok. 600 francuskich żołnierzy. W Dżibuti we wschodniej Afryce – a jest to największa baza wojskowa Francji poza granicami – stacjonuje obecnie 1,5 tys. żołnierzy. Znajdują się tam, jak skrupulatnie policzyli dziennikarze programu 20 Minut, 52 pojazdy opancerzone, 9 transporterów AMX-10RC oraz 3 śmigłowce Gazelle i 4 Caiman. Siły powietrzne rozmieściły w tej placówce 3 samoloty obrony powietrznej Mirage 2000-5, Mirage 2000D, taktyczny samolot transportowy Casa oraz 2 śmigłowce Caracal.

Nie lekceważąc tych zdolności ani tym bardziej poziomu wyszkolenia francuskich żołnierzy, trzeba stwierdzić, że nie są to siły umożliwiające udział w przedłużającym się konflikcie czy zaangażowanie w ochronę swobody żeglugi. W związku z atakami Hutu państwa Unii Europejskiej rozpoczęły już misję Aspides w rejonie Kanału Sueskiego, ale obecnie uczestniczą w niej jedynie trzy okręty, z których jeden to jednostka francuska, a w najbliższym czasie mają do nich dołączyć dwa kolejne.

Po wybuchu wojny z Iranem Francja skierowała w rejon Lewantu swe okręty. 8 marca Emmanuel Macron zapowiedział, że „w ciągu najbliższych 48 godzin Francja wyśle w ten region osiem fregat i dwa helikopterowce". Wcześniej wysłano na Morze Śródziemne francuski lotniskowiec Charles de Gaulle, który płynie tam ochraniany przez mniejsze jednostki. To bezprecedensowy pokaz siły i zdecydowania, jednak francuska prasa policzyła, że obecnie 19 z 23 okrętów wojennych, którymi dysponuje Paryż i które są zdolne do działania na większych odległościach, znajduje się na morzu, więc i tego rodzaju zaangażowania nie da się utrzymać przez dłuższy czas.

NIEMCY

Niemieckie zdolności dotyczą głównie rozminowywania cieśniny Ormuz. Szacunki zachodnich ekspertów mówią o tym, że Iran zgromadził nawet 6 tys. min morskich i użycie nawet części tego potencjału oznacza zablokowanie żeglugi. Niemcy mają duże doświadczenie w zakresie usuwania min, co wynika choćby z tego, że Bałtyk

eprasa.pl 9e5fa2ed64

nadal jest uznawany za jeden z najbardziej zaminowanych akwenów świata. W Eckernförde stacjonuje 3. Eskadra Trałowców Marynarki Wojennej Niemiec, która specjalizuje się w poszukiwaniu i usuwaniu min na dużą skalę. „Od II wojny światowej żołnierze ci nieprzerwanie usuwają starą amunicję z Morza Bałtyckiego" – powiedział tygodnikowi „WirtschaftsWoche" Moritz Brake z Uniwersytetu w Bonn. „To praca, która daje doświadczenie". Już obecnie dwa niemieckie trałowce są rozmieszczone w stałych grupach przeciwminowych NATO na Morzu Śródziemnym i północno-wschodnim Atlantyku, co oznacza, że w razie potrzeby relatywnie szybko mogłyby wejść w skład międzynarodowej misji w rejonie Zatoki Perskiej. Niemcy mają również dobrze wyszkolonych nurków, których zaangażowanie w zwalczanie min, zwłaszcza w trudno dostępnych lokalizacjach, jest niezbędne.

Jeśli chodzi o zdolność zaangażowania sił lądowych, to obecnie jest ona więcej niż umiarkowana. Z informacji Dowództwa Operacyjnego Niemieckich Sił Zbrojnych wynika, że w Afryce Zachodniej zaangażowanych jest obecnie – głownie w misjach pokojowych, humanitarnych i szkoleniowych – 500 niemieckich żołnierzy.

Zwiększenie tej liczby – nawet jeśli zniknęłyby bariery polityczne – nie jest łatwe, bo w operacjach poza granicami kraju uczestniczą jedynie ci, którzy się na to zgadzają. A z tym nasz zachodni sojusznik ma duże problemy. Na początku roku tygodnik „Der Spiegel", powołując się na poufne dokumenty resortu obrony, informował, że brakuje chętnych do służby na Litwie, gdzie Niemcy odgrywają w ramach NATO rolę „państwa ramowego". Po wybuchu wojny na Ukrainie, reagując na zaniepokojenie Wilna, niemiecki rząd podpisał z Litwą specjalną umowę przewidującą już w 2027 r. zwiększenie zaangażowania z obecnego poziomu batalionu do wielości brygady, czyli ok. 4,8 tys. żołnierzy. Problem polega na tym, że brakuje chętnych i obecnie w niemieckich bazach na Litwie służy jedynie 1,8 tys. żołnierzy. W wywiadzie dla Redaktionsnetzwerk Deutschland przewodniczący komisji obrony Bundestagu Röwekamp opowiedział się w związku z tym za możliwością poboru niemieckich żołnierzy do służby na Litwie.

Jeśli są kłopoty ze znalezieniem chętnych do wyjazdu na Litwę, gdzie nie toczy się żadna wojna, to jak zareagują niemieccy żołnierze, jeśli zostaną wysłani w rejon Zatoki Perskiej? Pytanie nie jest teoretyczne, bo niemiecka prasa informowała o skokowym wzroście zwolnień lekarskich i raportów o zwolnienie do rezerwy z Bundeswehry po wybuchu wojny na Ukrainie.

> Prezydent Trump udzielił ostrej reprymendy premierowi Starmerowi, mówiąc, że Wielka Brytania przyłączy się do wojny, kiedy będzie miała pewność, że już ją wygraliśmy, a w stronę europejskich sojuszników skierował słowa, iż „Ameryka zapamięta" ich obecną postawę i w związku z tym przyszłość NATO stoi pod znakiem zapytania

CORAZ MNIEJ ŻOŁNIERZY

Wojna USA i Izraela z Iranem ujawniła, że oprócz różnic natury politycznej Europa – nawet jeśli założyć, iż będzie w stanie działać razem – boryka się z poważnymi ograniczeniami natury wojskowej. Chris Kremidas-Courtney z European Policy Center w opublikowanym w zeszłym roku raporcie zwróciła uwagę, że państwa naszego kontynentu nie rozwiązały do tej pory choćby kryzysu związanego z odchodzeniem żołnierzy ze służby. Nadal więcej rezygnuje, niż się zaciąga, a co gorsza, do rezerwy odchodzą w przeważającej części ludzie w wieku 30–40 lat, czyli ci, którzy są zarówno najlepiej wyszkoleni, jak i już doświadczeni, a wiek nie ma jeszcze wpływu na ich możliwości. W efekcie armie europejskie starzeją się, czego najlepszym przykładem są włoskie siły zbrojne. Na papierze dysponują one potencjałem 165 tys. żołnierzy, ale na ich zdolności wpływa to, że statystyczny wiek włoskiego żołnierza wynosi 38 lat. Ile lat mają zatem generałowie?

A co z perspektywą rozbudowy potencjału ilościowego i zastępowaniem Amerykanów? Mark Rutte, sekretarz generalny NATO, mówił w zeszłym roku, że gdyby poważnie myśleć o obronie kontynentu, konieczne jest utworzenie 49 nowych brygad, czyli powołanie pod broń 300 tys. ludzi. Te deklaracje zostały przyjęte w Europie z niedowierzaniem, a co gorsza zbagatelizowane, podobnie jak inna sformułowana przezeń ocena. Już w tym roku Rutte stwierdził, że Europa będzie potrzebowała 10 lat, aby uzupełnić zdolności wojskowe, które dzisiaj zapewniają jej Amerykanie. Warto zwrócić uwagę na to, że Rutte mówił o dogonieniu amerykańskich zdolności według stanu na 2026 r., a przecież świat nie stoi w miejscu i za 10 lat oblicze wojny oraz przygotowanie do niej sił zbrojnych będą na zupełnie innym poziomie.

W ciągu kolejnej dekady będziemy mieć do czynienia z przyspieszającymi, rewolucyjnymi zmianami w sztuce wojennej, do czego państwa europejskie też nie są najlepiej przygotowane. W ciągu 19 dni wojny Amerykanie i Izrael razili w Iranie ponad 20 tys. celów, używając nie tylko rakiet i samolotów, lecz także konstelacji dronów. Europejskie armie, budowane przez lata po to, aby odgrywać rolę sił pomocniczych, nie są w stanie uczestniczyć w wojnie o takim poziomie intensywności, toczonej setki i tysiące kilometrów od własnych granic. Konflikt wokół Iranu boleśnie uświadamia nam skalę europejskich ograniczeń.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Miasta w lewo, prowincja w prawo



Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen zdecydowanie wzmocniło swoją pozycję w wyborach samorządowych. Czy to zapowiedź przejęcia przez nie Pałacu Elizejskiego za rok?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W niedzielę 15 marca Francuzi udali się do urn, by zdecydować o tym, kto zasiądzie we władzach ok. 35 tys. wsi, miasteczek i gmin miejskich. Nie były to wybory samorządowe jak wszystkie inne – a raczej ich pierwsza tura. Wszyscy uważają bowiem, że ich wynik co najmniej częściowo przesądzi o tym, jak będą wyglądały wybory prezydenckie w 2027 r.

Emocje były na tyle duże, że niektórym puszczały nerwy. Chociażby dziennikarzom. Podczas relacji publicznej telewizji Franceinfo z wieczoru wyborczego Érica Ciottiego, kandydata Unii Sił Prawicowych dla Republiki (UDR) na mera Nicei, prezenterka przedstawiła go, mówiąc, że jest on faworytem wyścigu. Nagle w tle wybrzmiały słowa: „Alias Benito" – chodziło oczywiście o Benita Mussoliniego. Ciotti nie należy do umiarkowanych polityków i – jak wskazuje nazwa jego partii – jest on zwolennikiem zjednoczenia prawicy, włączając w to Zjednoczenie Narodowe (RN) Marine Le Pen. Okazało się, że nerwy puściły wydawczyni pasma Nathalie Saint-Cricq, która myślała, że jej mikrofon jest wyłączony. Nie tylko musiała przeprosić, lecz także została ukarana dyscyplinarnie.

IM DALEJ NA PRAWO, TYM LEPIEJ

Sukces Ciottiego w Nicei, gdzie zdobył 43,43 proc. głosów i wyprzedził swojego dawnego partyjnego kolegę i rywala Christiana Estrosiego (30,92 proc.), obecnie centrystę, szczególnie zabolał lewicę i liberałów. Nicea to bowiem duże miasto, liczące prawie 350 tys. mieszkańców, a te są trudne do zdobycia dla prawicy. Ale jest to również miasto przeżarte przemocą, gdzie w 2024 r. odnotowano ponad 25 tys. przestępstw. W ciągu ostatniej dekady liczba gwałtów wzrosła o 12 proc., a liczba deliktów narkotykowych o ponad 6 proc. Do tego dochodzą wojny gangów w gettach imigranckich.

Jak podkreśliła mieszkanka Nicei, korespondentka niemieckiego tygodnika „Die Zeit" Annika Joeres w rozmowie z „Courrier International", na południu Francji „wyraźnie widać silne pragnienie zmian". „Ludzie nie wyobrażają sobie, że poprawa sytuacji mogłaby nadejść ze strony innych partii niż prawicowych. Im dalej na prawo, tym lepiej" – dodała.

Ten sentyment najwyraźniej panuje na całym łuku Morza Śródziemnego. I tu obok zagłębia górniczego Nord-Pas-de-Calais partia Marine Le Pen odniosła największe sukcesy. Zjednoczenie Narodowe wygrało 24 wyścigi na burmistrza w pierwszej turze. I to z wynikami, o których wielu kandydatów tradycyjnych partii może tylko marzyć. Prawie wszyscy burmistrzowie RN z łatwością uzyskali reelekcję. W Perpignan Luis Aliot wygrał w pierwszej turze z 50,6 proc. głosów, merem Hayenge nadal będzie polityk RN Fabien Engelmann z przeszło 70 proc. głosów. W Hénin-Beaumont Steeve Briois zgromadził aż 78 proc. poparcia, a w Bruay-la-Buissière Ludovic Pajot zdobył rekordowe 81,44 proc. W Marsylii kandydat RN Franck Allisio (35,02 proc.) uzyskał niemal tyle samo

Fot. Obatala-photography/Shutterstock.com

eprasa.pl 9e5fa2ed64

głosów, co wywodzący się z Partii Socjalistycznej Benoît Payan (36,7 proc.). Marsylia to drugie co do wielkości miasto Francji, borykające się z podobnymi problemami co Nicea. Jest także druga tura w Tulonie, gdzie kandydatka RN Laure Lavalette otrzymała 42,05 proc. głosów, wyprzedzając walczącą o reelekcję bezpartyjną burmistrz Josée Massi z 29,54 proc. głosów.

Nawet jeśli RN nie wygra wyborów samorządowych, to i tak jest na dobrej drodze do uzyskania najwyższej w historii liczby radnych. Jak podkreślił Mathieu Gallard z instytutu badań Ipsos, „RN umocnił swoją pozycję na szczeblu lokalnym". Wynika to po części z tego, że tym razem nie udało się uformować szczelnego kordonu sanitarnego wokół tzw. skrajnej prawicy. Lider centroprawicowych Republikanów (Les Républicains) Bruno Retailleau nie wezwał zwolenników partii do głosowania na Christiana Estrosiego w drugiej turze w Nicei, pozostawiając wybór „sumieniu głosujących". Tymczasem lewica była zajęta sobą, czyli rozważaniem, czy przed drugą turą należy wchodzić w sojusz ze skrajnie lewicową Francją Niepokorną (LFI) Jeana-Luca Mélenchona. I tu odpowiedź nie wypadła jednoznacznie. Część lewicy traktuje Mélenchona instrumentalnie, część widzi w nim poważne zagrożenie.

PROWINCJA KONTRA MIASTA

Uskrzydlony tym faktem lider RN Jordan Bardella wezwał kandydatów innych partii prawicowych oraz niezależnych do uformowania w drugiej turze sojuszu przeciwko skrajnej lewicy i makronizmowi. Odzewu nie było. Jednak jak podkreśla Jérôme Fourquet, politolog i autor książki „Metamorfozy francuskie" („Métamorphoses françaises"), na poziomie samorządowym „wydaje się, że partia Le Pen jest dziś partią jak każda inna". I powoli poszerza swoje wpływy.

W miejscowościach liczących co najmniej 3,5 tys. mieszkańców RN i jej sojusznik UDR uzyskały ponad 10 proc. głosów w prawie 500 gminach, bijąc poprzedni rekord z 2014 r., który wyniósł 444. Znalazły się także na prowadzeniu przed drugą turą w co najmniej 75 gminach w porównaniu z zaledwie 11 w 2020 r. Często są to tereny naznaczone biedą, przestępczością i wysokim poziomem nielegalnej migracji.

W Perpignan, gdzie Louis Aliot, były partner życiowy Marine Le Pen, zdobył reelekcję w pierwszej turze, poziom ubóstwa jest dwukrotnie większy niż w reszcie kraju. W imigranckiej dzielnicy Saint-Jaques wiele budynków od lat nie nadaje się do zamieszkania. Część już została zburzona. Mieszkańcy żartowali w rozmowie z „Le Figaro", że wychodząc na zakupy, „nie wiesz, czy zastaniesz swój dom, gdy wrócisz". Bezrobocie wynosi tu ponad 70 proc. Tyle że Aliot nie jest pewien, czy rzeczywiście dalej będzie mógł rządzić miastem. W kwietniu ub.r. został uznany za winnego – podobnie jak Le Pen – defraudacji środków publicznych w związku z rzekomym fikcyjnym zatrudnieniem asystentów w Parlamencie Europejskim. Aliot złożył apelację od wyroku. Decyzja sądu zapadnie w lipcu. Wtedy może ostatecznie stracić bierne prawo wyborcze na trzy lata.

> Nawet jeśli Zjednoczenie Narodowe nie wygra wyborów samorządowych, to i tak jest na dobrej drodze do uzyskania najwyższej w historii liczby radnych

Krytycy RN starają się pomniejszyć sukces tej partii w wyborach samorządowych. Wskazują, że zwyciężyło tylko w małych ośrodkach, a w dużych miastach poniosło porażkę. Tylko 5 z 25 list zgłoszonych przez Zjednoczenie Narodowe w gminach powyżej 100 tys. mieszkańców uzyskało 20 proc. głosów w pierwszej turze. Według obliczeń „Le Monde" ten próg przekroczyło tylko 5 list z 33 zgłoszonych w miastach o liczbie mieszkańców od 50 tys. do 100 proc. „Francja prowincji i Francja miast – mamy tu wyraźnie wyłaniające się dwie Francje. A partia, która mogłaby przejąć władzę w kraju, jest zupełnie nieobecna w stolicy. Najbliższe Paryżowi miasto, w którym rządzi Zgromadzenie Narodowe, Villers-Cotterêts, oddalone jest o 84 km" – zaznaczył Jérôme Fourquet.

WZMOCNIENIE SKRAJNOŚCI

W 20 największych francuskich miastach króluje natomiast LFI Jean-Luca Mélenchona, która w różnych wariantach wchodzi do drugiej tury (i wygrała w pierwszej turze w Saint-Denis pod Paryżem). Partii nie zaszkodziły ani jej otwarty antysemityzm, ani lewicowy radykalizm czy lincz na katolickim studencie, dokonany w lutym w Lyonie, w którym uczestniczyli asystenci jednego z posłów LFI. Sam Mélenchon coraz bardziej otwarcie mówi o tym, że chce być jedynym kandydatem lewicy w wyścigu prezydenckim w 2027 r. Dobry wynik w wyborach samorządowych bez wątpienia ułatwi mu osiągnięcie tego celu.

Umiarkowana lewica jest rozdarta w sprawie, czy zawierać doraźne sojusze z radykalnie lewicowym ruchem, którego porywczy lider stał się niezwykle toksyczny dla centrowych wyborców. „Nie pokonamy skrajnie prawicowej fali z Mélenchonem jako kulą u nogi" – powiedział w niedzielę przywódca centrolewicowej partii Place publique Raphaël Glucksmann. Tyle że w wielu miastach, szczególnie tych z dużą ludnością pochodzącą z migracji, LFI stała się dla lewicy – włączając w to Zielonych – nieodzowna. Mélenchon jest zresztą przekonany, że w tych robotniczych dzielnicach jest bardzo duża grupa osób, która nie głosuje. W ostatnich wyborach prezydenckich przegrał drugą turę o 600 tys. głosów i jest pewien, że jeśli uda mu się zmobilizować tych wyborców, zdecydowana większość głosów przypadnie jemu.

Złośliwi zresztą twierdzą, że głównym wnioskiem, który należy wyciągnąć z tych wyborów samorządowych jest ten, że po raz kolejny wzmocniły one skrajną lewicę i prawicę, podczas gdy prezydencka partia Renesans pozostawała w nich niemal zupełnie nieobecna, czyli nie przyjęła się na poziomie lokalnym. Reprezentowali ją głównie kandydaci centroprawicy,

18/0326/F

eprasa.pl 9e5fa2ed64

z którą zawarła sojusz wyborczy. Tylko były premier Édouard Philippe osiągnął sukces i wygrał reelekcję na burmistrza Hawru. Bez tego zwycięstwa jego start w wyborach prezydenckich byłby znacznie utrudniony, a jest on obecnie jedynym rokującym kandydatem centrystów do Pałacu Elizejskiego.

FRAGMENTACJA, ROZKŁAD, POLARYZAJA

Kolejnym wnioskiem z tych wyborów jest rosnąca fragmentacja francuskiej sceny politycznej. W wielu miastach do drugiej tury zakwalifikowało się nawet czterech lub pięciu kandydatów, co jeszcze kilka lat temu stanowiło wyjątek. Ten rozdrobniony krajobraz polityczny tworzy serię dotkliwych problemów dla słabnących umiarkowanych sił politycznych, zwłaszcza na lewicy, gdzie konflikty wewnętrzne były już widoczne w noc wyborczą. Jak widać, jest to słabość strukturalna.

Eksperci mówią o powrocie klasycznego podziału na lewicę i prawicę, który Macron chciał pokonać, prowadząc politykę „tak, tak, nie, nie", zwaną także polityką „jednocześnie" (en même temps), ponad podziałami. „Macron marzył o tym, by zdynamizować partyjny krajobraz, zamiast tego rozbił go. Wynikiem jest rozkład i polaryzacja. Centroprawica brzydzi się współpracy z Le Pen. W Paryżu centroprawicowa Rachida Dati odrzuciła wsparcie kandydatki Rekonkwisty Sarah Knafo, która dostała się do drugiej tury, ryzykując przegraną w wyścigu o fotel prezydenta stolicy. Lewica nie ma za to skrupułów, by wiązać się z Mélenchonem, którego dyskurs jednocześnie stale krytykuje. Byle wynik się zgadzał" – pisze na łamach „Le Figaro" publicysta Alexis Brézet.

W tej sytuacji wydaje się bardziej niż prawdopodobne, że kandydat Zjednoczenia Narodowego – czy będzie to Marine Le Pen, czy Jordan Bardella – wejdzie do drugiej tury wyborów prezydenckich w 2027 r. Według sondażu Ifop-Fiducial, opublikowanego 4 marca br., 36 proc. ankietowanych chce oddać głos na Bardellę, a 34 proc. na Le Pen w pierwszej turze. Po drugiej stronie kandydatów jest aż nadmiar. Blok centralny i prawica z Édouardem Philippe'em i Brunem Retailleau na czele mają – jak wynika z sondażu – trudności z przekroczeniem progu 20 proc. Po lewej stronie Mélenchon (LFI) uzyskałby 10–11 proc., Raphaël Glucksmann (Place publique, PS) 10–12 proc., Marine Tondelier (Zieloni) poniżej 5 proc., a Fabien Roussel (komuniści) poniżej 3 proc. poparcia. Trudno więc obecnie wyrokować, czy to Mélenchon, czy Glucksmann będą reprezentowali lewicę w drugiej turze. Jeśli rozkład sceny politycznej będzie jednak postępował, co wiąże się ze słabnięciem frontu republikańskiego, przejęcie Pałacu Elizejskiego przez Zjednoczenie Narodowe stanie się coraz bardziej prawdopodobne.

REKLAMA

POMÓŻMY CHRZEŚCIJANOM W ZIEMI ŚWIĘTEJ



WPŁATY NA KONTO:
FUNDACJA INSTYTUT MEDIÓW
03 1140 2004 0000 3002 7860 6231

TYTUŁ PRZELEWU:
POMOC DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

+PRO+TERRA+SANCTA+
WSPARCIE DLA CHRZEŚCIJAN W ZIEMI ŚWIĘTEJ

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

Zwierzchnictwo w Polsce
Zakonu Rycerskiego
Świętego Grobu w Jerozolimie

Fundacja
Instytut Mediów

WIĘCEJ O AKCJI POMOCY:

eprasa.pl 9e5fa2ed64

III wojna światowa już trwa



Duża część strategów uważa, że choć nie walczymy w klasycznych warunkach, a toczą się małe konflikty zastępcze, nie oznacza to, że realnej wojny nie ma

Z prof. Grzegorzem Górskim, prawnikiem i amerykanistą z Akademii Jagiellońskiej w Toruniu, rozmawia Jerzy Szmit

Czy nadszedł czas układania porządku świata na nowo?

Grzegorz Górski: Po upadku Związku Sowieckiego, od początku lat 90. XX w. do pierwszej dekady XXI w., w pełni dominowały Stany Zjednoczone. Przełomem stało się wejście Amerykanów do Iraku i Afganistanu oraz przede wszystkim brak umiejętności rozwiązania tam problemów wewnętrznych. To wytworzyło pole do kwestionowania głównej roli Ameryki w świecie. Chiny weszły na ścieżkę szybkiego awansu i od lat 2010–2012, a zwłaszcza po objęciu władzy przez prezydenta Xi Jinpinga, podjęły rywalizację. Rosja pod rządami Putina, wykorzystując rosnące dochody z ropy i gazu, stworzyła pozory siły i zaczęła ściślej wiązać się z Chinami. To zbiegło się ze słabą prezydenturą Baracka Obamy i przyjęciem doktryny „pivot to Asia", czyli przesunięciem zainteresowania Ameryki w rejon Pacyfiku.

Konflikt z Chinami stał się nieunikniony?

Tak. Błędna polityka Obamy zakładała dyplomację w białych rękawiczkach, podobnie jak w relacjach z Rosją: pogadamy i załatwimy sprawy. Oczywiście skutki były opłakane. Pierwsza prezydentura Donalda Trumpa położyła temu kres, bo Trump zrozumiał, że celem chińsko-rosyjskiej strategii była destabilizacja i rozproszenie amerykańskich sił. Na Bliskim Wschodzie, w Afryce, a później w Ameryce Łacińskiej w osłabione miejsca wchodzili Chińczycy i Rosjanie. Pod koniec prezydentury Bidena pół Afryki było właściwie chińską kolonią, podobnie jak Ameryka Południowa i Środkowa. To była kulminacja tego procesu. Co więcej, odbywało się to po cichu, bez spektakularnych wydarzeń. W czasie pierwszej prezydentury Trump próbował to zatrzymać wojną handlową, ale Chińczycy sobie poradzili, przede wszystkim manipulując kursem pieniądza i używając instrumentów państwowych.

Amerykanie tak po prostu odpuścili pół świata?

W czasie rządów Obamy i Bidena Chińczycy jeździli po świecie i oferowali budowę kolei, autostrad, szpitali. Amerykanie jeździli po świecie i rozdawali broszury o równości LGBT+,

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

eprasa.pl 9e5fa2ed64

promowali homoseksualizm, przerywanie ciąży i używanie kondomów. To była różnica w strategii, która przyniosła efekt. Podejrzewam, że gdyby Chińczycy i Rosjanie dalej szli swoją drogą, osiągnęliby znacznie więcej. Kiedy jednak Amerykanie opuszczali Kabul (2021 r.), nastąpił symboliczny przełom. Ta operacja była tak porażająca jak wyjście z Wietnamu w 1973 r. Amerykanie, którzy wygrali wojnę, uciekli z Wietnamu i zostawili sojusznika na pastwę komunistów. Świat uznał, że Stany Zjednoczone są już tak słabe, że można je wypędzić bez jednego strzału.

To zachęciło Chińczyków i Rosjan?

Tak, np. w Afryce Północnej widać było zdecydowaną ofensywę Rosjan. W krótkim czasie wypłukali Afrykę Zachodnią z wpływów francuskich, które były tam budowane od XVII w. Podobnie przejmowali kraj za krajem w Ameryce Południowej i Środkowej, na Bliskim Wschodzie szalały Hezbollah i Hamas. Biden za cenę iluzorycznego porozumienia z Iranem poświęcił ugruntowane amerykańskie stosunki z Arabią Saudyjską i Katarem, Kuwejtem i Bahrajnem, co poskutkowało tym, że weszły one w konszachty z Rosjanami. Absurdalny zwrot w stosunku do tradycyjnie przyjaznego Ameryce Pakistanu wykonał Obama, a potem kontynuował go Biden. Dlatego państwo to stało się chińskim aliantem i kanałem komunikacyjnym, przez który płyną chińskie towary, a Chiny mogą kontrolować tę część Oceanu Indyjskiego. Rosjanie położyli wielki nacisk na to, by zyskać kontrolę nad strategiczną Arktyką. Poprzednich amerykańskich administracji to nie interesowało. Stany Zjednoczone zostały zepchnięte do całkowitej defensywy.

Twierdzi pan, że rozpoczęła się III wojna światowa.

Konfrontacja trwa od dawna. Zaczynając od konfliktu handlowego, poprzez cyberprzestrzeń i możliwości, jakie dają technologie cyfrowe w kontrolowaniu świata (a także jego destabilizowania). Chiny chcą uzyskać przewagę nad Ameryką. Mało kto wie, że w zasadzie każdy chiński sprzęt jest urządzeniem szpiegowskim, choć oczywiście Chińczycy nie są tu jedyni. Trzeci obszar konfrontacji to kosmos – ta wojna przebiega bardzo brutalnie i choć tam nie widać ofiar jak w ziemskiej konfrontacji, straty bywają o wiele poważniejsze niż na polu walki. Nie słyszymy o nich, ponieważ każda strona je ukrywa. Rosyjski potencjał w tym zakresie pozostaje duży. Chiński nie jest aż tak istotny w krytycznych przestrzeniach, ale też się liczy. Inny przykład wojny to przemysłowa produkcja fentanylu w Chinach i przerzucanie go do USA.

> Amerykanie nie będą wchodzić do Iranu i walczyć na lądzie, dlatego pierwsze uderzenie miało za zadanie wyeliminować irańskie przywództwo. Wielu się oburza, buduje niechęć do USA i Izraela. Nie rozumieją, jak funkcjonuje świat albo mają złą wolę

Źródła podają, że co roku tylko w Stanach Zjednoczonych od tego narkotyku ginie 100 tys. ludzi.

To pokazuje, jak to jest groźne. W końcu wielu twierdzi, że COVID-19 był elementem użycia broni bakteriologicznej. Duża część strategów uważa zatem, że choć nie walczymy w klasycznych warunkach, a toczą się małe konflikty zastępcze, nie oznacza to, że realnej wojny nie ma.

Powrót Donalda Trumpa został przyjęły z entuzjazmem przez konserwatywne środowiska Zachodu. Na ile jego polityka wynika z założeń ideowych, a na ile jest realizacją hasła „America first", czyli przywracania jej pozycji niekwestionowanego lidera świata?

Strategię dla prezydenta Trumpa przygotowała Heritage Foundation. Jest to konsekwentnie realizowany plan prezydentury – przewrócenie dominacji Ameryki. Podobnie jak przed przyjściem Ronalda Reagana Stany Zjednoczone znajdowały się w kompletnym upadku po rządach Jimmy'ego Cartera i na koniec zostały upokorzone w Iranie. A Związek Sowiecki był w rozkwicie. Prezydentura Ronalda Reagana skruszyła sowiecką potęgę i zatrzymała jej ekspansję oraz infiltrację w Afryce i Ameryce Południowej. Plan Heritage Foundation jest próbą odpowiedzi na pytanie, jak odbudować pozycję Ameryki do stanu sprzed ataku i zniszczenia World Trade Center. I to jest jasny cel.

Ponad miesiąc temu prezydent Trump powstrzymał Izrael przed atakiem na Iran, jednak po trzech tygodniach z całą siłą uderzył na Teheran. Co się zmieniło?

Pojawiła się możliwość wyeliminowania znacznej części elity irańskiego reżimu jednym skutecznym uderzeniem. Pozbawił on głowy tamtejszą dyktaturę i był to sygnał: „Tak jak w przypadku Maduro jesteśmy w stanie załatwić problem w inny sposób, niż się spodziewaliście. Do tej pory wchodziliśmy, walczyliśmy, traciliśmy ludzi, potencjał, reputację. Miesiącami, a może latami płynęła krew. Potem na gruzach budowaliśmy demokrację".

To się nie sprawdziło

Uczestniczyłem w analizie sytuacji w Iraku. Wskazałem, że próba instalowania w Iraku czy Afganistanie naszego porządku demokratycznego jest kompletnie nieproduktywna. Te społeczeństwa są po prostu inne, klanowo-plemienne, tam demokracja nie istnieje. Przykład wenezuelski pokazał, że punktowe wyeliminowanie przywódcy może zastąpić krwawy konflikt. W ten sposób USA pokazują, że społeczeństwa same muszą robić u siebie porządek. Z zewnątrz można

eprasa.pl 9e5fa2ed64

tylko rozpocząć proces. Amerykanie nie będą wchodzić do Iranu i walczyć na lądzie, dlatego pierwsze uderzenie miało za zadanie wyeliminować irańskie przywództwo. Wielu się oburza, buduje niechęć do USA i Izraela. Nie rozumieją, jak funkcjonuje świat albo mają złą wolę.

Czy Iran jest w stanie skutecznie kontratakować?

Nie, został bez sojuszników – z wyjątkiem Chin i Rosji. Hezbollahu za chwilę nie będzie. Izraelczycy zdecydowali się wejść w szerszej skali do Libanu. To, co trafia w Izrael, jest wystrzeliwane przez resztki Hezbollahu z Libanu. Mimo że straty to kilkanaście osób, Tel Awiw chce zakończyć sprawę Hezbollahu. Pokazywanie pożaru w Bahrajnie czy zniszczeń w Arabii Saudyjskiej ma wymiar propagandowy. Iranowi pozostały jedynie reszki potencjału.

A sytuacja w cieśninie Ormuz?

To próba sparaliżowania wyjścia z Zatoki Perskiej, która bije w świat ekonomicznie, bo podnosi ceny ropy. Dzisiaj kosztuje ona ok. 100 dol. za baryłkę, ale eksperci mówią, że w najbliższych tygodniach nie powinna mocno wzrosnąć. Chyba że nastąpi gwałtowna eskalacja konfliktu w cieśninie i będą atakowane tankowce. Jednak Iran nie jest w stanie tego zrobić. Jeżeli jeszcze zostanie przeprowadzone uderzenie na wyspę Chark, to Teheran zostanie pozbawiony możliwości pozyskiwania środków z eksportu ropy. A to oznacza jego katastrofę.

Jak wygląda sytuacja wewnętrzna Iranu?

Dalszy opór pchnie to państwo na pozycję Afganistanu i szybkiego narastania problemów ekonomicznych, religijnych i narodowościowych. Iran ma sąsiadów chętnych do wzięcia odwetu za różne doznane krzywdy, a dziś jest bodaj najsłabszy w historii. Amerykanie nie chcą wchodzić do Iranu i nie będzie partyzantki Strażników Rewolucji oraz inspiracji do wewnętrznego zjednoczenia. Nie wiadomo, czy młody Chamenei żyje, czy nie. Wszystko wskazuje na to, że został przewieziony do Moskwy, bo jest ranny. A zatem to Rosjanie mogą sterować Iranem, bo tylko od nich może otrzymać realną pomoc. Można żyć antyamerykańskimi i antyizraelskimi emocjami, ale świat jest dwubiegunowy. Można być po stronie ajatollahów i siedzieć buciorami w Moskwie lub w Pekinie albo stać po drugiej stronie.

Chiny milczą i wedle swojej tradycji czekają, podobnie Indie.

Obydwa państwa są zależne od ropy z Zatoki Perskiej, choć Chiny mają wsparcie z Rosji, a Indie z Arabii Saudyjskiej. W myśl porozumienia z Trumpem Indie miały nie kupować z Rosji, ale teraz sytuacja chyba je do tego zmusi. Zwracam uwagę, że Amerykanie są całkowicie samowystarczalni energetycznie i mają najtańsze surowce. Konkurencyjność amerykańskiej gospodarki wzrasta. Mogą być ruchy spekulacyjne, ale w odpowiedzi nastąpią interwencje rządu. Paradoksalnie Ameryka wcale nie musi być zainteresowana, by cieśninę Ormuz udrożniono. Trump powiedział do sojuszników: „Włączcie się, bo to jest w waszym interesie". Zwłaszcza Emiratów, Bahrajnu czy Kataru i Kuwejtu, ale oni ostatecznie też sobie poradzą. Bo najważniejsze jest, aby Teheran przestał być ich egzystencjalnym zagrożeniem. Od 1979 r. wiedzą, że Iran chce ich wymordować, tak jak Żydów i Amerykanów – w czym zresztą utwierdził ich w ostatnich dniach, dokonując bezpośrednich ataków.

Rosja chciała zlikwidować niepodległą Ukrainę, ale ugrzęzła na stepach, opuściła sojuszników i słabnie. Czy jeszcze się liczy w nowym światowym rozdaniu?

Rosja dysponuje drugim potencjałem nuklearnym, a w pewnych obszarach jest numerem jeden. Ma też nośniki na okrętach podwodnych. Amerykanie są w stanie przechwycić rosyjski atak atomowy z ziemi, ale z wody i powietrza mogą mieć problem. Kończy się traktat między Rosją a USA Nowy START z 2010 r. o ograniczeniu arsenałów nuklearnych i będzie tu poszukiwanie kompromisu. Tym bardziej że nie wiąże on Chińczyków, którzy powiększyli swój arsenał. W sensie ekonomicznym Rosja jest chińskim wasalem i przetrwała dlatego, że Chińczycy pomagają jej prowadzić operacje na rynkach międzynarodowych, kupują od nich ropę i gaz. Rosja dysponuje jednak większym potencjałem wojskowym niż Chiny.

A Chiny poprą Rosję w ostatecznej rozgrywce?

Dla Chin Rosja jest sojusznikiem „do wykorzystania". Chiny mają dwa cele: dotrzeć do Arktyki (a tego się nie da zrobić bez współpracy z Rosją) albo ją zdominować. Ponadto Chińczycy dobrze pamiętają, jakie szkody zadała im Rosja: jeśli ocenią, że przyszedł czas, wyciągną z tego maksymalne korzyści. A Rosjanie uwikłali się w bezsensową wojnę z Ukrainą wspieraną przez Zachód. Chcą z niej wyjść z twarzą i pokazać, że wygrali, bo wiedzą, że słabną i tylko tracą. Ale końca nie widać.

Amerykanie to wykorzystają?

Amerykanie wypierają teraz Rosjan na Bliskim Wschodzie: z Syrii, Iraku, Libanu, w Afryce Północnej – z Libii, Algierii i z Ameryki Południowej, a za chwilę z Kuby. A w Kazachstanie, Kirgistanie, Uzbekistanie rosną wpływy tureckie albo chińskie. Rosjanie pozostawili Iran bez pomocy, potrafili jedynie udzielić schronienia ajatollahowi, jeżeli on tam jest.

Gdzie Polska ma szukać swojego miejsca?

Nie mamy realnej alternatywy gwarantującej bezpieczeństwo bez amerykańskiego wsparcia. Jeżeli ktoś uważa inaczej, jest idiotą albo zdrajcą. Na jednej szali mamy realnie obecną w Polsce największą potęgę militarną świata, na drugiej – rojenia o armii europejskiej powstającej od ćwierć wieku, m.in. dzięki szybkiemu dozbrojeniu z fabryk, których nie ma. Wystarczy odrobina rozumu, aby zdecydować. Niestety dla znacznej części uczestników życia politycznego myślenie w kategoriach militarnej racjonalności nie istnieje. To bolesne i bardzo groźne.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Francuska atomowa chimera



Fot. French Ministry of Defense

Polską przestrzeń publiczną zelektryzował wpis premiera Donalda Tuska na platformie X o możliwości objęcia Polski francuskim parasolem nuklearnym. Bezpieczeństwo narodowe to rzecz fundamentalna. Zdaje się, że grubo przerasta możliwości rządzących Polską polityków



PIOTR GONTARCZYK

Francja to wielki przegrany XX w. Zwycięstwo w I wojnie światowej wbiło Paryż w przekonanie o własnej potędze i przez wiele lat uniemożliwiło przygotowanie się do wojny nowego typu. Po katastrofalnej klęsce w 1940 r. dawna Republika kierowana przez marsz. Filipa Pétaina stała się sojusznikiem III Rzeszy. Tylko czcigodna historia Francji i jej wpływy na świecie (choćby w Afryce i Indochinach) sprawiły, że w latach 1944–1945 szczupłe siły Charles'a de Gaulle'a „napompowano" do roli pełnoprawnego alianta. Trzeba zobaczyć w filmach dokumentalnych miny niemieckich generałów, którzy w 1945 r. kapitulowali przed krajem, z którym nie toczyli wojny od 1940 r.

POTĘGA TROCHĘ NA NIBY

Ale potęga Francji była już głównie mistyfikacją, państwo kolekcjonowało kolejne klęski: skutki rozpadu systemu kolonialnego, nieudana militarna próba obrony Kanału Sueskiego przed egipską nacjonalizacją czy katastrofa pod Dien Bien Phu (1956).

Dalej udając światowe mocarstwo i próbując przeciwdziałać złym nastrojom społecznym, Paryż podjął decyzję o budowie własnych sił nuklearnych. To było leczenie kompleksów i jednocześnie wymachiwanie szabelką, które miało wzmocnić pozycję Republiki w Europie i świecie. Ponieważ Francja była jednym z założycieli NATO i jeszcze przez jakiś czas w miarę lojalnie współpracowała z Sojuszem, powszechnie zaakceptowano te nuklearne ambicje, które w ówczesnym dwubiegunowym świecie mogły przecież ewentualnie wesprzeć Amerykanów w obronie Europy przez atakiem bloku sowieckiego.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Obecnie arsenał Paryża to mniej niż 300 głowic z 500, którymi dysponował w 1990 r. Na możliwość ich użycia cień rzuca fakt, że tylko ładunki wystrzeliwane z okrętów podwodnych można uznać za naprawdę groźne. Pozostałe – zarówno wystrzeliwane z wyrzutni lądowych, jak i przede wszystkim pozostające w dyspozycji lotnictwa – ze względu na zacofanie technologiczne sił powietrznych Francji i możliwość przeciwdziałania rosyjskich systemów obronny mogą się okazać trudne do skutecznego wykorzystania. Ale ważniejsze jest chyba to, że nikt nie zdecyduje się ich użyć. Dlaczego? Bo francuska doktryna zakłada sięgnięcie po siły nuklearne tylko w przypadku bezpośredniego, egzystencjalnego zagrożenia Francji. Co dziś oznacza to dla nas?

Czy w razie ataku Rosji na Skandynawię, kraje bałtyckie czy Polskę Paryż byłby bezwarunkowo gotowy do użycia swojego potencjału nuklearnego w ich obronie? W imię czego? Przecież Francuzi dobrze wiedzą, jak skończyłaby się konfrontacja ich potencjału nuklearnego z Rosją (5 tys. głowic). Tylko jeden nowoczesny rosyjski okręt podwodny klasy Borej byłby w stanie wystrzelić salwę rakiet Buława, zrzucając ponad 150 niezależnych, wycelowanych w różne obiekty ładunków nuklearnych, co oznaczałoby definitywny koniec historii Francji. Czy ktoś Polsce może mieć złudzenia, że inaczej niż w 1939 r. Francuzi (narażając się na samounicestwienie) zechcą umierać za Gdańsk?

HISTORIA MAGISTRA VITAE EST

Klęski Rzeczypospolitej z czasów poprzedzających jej upadek zasadnie uznawane są za skutek wad ustrojowych państwa, ale były też uzasadniane niskim poziomem niedouczonych i sprzedajnych elit politycznych. Dość powiedzieć, że część magnatów chcących reformować kraj zabiegała o protekcję Rosji, która stała na straży ustrojowej niemocy. Inni szukali wsparcia Wiednia, a nawet Prus. W 1790 r. zawarliśmy antyrosyjski sojusz wojskowy z Berlinem, który w ten sposób ostentacyjnie pchał Petersburg do rozbioru Rzeczypospolitej.

W tej epoce wielu Polaków żyło nadzieją na wsparcie ze strony Francji, co przez ostatnie 200 lat było tylko szkodliwą dla umysłów chimerą. Złudne okazały się też nadzieje na wsparcie Paryża w czasie rozbiorów, potem po wybuchu insurekcji kościuszkowskiej, powstań 1830 i 1863 roku, nie wspominając już o smutnych skutkach polskich złudzeń w epoce napoleońskiej.

„Wojna powszechna o wolność ludów", o której pisał Adam Mickiewicz w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego", wybuchła w 1914 r. i Bóg raczy wiedzieć, jak by się skończyła dla Polski, gdyby nie rola Stanów Zjednoczonych. W atawistycznej niechęci do kolonializmu i geście wierności elementarnym prawom człowieka w 1918 r. prezydent Woodrow Wilson zapowiedział budowę powojennego porządku europejskiego na zasadzie samostanowienia narodów. Jego program zapowiadał też powstanie niepodległej Polski. Ta rola Ameryki, która dwukrotnie uratowała Francję i w czasie wojen światowych złamała mocarstwowe ambicje (kajzerowskich i hitlerowskich) Niemiec, jest dziś prawdziwym cierniem w boku naszych zachodnich sąsiadów.

Nie tak dawno Jochen Böhler z Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie wydał książkę o odzyskaniu przez Polskę niepodległości pod znamiennym tytułem „Wojna domowa. Nowe spojrzenie na odrodzenie Polski" (Znak 2018). Autor pomstuje w niej na eksplozję polskiego nacjonalizmu, która oderwała od Niemiec Śląsk i Poznańskie, pisze wprost o „polskim korytarzu" do morza wyrąbanym w Prusach Zachodnich. Twierdzi, że utworzenie Polski zdewastowało stabilne i pokojowe *status quo* w Europie. No cóż, polskie „państwo sezonowe", jak definiował je Adolf Hitler na parteitagach i jak zdaje się postrzega je co najmniej część niemieckich elit politycznych, przetrwało do 1939 r. Wtedy znów bezskutecznie oczekując angielskiej, a przede wszystkim francuskiej pomocy.

Żeby było jasne: pomysły zawarcia wówczas sojuszu z Niemcami („pakt Ribbentrop–Beck") to tylko rojenia Piotra Zychowicza, który coraz częściej jest publicznie opisywany jako autor niepoważny i niewiarygodny. W 1939 r. Polska stanęła po „właściwej stronie mocy", dzięki czemu dziś jesteśmy dumni z naszej historii: z pilotów walczących w bitwie o Anglię, z powstańców warszawskich albo polskich żołnierzy paradujących co roku w rocznicę wyzwolenia Bredy. Ale historia ostatnich 300 lat relacji polsko-francuskich powinna być lekcją, na kogo możemy liczyć w przypadku wojennego zagrożenia ze Wschodu.

Z wielu powodów politycznych, ekonomicznych i historycznych podmiotem francuskiej polityki pozostaje Moskwa, z którą Paryż będzie próbował jakiegoś *modus vivendi*, podobnie zresztą jak Niemcy, które tam szukały i szukają porozumienia, by budować swoją europejską hegemonię. W obu wariantach podmiotem polityki obu tych krajów na pewno nie będzie bezpieczeństwo Europy Wschodniej, a już na pewno nie Polacy.

BAJKI TUSKA I SIKORSKIEGO

Kilka lat temu, po ataku sił zbrojnych Moskwy na Ukrainę, premier Donald Tusk publicznie wyliczał wojenne przewagi Europy nad potencjalnym agresorem. Przekonywał, że jesteśmy bezpieczni, bo jako Europa nawet w przypadku wycofania się USA z kontynentu mamy więcej okrętów, czołgów i samolotów niż Rosja. Te słowa trudno traktować inaczej jak tylko brak kontaktu intelektualnego z rzeczywistością. Gołe liczby nie mają wiele wspólnego z faktami – nie tylko dlatego, że obejmowały one... tureckie siły zbrojne.

Rosja jest strukturą jednolitą, rządzoną w sposób totalitarny, a więc mogącą zorganizować swoją ekonomię i społeczeństwo w celu realizacji mocarstwowych celów politycznych nawet przy użyciu środków militarnych. Z wielu powodów – politycznych, ekonomicznych, a nawet biurokratycznych – Europa nie jest jednolita i nie będzie w stanie z właściwą szybkością oraz sprawczością reagować na posunięcia Moskwy. Poza tym wydaje się wątpliwe, iż kraje, takie jak Niemcy i Francja albo Hiszpania, Portugalia czy Włochy, będą tak zdeterminowane, że natychmiast i bezwarunkowo wezmą udział w obronie wschodniej flanki NATO. Te kalkulacje i wyliczenia bez uwzględnienia kluczowej kwestii parasola nuklearnego USA są nic nie warte. Podobnie jak obietnice premiera Tuska o możliwości zapewnienia takiej obrony ze strony sił atomowych Francji. To zwykłe medialne pustosłowie.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Powtarza je także obecny szef MSZ Radosław Sikorski. Warto przypomnieć, że kilka lat wcześniej określił Jarosława Kaczyńskiego ostrzegającego Europę i świat przed rosyjskim imperializmem jako człowieka „na proszkach", a kilka lat później, już po agresji Rosji na Gruzję, przechwalał się, że w dziedzinie „resetu" z Moskwą wyprzedzał nawet politykę UE. Zważywszy, że ten sam spec od spraw międzynarodowych ma na koncie także znacznie lepsze wystąpienia – takie, które wywołały kiedyś zgrozę wielu niemieckich polityków, porównujące wprost gazociąg Nord Stream 2 do nowego paktu Ribbentrop–Mołotow – można mieć nadzieję, że się opamięta i wróci do zrozumienia rzeczy w polityce elementarnych. Choćby takich, że oparcie naszego bezpieczeństwa na francuskim potencjale nuklearnym to chimera, której w ogóle nie warto przydawać jakiegokolwiek znaczenia.

Tak często narzekamy na tych XVIII-wiecznych nieudaczników, którzy szukali pomocy w Petersburgu, Wiedniu, Paryżu czy Berlinie. Pomstujemy na magnatów – często głupców albo zwykłych „jurgieltników" – snujących chybione koncepcje polityczne zarówno w oparciu o Berlin, jak i czasem Paryż. Wyraźnie widać, że przed dumnym kroczeniem śladami XVIII-wiecznych „mistrzów" polskiej polityki nie chroni ukończenie studiów historycznych na Uniwersytecie Gdańskim ani wymachiwanie dyplomem Oksfordu.

ANTYAMERYKAŃSKIE OBSESJE

Ktoś może uznać, że każdy krok, który jest ukierunkowany na zapewnienie bezpieczeństwa Polsce, choćby nawet nietrafny, zasługuje na uwagę i może nam tylko pomóc, nie przynosząc szkody. Nic bardziej mylnego. Te absurdalne wygibasy w sprawie rzekomego francuskiego parasola atomowego nad Polską są elementem wysoce szkodliwej gry części europejskich polityków, drastycznie uderzającej w interesy naszego kraju. Chodzi o próby wypychania wpływów (a więc także armii) Amerykanów z Europy, która jest powodowana niskim poziomem także tamtych elit oraz kalkulacjami politycznymi. Wzgarda wobec Donalda Trumpa wywołała wręcz rechotliwy oblig prób atakowania prezydenta USA ze słynnym pistoletem wymierzonym w jego plecy. Niechęć Niemiec do amerykańskiej obecności w Europie jest już, jak wspomniałem, z perspektywy finału I i II wojny światowej zupełnie zrozumiała. Berlin dobrze wie, że bez wypchnięcia Amerykanów z Europy Niemcy nie mogą stać się jej politycznym hegemonem, który będzie układał losy Europy wspólnie z Rosją.

> Czy w razie ataku Rosji na Skandynawię, kraje bałtyckie czy Polskę Paryż byłby bezwarunkowo gotowy do użycia swojego potencjału nuklearnego w ich obronie? W imię czego? Przecież Francuzi dobrze wiedzą, czym by się skończyła konfrontacja ich 300 głowic atomowych z 5 tys. rosyjskich. To byłby koniec ich historii

Francja dalej żywi mocarstwowe ambicje, zapominając o celnych uwagach Trumpa, że gdyby Amerykanie dwukrotnie w XX w. nie uratowali wolności Francuzów, to ci dziś mogliby mówić po niemiecku. Paryż też chciałby zajmować silniejszą pozycję w Europie, dalej rojąc o dawnej potędze, co do której nie mają ani politycznych, ani ekonomicznych, ani innych przesłanek. Ot, takie prymitywne odreagowanie: im słabsi będą w Europie Amerykanie, tym my będziemy w niej silniejsi.

Niemałą rolę w tych wystąpieniach odgrywa niechęć do tego, co zawsze prezentowały Stany Zjednoczone: wrogość do kolonializmu, swobody obywatelskie, prawo narodów do samostanowienia i swobody demokratyczne. Te same idee, które legły u podstaw deklaracji prezydenta Woodrowa Wilsona z 1918 r., dziś są kanwą stanowczego przeciwdziałania Waszyngtonu postępującym na Starym Kontynencie próbom ograniczenia przez europejską oligarchę demokracji i wolności obywatelskich. I właśnie to skłania establishment Brukseli do podejmowania najbardziej absurdalnych kroków w celu wypchnięcia Amerykanów z Europy.

PARASOLKA PRZEGRYWA

Na zakończenie warto wspomnieć, kto w ogóle miał podjąć rozmowy z Polską w sprawie ewentualnej wspólnej obrony nuklearnej, a potem opowiedział o niej publicznie. Kim dziś w ogóle jest we Francji prezydent Emmanuel Macron i jaką wartość mają jego deklaracje polityczne? To człowiek symbolizujący nad Sekwaną znienawidzony establishment, a poparcie dla niego sięga w porywach 10 proc. Żeby zwrócić na siebie uwagę, od czasu do czasu rzuca pomysły w kraju pogrążonym w kryzysie i chaosie, których mało kto już w słucha. Tak było z parasolem nuklearnym nad Europą, błyskawicznie skontrowanym publicznie przez francuską prasę, polityków i wojskowych komentatorów jako rzecz mało wiarygodna. Macron, zwany przez małżonkę „przegrywem", jutro zapowie coś nowego, zapewne sensacyjnego. Kilka dni temu ogłosił plan pokojowy dla Zatoki Perskiej (to na poważnie), a jutro wspólnie z Zagłobą zaoferuje Turcji albo Szwecji Niderlandy.

Żaden polski polityk nie powinien brać pod uwagę tego kabaretu. Musimy ściągać do Polski i naszej części Europy możliwie jak największe siły US Army i dbać o dobre relacje z najpoważniejszym z naszych sojuszników. Tylko ścisły sojusz z Waszyngtonem może nas obronić (także nuklearnie) przed zagrożeniem ze strony rosyjskiego agresora. Jeśli Polska pójdzie tzw. europejską drogą bezpieczeństwa, nic dobrego z tego nie wyniknie. Na koniec zostaniemy tylko z ręką we francuskim atomowym nocniku.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Arcykapłan liberalnej lewicy

Śmierć Jürgena Habermasa symbolizuje też śmierć jego idei. Misternie konstruowany gmach racjonalnej debaty pogruchotały powrót realnej polityki, wojny, odrodzenie narodów, a także cyfrowa rewolucja komunikacyjna



MACIEJ WALASZCZYK

Kiedyś „Der Spiegel" umieścił Jürgena Habermasa na liście niemieckich intelektualistów celebrytów. Bardzo trafnie. Był on bowiem – jak celnie ujmował Roger Scruton – częścią niezwykle silnego w Niemczech lewicowego, zaborczego establishmentu intelektualnego, który w latach 60. XX w. opanował uniwersytety. „Nie można się z niego naśmiewać bez uczucia popełnienia bluźnierstwa przeciw rządzącemu bogu" – ironizował Brytyjczyk.

Rolę Habermasa jako zaangażowanego politycznie filozofa, stylizującego się niemal na świętego apostoła Unii Europejskiej, ikony zjednoczonych Niemiec, symbiozy lewicowości i liberalizmu, najlepiej oddają reakcje na jego śmierć 14 marca br.

„Filozof stulecia" – napisał „Frankfurter Allgemeine Zeitung", „Tagesschau" (niemiecki odpowiednik programu „19.30") wspominał „jeden z najważniejszych głosów w Niemczech", a brytyjski lewicowy „The New Statesman" potraktował niczym proroka, którego „dziedzictwo jest filozoficzną siłą pozwalającą przejrzeć naszą mroczną, nieliberalną epokę". Bardziej konkretna była Agencja Reutera, która streściła jego poglądy, podkreślając, że krytykował faszyzm i ostrzegał przed odradzającym się nacjonalizmem, kształtując tym samym dyskurs powojennych Niemiec. Dokładnie tak. Był intelektualnym przewodnikiem niemieckiej liberalnej lewicy, o czym w osobistym wspomnieniu napisał były kanclerz Olaf Scholz z SPD, podkreślając, że idee, które głosił, miały służyć zbudowaniu „lepszych Niemiec", a więc demokratycznych i postępowych oraz racjonalnego, myślącego bez alienacji, egalitarnego i wyemancypowanego społeczeństwa. W którym główną rolę miała odgrywać niezakłócona przemocą publiczną debata.

W Polsce wielu – szczególnie na prawicy – uważa, że takie Niemcy są niegroźne, bo nieustająco przezwyciężające historię, pozbawione narodowych ambicji zostały zneutralizowane. Jak jednak zauważył Scruton, powojenne Niemcy zainwestowały w rozwój postępowej filozofii niemal tak jak kiedyś w zbrojenia. Tym razem był to dla nich okres, gdy na nowo „zbroiły się moralnie", wspierając się przy tym – zgodnie z logiką „dialektyki negatywnej" – na systematycznej negacji wszystkiego, co zdarzyło się w przeszłości. Całość zaś została zaaplikowana społeczeństwu przez wypracowaną od czasów pruskich niemiecką biurokratyczną machinę państwową. Okazało się bowiem, że demokratyczne



i liberalne Niemcy forsowały ten habermasowski program z żelazną konsekwencją i żelazną dyscypliną poprzez biurokratyczny przymus oraz presję, np. wobec wszystkich nowych członków Unii Europejskiej. Także Polski.

PÓŹNE DZIECIĘ MARKSIZMU

Habermas jako nastolatek zaliczył epizod w Hitlerjugend. Był jednak produktem jednego z nurtów marksizmu, który w osobach Maxa Horkheimera i Theodora Adorna po wojnie powrócił do Niemiec w formule humanizmu marksistowskiego. I jako biegunowe przeciwieństwo nazizmu idealnie wpasował się w ideologię nowych Niemiec. Ojców teorii krytycznej zastąpiło – by znów odwołać się do Scrutona – drugie pokolenie szkoły frankfurckiej, złożone z doskonale funkcjonalnych akademickich biurokratów nowej lewicy, których typowym przedstawicielem był właśnie Habermas.

Choć początkowo nawet Horkheimer podejrzewał go o sympatie dla enerdowskiego komunizmu, jego idee łączyły elementy marksizmu, analitycznej filozofii języka oraz amerykańskiego pragmatyzmu. Doktoryzował się z filozofii, ale pod wpływem neomarksistowskiej szkoły frankfurckiej jako socjolog uzyskał drugi

Fot. Europa Port/Wikipedia

eprasa.pl 9e5fa2ed64

doktorat pod kierunkiem zdeklarowanego marksisty Wolfganga Abendrotha. Był uważany za jednego z pionierów studenckiej rewolty 1968 r., przy czym odrzucił przemoc jej przywódców jako „lewicowy faszyzm". Był już wtedy autorem pracy „Zmiana strukturalna sfery publicznej", w konsekwencji czego od lat 70., gdy do władzy doszli socjaldemokraci, wspierał doktrynę „patriotyzmu konstytucyjnego".

W latach 80. odegrał ważną rolę w tzw. sporze historyków, forsując amnezję wobec zbrodni komunizmu, otwartą niechęć do tradycyjnego patriotyzmu i niuansowania historii III Rzeszy. „Po prostu cieszę się, że w końcu porzuciliśmy nacjonalizm, święte uczucia podczas śpiewania hymnu narodowego, ofiarę dla ojczyzny, kult dla poległych bohaterów, stereotypowe odrzucenie wszystkiego, co obce" – mówił w rozmowie z 2012 r. Także w latach 80. odciął się od postmodernistów takich jak Michel Foucault czy Jacques Derrida, broniąc oświecenia i racjonalności przed relatywizmem, irracjonalizmem i nihilizmem postmodernizmu. Zdaniem znawców to w tym czasie pojęcie to nabrało raczej negatywnego wydźwięku.

DEMOKRACJA NIEUSTANNEJ DELIBERACJI

W 1981 r. opublikował swoje główne dzieło pt. „Teoria działania komunikacyjnego". Wyłożył w nim ideę, w której to język jest podstawą wszystkiego – wszystko dzieje się w wolnym od przymusu dialogu, w komunikacji międzyludzkiej, co doprowadziło go do przekonania, że „kultura debaty" jest fundamentem demokracji. Ale, jak się okazywało, tylko dla jej najsilniejszych i słusznych uczestników. Był zdania, że nowe, stworzone przez nowoczesne systemy komunikacji i informacji oraz wykorzenione z narodowych lojalności klasy zawodowe, np. menedżerskie, nie tylko przezwyciężą kapitalizm, lecz także odrzucą tradycyjne wartości na rzecz globalnych standardów etycznych, które w końcu narzuci ludzkości światowy rząd.

Habermas był zwolennikiem konstytucji europejskiej, budowy federalnej Europy, która miała rozszerzyć model narodowej demokracji na całą jej konstrukcję. W ostatnim czasie na tle rozłamu między UE a Stanami Zjednoczonymi opowiadał się np. za integracją sił zbrojnych krajów członkowskich, bo – jak przestrzegał – „utracą jakiekolwiek znaczenie polityczne w geopolitycznie poruszającym się i rozpadającym się świecie". Choć trzeba też zaznaczyć, że nie godził się z forsowaniem narodowych interesów Niemiec i Francji w ramach UE, a także przestrzegał przed niemieckim unilateralizmem.

Jednak Habermas nigdy do końca nie wyjaśnił, kto właściwie decyduje, kiedy dialog jest naprawdę „wolny od przymusu", a kiedy komunikację zniekształcają czyjeś ukryte intencje. Oczywiście zawsze się okazywało, że wszelki możliwy konsensus uniemożliwiały te same siły: prawica, nacjonaliści i konserwatyści („faszyści"), Kościół i religia oraz wszyscy sceptyczni wobec UE. Po prostu każdy, kto miał inne zdanie niż on sam.

> Dopiero w ostatnich dekadach Habermas dostrzegł, że sekularyzacja, konsumpcjonizm i materializm wywołały kryzys kulturowy, że rozpada się wspólnota

Tak było zarówno w przypadku historyków takich jak Ernst Nolte, a nawet wywodzącego się z tej samej szkoły filozofa Petera Sloterdijka. Habermas, nie zgadzając się z tezami jego wykładów dotyczących eugeniki, zaaranżował nagonkę na niego, ujawniając jednocześnie, jak w praktyce rozumie „dyskurs wolny od przymusu". W 1999 r. na łamach „Die Zeit" ukazał się list otwarty Sloterdijka, w którym określił humanizm Habermasa jako „potajemnie skrywany jakobinizm" i „socjalliberalną wersję dyktatury cnót (połączonej z dziennikarskim i akademickim karierowiczostwem)". Ogłosił wówczas, że czas takich jak Habermas „hipermoralnych synów narodowosocjalistycznych ojców dobiega końca". Krytycy zarzucali Habermasowi, że przesadnie uwierzył w swoje posłannictwo i sam kreował się na kogoś w rodzaju kapłana sprzedającego ten sposób dominacji jako „dyskurs wolny od dominacji". Jak celnie zauważył Michael Klonovsky, faktycznie był kolektywistą gardzącym wolną jednostką, przepełnionym przekonaniem, że tym kolektywem muszą kierować tacy jak on.

UPADEK KRYSZTAŁOWEGO PAŁACU

Trochę na wyrost zabrzmiało więc też pośmiertne wspomnienie przewodniczącego Konferencji Biskupów Niemiec bp. Heinera Wilmera, który oświadczył, że Habermas jako filozof przyczynił się do budowania mostów między filozofią a religią. Jako marksista przez lata był wrogiem wszelkiej religii, by w późniejszym etapie w ramach deliberatywnej demokracji jedynie łaskawie tolerować ją jako element życia prywatnego. Dopiero w ostatnich dekadach dostrzegł, że sekularyzacja, konsumpcjonizm i materializm, ulotnienie się trwałych zasad wywołały kryzys kulturowy. Że rozpada się wspólnota, zniknęła ludzka solidarność, bez której nie jest możliwa demokratyczna racjonalność, w którą wierzył.

W dialogach, które w 2004 r. prowadził z ówczesnym kard. Josephem Ratzingerem, późniejszym papieżem Benedyktem XVI, zgodził się, że w takich warunkach społeczeństwa postsekularne potrzebują religii jako jedynego kulturowego fundamentu naszej cywilizacji. Po latach błędów Habermas przyznał, że bez niej ugrzęzną w niekończących się sporach, a liberalne państwo nie będzie w stanie odbudowywać swoich fundamentów etycznych.

Śmierć Habarmasa zbiegła się więc z głośnym upadkiem jego misternie forsowanej wizji. Scholz w swoim wspomnieniu przyznał, że pod koniec życia ogarnął go pesymizm, gdyż od lat obserwował fiasko swego projektu, choćby pod postacią wojny, realnej polityki i odrodzenia patriotyzmu. Jest to bowiem reakcja na habermasowskie idee, które najpierw próbowały zdepolityzować wspólnoty, a następnie zaczęły się rozpadać niczym kryształowy pałac. Kulturę „racjonalnej debaty" rozsadziły zaś cyfrowe media.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Marcowa przymiarka do stanu wojennego

Polska stanęła na krawędzi stanu wojennego już w marcu 1981 r., w czasie tzw. kryzysu bydgoskiego. Była to jedna z dwóch najpoważniejszych – przed grudniem 1981 r. – przymiarek do jego wprowadzenia. I to, co ciekawe, zarówno dla peerelowskich władz, jak i dla działaczy Solidarności



GRZEGORZ MAJCHRZAK

„W świetle rozwoju aktualnej sytuacji w kraju. Wobec groźby strajku generalnego nie można wykluczyć wprowadzenia stanu wojennego" – pisał w specjalnym okólniku z 30 marca 1981 r. wysłanym do szefów polskich placówek dyplomatycznych minister spraw zagranicznych Józef Czyrek. I nakazywał – w tym przypadku – „niezwłocznie podjąć przedsięwzięcia zabezpieczające" w myśl wytycznych MSZ z 1975 r. Ten krótki, odnaleziony przed kilku laty w Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych dokument pokazuje, jak blisko byliśmy wówczas tego, co później nazwano „mniejszym złem".

Tak na marginesie: o tej przymiarce jako pierwszy – jeszcze w 1981 r. – poinformował publicznie polski ambasador w Japonii Zdzisław Rurarz, który po wprowadzeniu stanu wojennego zdecydował się na dezercję i poprosił o azyl polityczny w USA. Jednak dopiero po latach, wręcz dekadach, jego słowa znajdują materialne potwierdzenie.

Trzeba od razu przypomnieć, że w latach 1980–1981 peerelowskie władze kilkakrotnie poważnie przymierzały się – zarówno na szczeblu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, jak i Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – do wprowadzenia stanu wojennego. Po raz pierwszy już w październiku 1980 r., a rozwiązanie siłowe – pacyfikacja Stoczni Gdańskiej przez milicyjnych komandosów – było proponowane przez MSW w sierpniu tego roku i pozostawało aktualne (na szczeblu resortu spraw wewnętrznych, bo dwukrotnie odrzuciło ją kierownictwo rządzącej w kraju partii) dosłownie jeszcze kilka godzin przed podpisaniem porozumienia gdańskiego, czyli dzień po sygnowaniu porozumienia szczecińskiego.

„BIJĄ!, „JEZUS, MARIA!"

Wróćmy jednak do marca 1981 r. To był gorący miesiąc, przynajmniej jego druga połowa. I to nie z powodu panujących w kraju upałów, lecz stosunków pomiędzy władzami PRL a NSZZ „Solidarność", czyli tzw. kryzysu bydgoskiego. Był on wywołany brutalną akcją Milicji Obywatelskiej, której funkcjonariusze pod dowództwem Henryka Bednarka 19 marca siłą usunęli z sali obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy delegację Solidarności. W trakcie tej interwencji milicjanci mieli dotkliwie pobić przewodniczącego bydgoskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S" Jana Rulewskiego, a także Mariusza Łabentowicza i Michała Bartoszczego z rolniczej Solidarności. Wszyscy oni na zaproszenie władz uczestniczyli w sesji WRN i w jej trakcie mieli przedstawić racje strajkujących rolników. Nie zostali jednak dopuszczeni do głosu, gdyż sesję niespodziewanie – przed punktem, na który przybyli – przerwano. Wywołało to protest nie tylko samych związkowców, lecz także części radnych (łącznie 45 osób), którzy zostali, aby sformułować wspólny komunikat. Do tego jednak nie doszło, gdyż działaczy robotniczej i rolniczej Solidarności usunięto z sali.

Wywołało to najpoważniejszy kryzys w stosunkach między władzami a związ-



eprasa.pl 9e5fa2ed64

kiem między wrześniem 1980 r. a grudniem 1981 r. Tym bardziej że na temat pobicia natychmiast rozeszły się nieprawdziwe plotki, m.in. o wybitych zębach Rulewskiego, a po kraju krążyły solidarnościowe nagrania z akcji usuwania związkowców. Problem w tym, że była to jedynie ścieżka dźwiękowa z nagranej przez milicjantów interwencji, ale brak obrazu tylko nadawał zarejestrowanej sytuacji dramatyzmu. Szczególne wrażenie robiły okrzyki Rulewskiego w rodzaju: „Biją!", „Jezus, Maria!". W rzeczywistości akcja usuwania działaczy Solidarności – przynajmniej ta nagrana przez milicyjną kamerę – nie była tak brutalna. Owszem, doszło do szarpaniny, ale nikt nikogo bynajmniej nie bił ani tym bardziej katował.

ZDECYDOWANA REAKCJA SOLIDARNOŚCI

Związek nie mógł nie zareagować na działania władz – bo to na ich rozkaz interweniowali milicjanci. Wieczorem w dniu pobicia, do którego najprawdopodobniej doszło na schodach WRN, w kilku bydgoskich zakładach pracy ogłoszono gotowość strajkową, natomiast w godzinach południowych następnego dnia strajkowało – przez dwie godziny – blisko 85 proc. pracowników pierwszej zmiany w tym mieście. Protesty rozszerzały się i stopniowo obejmowały cały kraj. Powszechne było oburzenie z powodu pobicia związkowców. Sprzyjało temu również to, że przywódcy PRL i kontrolowane przez nich media od samego początku próbowały ukryć prawdę na temat przebiegu wydarzeń. 20–21 marca w Bydgoszczy zebrała się Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „S", która w specjalnym oświadczeniu stwierdziła, że „z powodu ataku na związek, jego władze i obrazę godności związku" odwołuje wszelkie rozmowy z władzami i wprowadza stan gotowości strajkowej dla całego związku. Uznała również, że wydarzenia w Bydgoszczy to „oczywista prowokacja, wymierzona w rząd premiera W[ojciecha] Jaruzelskiego".

Już dzień później – 22 marca – doszło jednak do rozmów z władzami, tyle że nie przyniosły one efektów. W tej sytuacji 24 marca 1981 r. KKP podjęła decyzję o przeprowadzeniu 27 marca czterogodzinnego strajku ostrzegawczego, a w przypadku niewyjaśnienia okoliczności pobicia przedstawicieli „S" – strajku generalnego od 31 marca. Protest miał zostać podjęty „w obronie gwarancji bezpieczeństwa zawartej w porozumieniach społecznych, a tym samym w obronie istnienia NSZZ »Solidarność« i wszystkich zdobyczy sierpnia 1980 r.".

25 marca doszło do kolejnej tury negocjacji z władzami, które również nie przyniosły przełomu. Dwa dni później związek zorganizował strajk ostrzegawczy, który okazał się jego wielkim sukcesem. Na wezwanie Solidarności stanęły niemal wszystkie zakłady pracy, a oprócz związkowców w proteście masowo uczestniczyli nie tylko szeregowi członkowie PZPR, lecz także jej władz (np. egzekutyw zakładowych). W strajku wzięły również udział – co było nowością – szkoły wyższe, średnie, a nawet podstawowe.

OSTRE GŁOSY W PZPR

Tego samego dnia – 27 marca 1981 r. – podczas posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR przywódcy partii i państwa po raz kolejny rozważali rozwiązanie siłowe, tym razem w związku z planowanym przez „S" strajkiem generalnym. Jako pierwszy do tej kwestii nawiązał minister spraw wewnętrznych i jeden z przedstawicieli „partyjnego betonu" Mirosław Milewski, który stwierdził: „Widzę, że dyskutujemy nowe podejście do sprawy, że liczymy się z możliwością strajku generalnego i wprowadzenia stanu wojennego". Pomysł zdecydowanych działań poparł inny przedstawiciel tej samej frakcji, I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Stanisław Kociołek, który proponował: „Jeśli strajk generalny jest nieuchronny, należy szczegółowo przedyskutować, jakie środki nadzwyczajne będą podjęte, z czym wyjdziemy do Sejmu, przygotować właściwe dekrety". Ale nawet on zastrzegał: „Przedtem wykorzystać wszystkie możliwości politycznego rozwiązania". Z kolei Henryk Jabłoński przestrzegał: „Zmiana porządku legislacyjnego jest prosta. Ale jeśli ogłosimy stan wojenny, to nawet nie zdążymy zabezpieczyć ochrony środków masowego przekazu, bo dzień dzisiejszy wykazał, że stacje nadawcze »Solidarność« już ma w rękach".

Nawet I sekretarz Komitetu Centralnego Stanisław Kania, konsekwentnie przeciwny wariantowi siłowemu w latach 1980–1981, dopuszczał taką możliwość. Mówił: „Duże jest zaniepokojenie sojuszników. Dzwonił tow. [Leonid] Breżniew. Widzą, że nastąpił u nas przyrost



Fot. Jerzy Kośnik/PAP

agresywności i antyradzieckości. Trzeba się orientować na własne siły i nawet stan wojenny". Jednocześnie opowiadał się jednak za dalszymi twardymi rozmowami z kierownictwem „S". Dopuszczał, że mogą się one zakończyć niepowodzeniem i z tego powodu proponował równocześnie „przyjąć orientacyjny termin Sejmu na 2 IV br.", dodając: „Może okazać się niezbędne wprowadzenie stanu wojennego. W związku z tym potrzebny jest właściwy akt prawny, w formie nie ustawy, a postanowienia Rady Państwa". Wystąpienie kończył stwierdzeniem: „Należy szukać elementów odprężających sytuację, bo nie każdego paraliżuje strach, niektórych pobudza do agresji, desperacji". Na wypadek strajku generalnego przygotowywała się również Służba Bezpieczeństwa.

UGODA WARSZAWSKA

Ostatecznie do strajku nie doszło, gdyż 30 marca 1981 r. władze PRL oraz przywódcy związku (z Lechem Wałęsą na czele) zdecydowali się na zawarcie tzw. ugody warszawskiej, nie zaś na konfrontację. Wspólne oświadczenie w wieczornym „Dzienniku Telewizyjnym" odczytał wiceprzewodniczący Krajowej Komisji Porozumiewawczej Andrzej Gwiazda. Stwierdzano w nim m.in., iż „rząd uznał, że zamknięcie sesji WRN nastąpiło bez zachowania obowiązujących reguł prawnych, a użycie sił porządkowych dla usunięcia przedstawicieli »Solidarności« z budynku Urzędu Wojewódzkiego jest działaniem sprzecznym z przyjętymi dotąd i przestrzeganymi zasadami rozwiązywania konfliktów społecznych środkami politycznymi, przede wszystkim drogą negocjacji". Dodawano, iż „rząd wyraża także ubolewanie z powodu pobicia trzech działaczy związkowych" oraz zapowiada, że sprawcy pobicia „z chwilą ukończenia śledztwa zostaną osądzeni zgodnie z prawem". To nie wszystko – rządzący obiecali również przyspieszenie prac nad ustawą o związkach zawodowych, tak aby jej projekt w ciągu miesiąca mógł zostać wniesiony pod obrady Sejmu. Obie strony zadeklarowały, iż „uczynią wszystko, aby w sprawie zrzeszania się rolników indywidualnych nie narastały sytuacje konfliktowe". W zamian za ustępstwa władz grupa negocjacyjna KKP zawiesiła – przekraczając swoje kompetencje – decyzję o strajku generalnym.

PRZYGOTOWANIA DO ROZWIĄZANIA SIŁOWEGO

Porozumienie, które stało się przedmiotem gwałtownej krytyki i sporów – szczególnie w związku – spowodowało, że plany stanu wojennego (akcji pod kryptonimem „Wiosna") chwilowo odłożono. Warto przypomnieć, że dwa tygodnie wcześniej – cztery dni przed pobiciem działaczy „S" w Bydgoszczy – planiści z MON i MSW (m.in. na podstawie przeprowadzonej miesiąc wcześniej gry sztabowej obu resortów) przygotowali notatkę „dot. gotowości wprowadzenia stanu wojennego w kraju ze względu na bezpieczeństwo państwa". Przewidywano w niej trzy możliwe warianty rozwoju sytuacji w przypadku działania siłowego. W najbardziej niekorzystnym dla władz – ze strajkami i gwałtownymi demonstracjami ulicznymi w całym kraju, które miały tłumić wojsko oraz milicja – zakładano również, że „nie wyklucza się pomocy wojsk Układu Warszawskiego". Było to zresztą wówczas jak najbardziej możliwe, gdyż w Polsce trwały manewry wojsk UW pod kryptonimem „Sojuz 81". Pozostaje mało znanym faktem, że na prośbę polskich towarzyszy zostały one przedłużone – do 7 kwietnia 1981 r.

Tak na marginesie, właśnie w marcu była gotowa pierwsza wersja dekretu o stanie wojennym, jeszcze pod jego pierwotną nazwą: dekret o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w okresie obowiązywania stanu wojennego. Miała ona naniesioną datę roczną (1981) oraz miesięczną (marzec), wystarczyło jedynie wpisać datę dzienną. Był to projekt niezwykle wręcz liberalny w stosunku do tego przyjętego, a właściwie „przyklepanego" przez Radę Państwa w grudniu 1981 r.

Przedstawiciele drugiej strony – związkowcy – również uważali konfrontację za bardzo prawdopodobną. To właśnie w czasie kryzysu bydgoskiego w drugiej połowie marca w kilku regionach związku (m.in. Dolny Śląsk czy Mazowsze) powstały krótkie wytyczne na wypadek podjęcia działań siłowych przeciwko NSZZ „Solidarność". Przewidywano w nich trzy warianty: 1) ogłoszenie strajku generalne przez kierownictwo związku, 2) wprowadzenie stanu wyjątkowego przez władze PRL, 3) interwencję z zewnątrz.

Z kolei funkcjonujący w tym czasie w Gdańsku Międzyzakładowy Komitet Strajkowy NSZZ „S" przygotował nawet ulotki na wypadek tej drugiej i trzeciej ewentualności, w tym skierowane (po polsku i rosyjsku) do żołnierzy radzieckich. W przypadku ogłoszenia stanu wojennego miały być wydrukowane apele do żołnierzy (ludowego) Wojska Polskiego, a także do funkcjonariuszy MO i SB. Np. do tych ostatnich zwracano się: „Nadszedł czas, kiedy musicie zdecydować, czy jesteście z narodem, czy służycie skompromitowanej grupie, która jest gotowa do każdej zbrodni, aby tylko zachować władzę i przywileje". Wzywano ich do odmawiania wykonywania tych rozkazów przełożonych, które „służą agresorom i zdrajcom naszej ojczyzny", porzucenia służby w szeregach MO i SB, a nawet użycia broni „przeciwko naszym wspólnym wrogom". I wzywano ich: „Bądźcie naszymi sojusznikami. Nie zgadzajcie się na traktowanie Was jak ślepe narzędzie do wykonywania rozkazów. Nie bierzcie udziału w akcjach wymierzonych przeciwko strajkującym i opozycji demokratycznej".

Co ciekawe, autorzy tych ulotek – podobnie jak planiści stanu wojennego z MON i MSW – dopuszczali, że wprowadzenie stanu wojennego (w cytowanej ulotce wyjątkowego) może doprowadzić do „bratniej pomocy". Ten element znalazł się w jej wersji przeznaczonej dla milicjantów i esbeków, których przestrzegano: „Pamiętajcie, że Wasze działania mogą być wstępem do interwencji z zewnątrz". Ostrzegano ich również, że w takim przypadku „interwenci i polska Targowica [będzie] starała się wykorzystać Was do współpracy w tym haniebnym dziele". I przestrzegano, wręcz grożono: „Musicie sobie zdawać sprawę z tego, że stojąc po stronie wroga, będziecie traktowani tak, jak zawsze naród polski traktował wrogów i zdrajców. Grozi Wam odwet ze strony Polskiego Ruchu Oporu".

Na szczęście w marcu 1981 r. ulotki te nie okazały się potrzebne, a do wprowadzenia stanu wojennego doszło niespełna dziewięć miesięcy później.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 9e5fa2ed64



Jessie Buckley i Michael B. Jordan

Oscary wychodzą z kina

Mamy polskiego Oscara, ale dla Kanady. Gala najważniejszych nagród kina pokazała przede wszystkim siłę platform streamingowych, na których znajdziemy największych wygranych: „Jedną bitwę po drugiej", „Grzeszników", „Frankensteina" oraz „K-popowe łowczynie demonów"

Fot. Etienne Laurent

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Za nami 98. edycja Oscarów. Na niej m.in. statuetka dla współreżysera Maćka Szczerbowskiego. Urodzonego w Polsce, ale podczas gali dziękującego Kanadzie, w której spędził przeważającą część życia i gdzie od lat tworzy. Szczerbowski pochodzi z artystycznej rodziny, która w 1981 r., gdy miał 10 lat, opuściła Poznań, decydując się na emigrację.



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

CENNE ANIMOWANE ŁZY

Zwycięstwo „The Girl Who Cried Pearls" w kategorii najlepszy krótkometrażowy film animowany „z radością przyjęli" organizatorzy poznańskiego Festiwalu Animator, przypominając, że Szczerbowski to wielokrotny gość tej imprezy i zwycięzca jej pierwszej edycji. W 2008 r. odebrał Złotego Pegaza – wraz z Chrisem Lavisem – za „Madame Tutli-Putli", ich pierwszą wspólną produkcję. Również nominowaną do Oscara.

Film, który przyniósł duetowi Lavis–Szczerbowski statuetkę Złotego Rycerza, to osadzona w Montrealu na początku XX w. historia biednego chłopca zakochanego w dziewczynce, której smutek przemienia się w perły. Odkupujący je pracownik lombardu pragnie ich coraz więcej. Dopracowana wizualnie 17-minutowa klasyczna animacja poklatkowa jest przypowieścią o miłości, chciwości i wyborze moralnym.



Kadr z filmu „Hamnet"



Kadr z filmu „Grzesznicy"

SKUTECZNI ŁOWCY OSCARÓW

Zdecydowanie nieklasyczne w formie i wymowie są triumfujące na 98. oscarowej gali pełnometrażowe produkcje fabularne. W tym największy zwycięzca – „Jedna bitwa po drugiej" Paula Thomasa Andersona z Leonardem DiCaprio w roli głównej (choć nienagrodzonej). Obraz doceniono w sześciu kategoriach: najlepszy film, reżyser, scenariusz adaptowany (tu także nagrodę odbierał Anderson), aktor drugoplanowy (Sean Penn), casting (to nowa kategoria oscarowa) oraz montaż.

Producentem filmu Andersona, podobnie jak kolejnego triumfatora gali – „Grzeszników" Ryana Cooglera (z czterema Oscarami: za zdjęcia, scenariusz oryginalny, dla aktora pierwszoplanowego oraz za oryginalną muzykę), jest Warner Bros. Prapoczątkiem tego medialnego koncernu była założona w 1923 r. wytwórnia, która produkowała filmy dla kina. Dziś najszczodrzej obdarzone Oscarami tytuły można oglądać przede wszystkim w streamingu (wymienione wcześniej w serwisie HBO Max).

Zdobywców kolejnych trzech statuetek („Frankenstaina" w reżyserii Guillerma del Toro nagrodzonego za scenografię, kostiumy oraz charakteryzację i fryzury), a także dwóch („K-popowe łowczynie demonów" – dla najlepszego pełnometrażowego filmu animowanego oraz piosenki) wyprodukował i pokazuje widzom Netflix.

Pozostałe oscarowe filmy – te wyświetlane w kinach dłużej – musiały się zadowolić pojedynczymi nagrodami lub obejść smakiem, jak nominowany w dziewięciu kategoriach „Wielki Marty". Tu m.in. stuprocentowy faworyt do nagrody dla najlepszego aktora pierwszoplanowego Timothée Chalamet poległ w konfrontacji z Michaelem B. Jordanem z „Grzeszników".

REBELIA I PRZESŁANIE

Najliczniej wyróżnione tegorocznymi Oscarami filmy trudno określić gatunkowo. „Jedna bitwa po drugiej" to zaskakująca satyryczna opowieść o przywódcy grupy rewolucjonistów, który po 16 latach życia w odosobnieniu musi się zmierzyć z dawnym wrogiem (nagrodzony Sean Penn). Rebelianci jednoczą siły, by ochronić przed niebezpieczeństwem córkę lidera, jednak na ich drodze stają nie tylko bezwzględni przeciwnicy, lecz także groteskowy świat.

„Grzesznicy" w reżyserii czarnoskórego Ryana Cooglera to z kolei wampirzy horror z kluczową rolą muzyki bluesowej oraz Michaela B. Jordana w podwójnej kreacji. Grani przez niego bliźniacy „Smoke" i „Stack" wracają do rodzinnego miasta, by zostawić za sobą burzliwą przeszłość. Na miejscu przekonują się jednak, że czeka na nich jeszcze gorsze zło. Żonglujący konwencjami „Grzesznicy", wzmocnieni nieocze-

Fot. Agata Grzybowska/© 2025 Focus Features LLC. Warner Bros

eprasa.pl 9e5fa2ed64


Maciek Szczerbowski i Chris Lavis


Kadr z filmu „The Girl Who Cried Pearls”

kiwanym przy takim gatunku przesłaniem, byli rekordzistami tegorocznych nominacji. Zdobyli ich 16, co przełożyło się na 4 wspomniane statuetki.

SKECZE I CHAOS SERCA

Tylko w streamingu uda się zobaczyć nagrodzoną za rolę drugoplanową w horrorze „Zniknięcia” Amy Madigan (to od skeczu nawiązującego do tego filmu i jego aktorki, rozpoczęła się 98. oscarowa gala). Na dużym ekranie można za to próbować odszukać „Wartość sentymentalną”, nominowaną w dziewięciu kategoriach, w tym za rewelacyjną pierwszoplanową rolę Stellana Skarsgårda. Obraz zdobył tytuł najlepszego filmu międzynarodowego. Odbierając nagrodę, norweski reżyser Joachim Trier mówił: „Ten film opowiada o dysfunkcyjnej rodzinie. Przeciwieństwie tego, co czułem wśród obsady. Robię filmy, aby zbliżyć się do ludzi. Kręcąc ten film, zbliżyłem się do ekipy. Nigdy nie byłem tak dumny ze swojej obsady”.

W kinach być może trafimy też na film „Hamnet” Chloé Zhao. Nominowany w ośmiu kategoriach (w tym za kostiumy Małgosi Turzańskiej) zdobył tylko jedną statuetkę – za pierwszoplanową rolę Jessie Buckley. Odbierając statuetkę, aktorka podkreślała, jak ekscytuje ją wspólne odkrywanie świata z ośmiomiesięczną córeczką, a ponieważ w wieczór amerykańskiej gali w Wielkiej Brytanii obchodzono Dzień Matki, 36-latka poświęciła nagrodę „pięknemu chaosowi matczynego serca”.

Buckley to irlandzka aktorka i piosenkarka, nominowana już do Oscara za drugoplanową rolę w „Córce” (2021) Maggie Gyllenhaal. Jest też znana m.in. z serialu „Czarnobyl” i filmów „Może pora z tym skończyć” oraz „Men”. Teraz można ją oglądać także w horrorze „Panna młoda” w reżyserii Gyllenhaal, gdzie zagrała... partnerkę Frankensteina.

DUCHOWA PODRÓŻ JORDANA

O ile nagroda dla Buckley była oczekiwana, o tyle Oscar przyznany za główną rolę męską wywołał sporo zamieszania. Nie tylko dlatego, że Michael B. Jordan zostawił w tyle Timothéego Chalameta czy Leonarda DiCaprio. „Przede wszystkim chciałbym podziękować Bogu” – rozpoczął swoją przemowę na gali. „Gdyby nie jego przewodnictwo, łaska i siła, którą obdarzył mnie w najciemniejszych momentach tej produkcji, nie stałbym tu dzisiaj” – dodał, podkreślając, że jego droga do „Grzeszników” była duchową podróżą, a nagroda „jest świadectwem tego, co jest możliwe, gdy ma się wiarę większą niż własny strach”.

Jordan przypomniał też swoich afroamerykańskich hollywoodzkich poprzedników: „Stoję tutaj dzięki ludziom, którzy byli przede mną: dzięki Sidneyowi Poitierowi, Denzelowi Washingtonowi, Halle Berry, Jamiemu Foxxowi, Forestowi Whitakerowi i Willowi Smithowi. Znaleźć się wśród tych gigantów, wśród tych wielkich postaci, wśród moich ludzi...”.

Pamiętał o reżyserze Ryanie Cooglerze, który nie tylko obsadził go w „Grzesznikach”, lecz także we wcześniejszych filmach, takich jak „Fruitvale”, „Czarna Pantera” czy trylogia „Creed”. To za sprawą ról w dwóch ostatnich produkcjach Jordan zdobył międzynarodową sławę. Pozostał jednak – jak przedstawiają go media – zwyczajnym, przystępnym człowiekiem. Po gali zajrzał do jednej z popularnych amerykańskich burgerowni. Oczywiście z Oscarem w ręce.

CZY TO OSTATNI PROWADZĄCY?

Swojej statuetki nie odebrał Sean Penn. Był to jego pierwszy Złoty Rycerz w kategorii drugoplanowej. Wcześniej nagradzano go za główne kreacje w „Rzece tajemnic” i „Obywatelu Milku”. Zdobywając trzeciego Oscara, Penn dołączył do elitarnego grona potrójnych zdobywców statuetki: Jacka Nicholsona, Waltera Brennana i Daniela Day-Lewisa.

Tegoroczna gala po raz kolejny nie okazała się szczęśliwa dla Leonarda DiCaprio (siedmiokrotnie nominowany tylko raz zdobył statuetkę – 10 lat temu za kreację w filmie „Zjawa”), ale aktor nauczył się odnajdywać w takiej sytuacji. Teraz również kamery zarejestrowały jego serdeczną rozmowę z Michaelem B. Jordanem.

Leo, który pierwszą szansę na Oscara dostał w 1993 r. (za chłopięcą rolę w filmie „Co gryzie Gilberta Grape'a”), zapewne liczy jeszcze na wiele kreacji zasługujących na nagrodę Akademii. Co innego prowadzący galę, który w komediowy sposób stwierdził: „Jestem Conan O'Brien i jestem ostatnim człowiekiem, który poprowadzi Oscary. W przyszłym roku będzie to po prostu robot”.

Czy rzeczywiście tak się stanie? I co się jeszcze zmieni świecie Oscarów? Zobaczymy. Do setnej edycji pozostały dwa lata.

Fot. Etienne Laurent, materiały prasowe

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Czekając na „Santo Subito”

Czy nowy film o Janie Pawle II rzeczywiście ukaże nieznane oblicze papieża, jak przekonują twórcy dzieła?





GRZEGORZ GÓRNY

W Rzymie rozpoczęły się zdjęcia do filmu fabularnego „Santo Subito”, którego akcja będzie osnuta wokół procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II. Reżyserem jest Francuz Bertrand Bonello, mający w swoim dorobku takie produkcje jak m.in. „Pornograf”, „Dom tolerancji. Wspomnienia z burdelu” czy „Saint Laurent”. Scenariusz to jego wspólne dzieło z innym Francuzem – Thomasem Bidegainem, mającym na koncie m.in. scenariusz do filmu „Emilia Pérez”, który w 2024 r. uzyskał 13 nominacji do Oscarów.

Głównym bohaterem obrazu ma być amerykański kapłan ks. Joseph Murolo, pełniący funkcję tzw. adwokata diabła, czyli osoby, której zadaniem podczas procesu jest wskazanie wszelkich wątpliwości i niejasności mogących podważyć świętość kandydata na ołtarze. W tę rolę wcieli się hollywoodzki gwiazdor Mark Ruffalo, znany widzom z występów w takich obrazach jak m.in. „Foxcatcher”, „Avengers”, „Biedne istoty”, „Mroczne wody” czy „Grupa zadaniowa”. Aktor był czterokrotnie nominowany do Oscara, m.in. za udział w głośnym dziele „Spotlight”. Zagrał w nim Michaela Rezendesa, dziennikarza śledczego gazety „Boston Globe”, który jako pierwszy ujawnił aferę pedofilską w archidiecezji bostońskiej, a zwłaszcza przypadki tuszowania skandali seksualnych przez tamtejszą hierarchię. Rola w „Santo Subito” ma być dla wykonawcy powrotem do tamtej tematyki, ale z nieco innej perspektywy – kogoś, kto prowadzi dochodzenie w imieniu Kościoła.

W obsadzie filmu zobaczymy także polskich aktorów, np. Andrzeja Chyrę, który wcieli się w Jana Pawła II, oraz Cezarego Żaka, który zagra kard. Stanisława Dziwisza. Specjalne zadanie przypadnie 80-letniej Brytyjce Charlotte Rampling, znanej z występów w produkcjach, takich jak „Werdykt”, „Harry Angel”, „Zawód: szpieg”, „Czerwona jaskółka” czy „Diuna”. Odtworzy ona postać Anny Teresy Tymienieckiej, czyli wieloletniej przyjaciółki papieża, z którą przez 30 lat prowadził ożywioną korespondencję. Z doniesień prasowych wiadomo, że to właśnie wymiana listów między Karolem Wojtyłą a amerykańską filozofką polskiego pochodzenia będzie stanowić główną kanwę filmu. Krytycy zapowiadają, że obraz zaprezentuje nieznane oblicze Jana Pawła II.

PRAWDA CZASU, PRAWDA EKRANU

Żyjemy w czasach, w których wizerunek publiczny postaci jest kształtowany przez kulturę masową. Dotyczy to także papieży. Im więcej czasu mija od ich śmierci, tym bardziej obraz zmarłych jest podatny na różne zabiegi artystyczne. Wystarczy przywołać przykład Piusa XII. Potoczna wiedza o jego postawie w czasie II wojny światowej nie wynika z prac historycznych dotyczących polityki papieża, lecz bazuje na fikcyjnej narracji, której źródłem pozostaje twórczość literacka. W tym kontekście na pierwszy plan wysuwa się postać niemieckiego dramaturga Rolfa Hochhutha, którego sztuka „Namiestnik”, choć nie miała wiele wspólnego z faktami, narzuciła sposób postrzegania Piusa XII.

Nie zmieniła tego – a nawet pogłębiła – niedawna premiera głośnego filmu hollywoodzkiego „Norymberga”. Dzieło zostało osnute na motywach książki zatytułowanej „22 cele w Norymberdze”, którą napisał amerykański psychiatra Douglas Kelley. Podczas procesu przywódców Trzeciej Rzeszy był on biegłym sądowym i przez kilka miesięcy zdołał przeprowadzić wiele rozmów z zamkniętymi w areszcie zbrodniarzami wojennymi.

Fot. Wojtek Laski / East News

Jego zadaniem była ocena ich poczytalności. Niektórzy z oskarżonych podjęli z lekarzem swoistą grę psychologiczną, próbując zjednać sobie jego przychylność. Szczególna więź nawiązała się między dr. Kelleyem a Hermannem Göringiem, którego zagrał Russell Crowe.

Film nakręcony na podstawie książki Kelleya jest niezwykle wciągającym dramatem sądowym. Jednym z głównych bohaterów obrazu pozostaje sędzia Sądu Najwyższego USA Robert Jackson, który pełnił w Norymberdze funkcję głównego prokuratora i oskarżyciela ze strony Stanów Zjednoczonych. Niestety w produkcji pojawia się dialog, którego nie ma ani w książce Kelleya, ani w innych dostępnych źródłach historycznych. Otóż reżyser pokazał, jak Jackson odwiedza w Rzymie Piusa XII, by prosić go o wsparcie dla procesu norymberskiego, a zarazem zarzucić mu zbyt bliskie związki z narodowym socjalizmem. Papież odmawia jednak amerykańskiemu prokuratorowi.

W lutym 1946 r. Robert Jackson rzeczywiście zjawił się w Watykanie. Przerwał swój udział w procesach norymberskich, by przyjechać na konsystorz, podczas którego papież kreował nowych kardynałów, w tym abp. Nowego Jorku Francisa Spellmana. Ten ostatni był nie tylko łącznikiem między Stolicą Apostolską a administracją prezydenta Roosevelta, lecz także bliskim znajomym prokuratora. On też miał zorganizować audiencję Jacksona u papieża.

Nie wiadomo, jak wyglądała ich rozmowa. Wiemy jednak, że Pius XII nigdy nie sprzeciwiał się procesowi w Norymberdze. Reżyser zakłamał więc rzeczywistość historyczną. W scenie, która ma kluczowe znaczenie dla całego filmu, przedstawił amerykańskiego gościa jako szlachetnego, bezkompromisowego i odważnego humanistę w przeciwieństwie do papieża, który został pokazany jako żałosny hipokryta, człowiek tchórzliwy, skłonny do kompromisów i pozbawiony duchowości. Na tle właśnie takiego karykaturalnego wizerunku zwierzchnika Kościoła ma wręcz bić po oczach moralna wyższość stróża porządku ze Stanów Zjednoczonych. W ten sposób amerykański prokurator jawi się jako jedyny sprawiedliwy, mający odwagę mówić prawdę w twarz przedstawicielom zepsutej i zakłamanej Europy, reprezentantem której w filmie jest papież.

W wizji reżysera Kościół katolicki został więc pokazany jako główna przeszkoda, by osądzić niemieckich zbrodniarzy podczas procesu norymberskiego. Rzeczywistość była zupełnie inna. Jeżeli Amerykanie spierali się z kimś, aby doprowadzić do wymierzenia sprawiedliwości sprawcom, to z własnymi sojusznikami. Brytyjczycy chcieli bowiem stracić nazistowskich przywódców bez żadnego sądu, Sowieci natomiast dążyli do zorganizowania sfingowanego procesu, w czym specjalizowali się za rządów Stalina. Tych wątków nie znajdziemy jednak w filmie. Zamiast tego miliony widzów zapamiętają papieża jako tego, który sprzeciwia się osądzeniu ludobójców. Mamy więc do czynienia z tworzeniem kolejnej czarnej legendy na temat Watykanu, która zapewne wkrótce będzie krążyć w przestrzeni publicznej jak prawda objawiona.

> Głównym bohaterem obrazu ma być amerykański kapłan ks. Joseph Murolo, pełniący funkcję tzw. adwokata diabła, czyli osoby, której zadaniem podczas procesu jest wskazanie wszelkich wątpliwości i niejasności mogących podważyć świętość kandydata na ołtarze

SIŁA FILMOWEJ KREACJI

Kultura kształtuje wizerunki bohaterów – zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Nasze czasy nie są pod tym względem wyjątkowe. Na podstawie wykopalisk archeologicznych przeprowadzonych w XIX w. przez Heinricha Schliemanna wiemy, że wojna trojańska nie była wydarzeniem mitycznym, lecz toczyła się w rzeczywistości. Powszechna wiedza na temat owego konfliktu nie bazuje jednak na źródłach historycznych, lecz na poetyckiej wizji, która znalazła swój wyraz w „Iliadzie". Stało się tak za sprawą wędrownych śpiewaków, którzy w antycznych czasach recytowali przy ogniskach poematy sławiące bohaterów, zaludniając w ten sposób wyobraźnię zbiorową ówczesnych ludów. Dzisiejszymi odpowiednikami Homerów są reżyserzy, ich eposami – dzieła filmowe, a ogniskami gromadzącymi odbiorców – sale kinowe.

Wiele wskazuje na to, że film „Santo Subito" ma szansę stać się obrazem kształtującym wizerunek Jana Pawła II zwłaszcza w oczach ludzi, którzy nie pamiętają jego pontyfikatu. Wiadomo, że obraz będzie bazował na prawdziwych wydarzeniach, które zawsze można wypełnić fikcyjnymi scenami.

Jego największym atutem – według zapowiedzi twórców – ma być sięgnięcie do nieznanego szerzej wątku z biografii papieża, czyli przyjaźni Karola Wojtyły z Anną Teresą Tymieniecką oraz trwającej od 1974 do 2004 r. korespondencji między nimi. Kolekcja ich listów, zakupiona w 2008 r. przez Bibliotekę Narodową w Warszawie, do niedawna pozostawała niedostępna dla badaczy. Z relacji dziennikarzy, którzy dotarli do niej jako pierwsi, wynika, iż w 2001 r. Tymieniecka informowała Jana Pawła II o skandalach pedofilskich w amerykańskim Kościele. W związku z tym rodzą się pytania: co naprawdę wiedział papież i co zrobił z tą wiedzą?

Dla kogoś, kto – jak filmowy adwokat diabła ks. Joseph Murolo – poszukuje prawdy o świętości papieża, to pytania podstawowe. Przed twórcami filmu otwierają się zatem nieograniczone możliwości interpretowania minionych wydarzeń, narzucania własnej narracji lub kreowania alternatywnej rzeczywistości. Już wkrótce zobaczymy, w którym kierunku podążą.

Fot. Shutterstock



Irlandzka krew, angielskie serce

Morrissey stał się ofiarą kulturowego, pozaprawnego i systemowego karania za poglądy. Dlatego że o skutkach imigracji, kryminalizacji wolności słowa, mówi to, co myśli wielu Brytyjczyków



MACIEJ WALASZCZYK

Płyta pod wymownym tytułem „Make-Up is a Lie" („Makijaż to kłamstwo") pojawiła się trzy lata po premierze „Bonfire Of Teenagers". Tamta w ogóle się nie ukazała i być może nigdy nie pojawi się na rynku, choć można o niej poczytać w internecie, m.in. na Wikipedii. Kiedy ją nagrano, w 2023 r. została wycofana przez wydawcę, firmę Capitol, która po wielu perturbacjach następnie odprzedała prawa do jej publikacji Morrisseyowi. Ale to nie wszystko, bo wokalistka Miley Cyrus zażądała usunięcia swojego głosu z nagrań w obawie przed tym, że zostanie utożsamiona z jego poglądami politycznymi. Faktycznie był to przejaw jej konformizmu, uległości wobec niewidzialnej cenzury. Zdaje się, że obecnie żaden wydawca nie ma odwagi mieć z tymi nagraniami nic wspólnego. Choć ci, którzy na koncertach w USA i Europie słyszeli pochodzące z niej piosenki, przyznają, że z pewnością należałaby do najlepszych, jakie piosenkarz nagrał od wielu lat.

On sam uważa, że jest idealnym przykładem polityki unieważniania, wymazywania (cancel culture), ofiarą kulturowego, pozaprawnego i systemowego karania za poglądy, opinie, które m.in. wygłaszał po zamachu bombowych w Manchester Arena w 2017 r. Ale nie tylko.

ROCKOWY NONKONFORMISTA

Steven Patrick Morrissey, znany jako Morrissey albo Moz, ma już 66 lat. Sławę zdobył w połowie lat 80. XX w. dzięki grupie The Smiths, stając się autorem jednych z najlepszych tekstów swojego pokolenia – pięknych, nieco poetyckich, będących głosem outsiderów, ratunkiem dla samotnych i niezrozumianych. Świetnie pasowały one do oczyszczonych z punkowego jazgotu melodyjnych, ale stonowanych gitarowych brzmień, będących artystycznym głosem przemysłowego Manchesteru tamtego czasu.

On sam dysponuje znakomitym głosem, a do tego jest człowiekiem bardzo oryginalnym, przewrotnie zabawnym i wyrafinowanym. Bardziej znanym z wypowiedzi niż śpiewanych przez siebie piosenek. Do tego w ostatnich latach zyskał reputację postaci kontrowersyjnej, i to z bardzo różnych powodów. M.in. ze względu na tendencję do odwoływania koncertów w ostatniej chwili i różnych, dziwacznych przyczyn – ze względu na „skrajne wyczerpanie" czy rzekome groźby pozbawienia życia. Niedawno np.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9e5fa2ed64



odwołał całą trasę po Ameryce Łacińskiej, w której jest uwielbiany i żywiołowo przyjmowany przez publiczność. Znany jest także z opuszczania sceny podczas koncertów, które już się rozpoczęły, czego kiedyś doświadczyła publiczność w Warszawie. Morrissey to osobowość narcystyczna, ale jego obecna pozycja w brytyjskim popie jest zupełnie wyjątkowa.

Dwa lata temu za reaktywację The Smiths muzykom oferowano 25 mln dol. Jednak z przyczyn osobistych, w tym politycznych, nie są oni w stanie ze sobą współpracować. A on – dawny pieszczoch mediów, niegdyś utożsamiany z lewicą, a teraz rzekomo popierany przez jej przeciwników – dla macherów z show-biznesu stał się osobą niepożądaną. Faktycznie mówi to, co myśli większość Brytyjczyków.

MAKIJAŻ JEST KŁAMSTWEM

Płyta „Make-Up is a Lie" jest naprawdę znakomita, choć także w jej przypadku artysta miał trudności ze znalezieniem wydawcy. Sprawę wzięła więc w swoje ręce wytwórnia Sire, z którą współpracował w latach 90. To na niej umieścił utwór „Notre-Dame", w którym wprost sugeruje, że był to akt islamskiego terroru, od początku tuszowany przez francuskie władze. Na płycie słychać słowa: „Przed rozpoczęciem śledztwa mówili: »Tu nie ma nic do oglądania« / Notre-Dame, wiemy, kto próbował cię zabić", ale w pierwotnej wersji, także na koncertach, Morrissey śpiewa: „Jeszcze przed rozpoczęciem śledztwa mówili: »To nie jest terroryzm«/ Notre-Dame, nie będziemy milczeć". Aż tyle i tylko tyle. Piosenka osadzona w znakomitym synthpopowym beacie, niesiona miłą, choć niepokojącą melodią, mogłaby się stać przebojem, ale w mediach nie istnieje. A w brytyjskich warunkach została wyśmiana, jak i cała płyta, np. na łamach „The Guardian" (brytyjski odpowiednik „Wyborczej") czy prestiżowych magazynów „New Musical Express" i „Rolling Stone".

Na płycie jest jednak znacznie więcej świetnych piosenek, m.in. „The Night Pop Dropped" czy „Headache". Jednak przede wszystkim to „The Monsters of Pig Alley", utwór poruszający problem ceny, jaką gwiazdorzy płacą za sławę, gdy zmagają się z własną próżnością, urojoną wielkością i chciwością. „Im wyżej się wspinasz, tym mniej znajdujesz" – śpiewa Moz w kawałku będącym jednym z jego najlepszych życiowych osiągnięć.

Jednak wszystko trafia na mur skalkulowanej obojętności, w matnię kultury unieważniania, najzwyklejszej cenzury. Choć jednocześnie mimo niepochlebnych recenzji i nieobecności w mediach piosenkarz wciąż ma rzeszę zagorzałych fanów, szczelnie wypełniających sale koncertowe w USA i Europie, w tym londyńską O2 Arenę. To po tym koncercie z początku marca br. brytyjskie media zaatakowały go za to, że przed „Irish Blood, English Heart", odbieraną już jako manifestację narodowej dumy, powiedział: „Martwię się o bezpieczeństwo wszystkich społeczności, ale dziś najbardziej martwię się o własną wspólnotę".

FLIRTUJĄCY Z PRAWICĄ?

Skąd wzięła się ta reputacja, która utrudnia Morrisseyowi karierę, a także dodaje jej pikanterii? On nie jest ani nacjonalistyczny, ani konserwatywny, choć na pewno typowo brytyjski. Jak większość ludzi Zachodu, jest dzieckiem minionych już chyba czasów nieograniczonej wolności słowa, swobód, które pozwalały przekraczać konwenanse, podważać wszystko, co tylko się chce. Moz był więc obrońcą zwierząt, wegetarianinem, przeciwnikiem monarchii albo popierał modny w latach 80. antythatcheryzm, na którym lansowali się nawet rockowi przeciętniacy. W 1986 r. The Smiths wystąpili nawet na imprezie Red Wedge wspierającej Partię Pracy. Morrissey zaczął jednak karierę solową, a od lat 90. często zarzucano mu flirtowanie z prawicą. Politycznie poprawne oko Saurona dostrzegło np., że na koncercie Madness w 1992 r. wyszedł na scenę otulony brytyjską flagą, a nacjonalistycznych tropów doszukiwano się w piosenkach „Asian Rut" i „The National Front Disco". W tej ostatniej śpiewał o chłopaku urodzonym w Anglii, która w latach 80. przestała być Anglią, w jakiej mieszkali jego przodkowie i jakiej nigdy już nie doświadczy. Był to raczej ironiczny komentarz na temat nastolatków wspierających National Front.

Lata mijały, Wielka Brytania została zalana kolejnymi falami imigracji, a w mediach pojawiały się jego dwuznaczne komentarze na ten temat. W 2018 r. wyraził poparcie dla partii For Britain (rozłamowców z partii Nigela Farage'a), deklarował solidarność z atakowanym w mediach Tommym Robinsonem, krytykował nieustannie rozszerzaną definicję molestowania seksualnego, a aktorki lądujące w łóżku Harveya Weinsteina oskarżył o świadomy udział w grze, którą ten im proponował. Publicznie podkreślał, że pojawiające się co rusz we współczesnej Wielkiej Brytanii oskarżenia o rasizm mają na celu dyskredytację oponenta, gdy kończą się argumenty. „To słowo utraciło znaczenie. Ostatecznie każdy woli swoją rasę. Czy to czyni wszystkich rasistami?" – mówił w jednym z wywiadów.

Atmosfera wokół Morrisseya jest jednak odczytywana jako barometr nastrojów przed kolejnymi wyborami, które prawdopodobnie zmienią obraz polityczny w Wielkiej Brytanii i wyniosą partię Reform UK Nigela Farage'a do władzy. Moz był już wiele razy pytany o stosunek do tego polityka. W 2016 r. określił wynik referendum w sprawie brexitu jako „wspaniały", a Farage'a nazwał „liberalnym edukatorem". Potem mówił, że jest oczywiste, iż byłby on dobrym premierem, a Wielka Brytania potrzebuje właśnie kogoś, kto położy kres szaleństwu, w jakim się pogrążyła. W ostatnim czasie jednak nie skorzystał z zaproszenia, by wystąpić na konwencji partyjnej w Birmingham, podkreślając, że całe życie był apolityczny.

Wielokrotnie krytykował kulturę unieważniania i wymazywania tzw. różnorodności jako wymuszanie postaw konformistycznych i uniformizacji życia. „Kiedyś można było podróżować do Niemiec, zobaczyć niesamowitą kulturę. Jedziesz do Włoch, zobaczysz niesamowitą kulturę. Teraz chcą tylko, żeby wszystko było takie samo" – zauważał. Rok temu w rozmowie z polskim magazynem „Teraz Rock" przyznał, że w Polsce czuje się bardzo bezpiecznie. „Zazdroszczę wam tego. [...] Polska mnie interesuje, bo wiele krajów w Europie obecnie wygląda dokładnie tak samo, jakby były w ten sposób rozmyślnie zaprojektowane, a Polska zachowuje własną tożsamość". A na krakowskim koncercie nie pozostawił wątpliwości, co jest dziś najważniejsze: „Chrońcie swoje granice. Chrońcie swój język. Dbajcie o koty".

eprasa.pl 9e5fa2ed64





HITY i KITY ZAREMBY

„Jesus Christ Superstar" – jednak z Ewangelii

„Jesus Christ Superstar" Andrew Lloyda Webbera i Tima Rice'a kiedyś szokował. Jak można opowiedzieć o drodze Chrystusa do ukrzyżowania w formie rockowej opery? Dziś to klasyka, wciąż obecna także w polskich teatrach. Teatr Muzyczny w Toruniu olśnił mnie swoją porywającą wersją

Gra się ją w pojemnym klubie muzycznym, pośród schodów i rusztowań. Musi się to kojarzyć z koncertem rockowym. Tę konwencję wzmacnia sposób potraktowania publiczności. Większość jest wpuszczana na miejsca stojące. Aktorzy chwilami poruszają się pośród ludzi, którzy stają się częścią spektaklu. Tekst jest w całości śpiewany, nie ma dialogów poza okrzykami w tle. I tego sprawdzianu aktorzy nie oblali. Przy grzmiącym rockowym akompaniamencie rozumiało się każde słowo.

Sam wstęp do spektaklu wywołał we mnie niepokój. Miałem wrażenie, że krążący wśród publiki aktorzy zbytnio zalecali się do nas, właśnie w duchu koncertu. Ale reżyserka Agnieszka Płoszajska, której cudowna inscenizacja musicalu „Morderstwo dla dwojga" w tym samym Toruniu powaliła mnie na kolana, również tym razem nie zawiodła. Gdy ruszyło widowisko, dostaliśmy opowieść na serio, dynamiczną, buzującą emocjami.

Tradycjonaliści mogą mieć kłopot z tą narracją. Postacie są poprzebierane w stroje rockowej młodzieży (kostiumy – Wanda Kowalska), apostołowie jawią się jako hipisowska komuna z udziałem kobiet. O Jezusie mówią jako o gwieździe, lokując w nim świeckie nadzieje i ambicje. Zarazem mamy względnie wierne oddanie ewangelicznej fabuły, ale pokazywanej niejako przez pryzmat współczesnych pojęć i doświadczeń. Nie widziałem i nie słyszałem tu niczego, co by tę fabułę ośmieszało.

W tym tekście zagadką jest Jezus. Opera kończy się pytaniem, dlaczego pojawił się właśnie tam, a także czy jest Bogiem, czy nie. Każdy sam musi sobie odpowiedzieć. Chwilami niepewność czy złość wyrażane przez tę postać czynią ją kimś innym niż w ewangeliach. Ale zarazem w Ogrójcu on naprawdę rozmawia, przecież w samotności, z Ojcem. Uznać, że Rafał Szatan jest w tej roli ludzki, to powiedzieć coś dwuznacznego. Powiedzmy więc, że jest ujmujący, charyzmatyczny, przykuwający uwagę.

Drugim bohaterem libretta Tima Rice'a jest Judasz. Mieliśmy ostatnio zażarte dyskusje, kim on był. Złym człowiekiem, czy swoistą ofiarą całej sytuacji? Ale te pytania stawiano od dawna – przypomnijmy dramat endeka Karola Huberta Rostworowskiego z 1913 r. Marcin Wortmann gra człowieka zawiedzionego w ludzkich kalkulacjach, impulsywnego, a także tragicznego w swoich błędnych wyborach. To wybitna rola, wyśpiewana, więc niby pozbawiona psychologicznych subtelności. Wszystko czytamy z mowy ciała, z tonu głosu.

Jędrzej Czerwonogrodzki świetnie wyraża drapieżność Kajfasza, także mową ciała i pięknym głosem. Piłat Jana Popisa dostaje niewiele czasu, a staje się głęboko ludzki w rozterkach człowieka dominującego i naraz wytrąconego z tej dominacji. Sugestywnie, ale może zbyt kabaretowo wypada Marta Burdynowicz jako Herod. Ale tak jest w tekście, to swoisty przerywnik. Dramatyczne miotanie się Piotra (Wojciech Daniel) czy piękne, w sumie platoniczne uczucie Marii Magdaleny (Oliwia Drożdżyk) – to wszystko jest wyrażane niby jak w operze, a przecież dramatycznie niczym w teatrze.

Sceny zbiorowe tętnią na przemian uczuciowością, to znów okrucieństwem. Osobnym bohaterem jest muzyka Webbera, przygniatająco ostra, a czasem delikatna, jakby nie ze świata rockowych dźwięków.

Nawet jeśli ktoś uzna tę wariację na temat najważniejszego dla chrześcijan zdarzenia za zbyt swobodną, warto docenić, że czuje się tu przemożną wolę jego zrozumienia. Jestem wdzięczny teatrowi z Torunia za tyle wzruszenia.

Piotr Zaremba

Fot. Teatr Muzyczny w Toruniu



Epitafium dla Andrzeja Wajdy

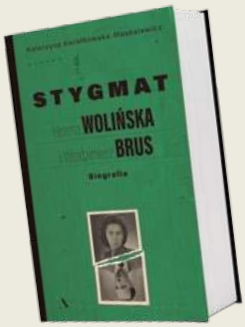
„Wszystko na sprzedaż" to swoista parafraza filmu Andrzeja Wajdy z 1969 r., a zarazem pomysł na uczczenie pamięci mistrza polskiego kina w stulecie jego urodzin. Dramaturżka Agnieszka Jakimiak i scenograf Mateusz Atman spróbowali opowiedzieć w Teatrze Telewizji, czym jest dla nas strata zmarłego przed 10 laty artysty

Wajda niby kręcił film w filmie. Znikał, a tak naprawdę ginął sławny aktor, który miał w nim wystąpić – wszyscy wiedzieli, że chodzi o Zbyszka Cybulskiego. Więc *alter ego* Wajdy grane przez Andrzeja Łapickiego próbowało innego filmu w filmie: o nieobecności artysty. Mocując się z tematem cierpienia, tęsknoty, a także z pytaniem samego siebie, czy takie zdarzenie może być materią dla sztuki, wystawione „na sprzedaż".

Jakimiak i Atman zaaranżowali spektakl o stracie pod tym samym tytułem. Ta para to asystenci sławnego reżysera (grają ich Magda Koleśnik i Bartosz Bielenia), którzy kręcą z nim jego ostatni film i dowiadują się o jego śmierci. Oni także zadają sobie pytanie, czy powinni na tym skorzystać. Przy okazji raz po raz przytrafiają im się sceny zapożyczone z tamtego filmu Wajdy.

Czego tu nie ma! Mgławicowe wędrówki po Warszawie ze sławną aktorką (w tej roli Magdalena Cielecka), zanurzenie się w całkiem polityczne manifestacje Strajku Kobiet (miały miejsce w cztery lata po śmierci Wajdy), Anda Rotenberg jako jedna z bohaterek i na koniec sędziwy Daniel Olbrychski, aktor tamtego filmu, wsiadający z Cielecką na konie. Niektóre sekwencje krzeszą jakiś nastrój. Ale dość przypadkowe dialogi nie oddają – moim zdaniem – sensu tej straty. Ani kontrowersji wokół jego postaci, ani jego realnej wielkości. Choć zderzenie tematu tej śmierci z obrazami kolejnych tablic pamięci ma jakiś sens. Wajda to ostatni artysta filmowy tak zanurzony – czasem fortunnie, czasem mniej – w polskiej historii, zwłaszcza wojennej.

Fot. TVP, materiały prasowe



WOLIŃSKA NADAL NIEOCZYSZCZONA

„Stygmat. Helena Wolińska i Włodzimierz Brus" Katarzyny Kwiatkowskiej-Moskalewicz to gruby tom zawierający wspólną biografię sławnego małżeństwa. To Agora wydała ten owoc żmudnych badań. Ale ciężko odpowiedzieć, do czego ma mnie ta książka przekonać

Kwiatkowska-Moskalewicz to kolejna po Kornelii Sobczak, autorce książki „Zośka i Rudy", badaczka przeszłości, która ogłosiła, że wie, jak jej opowieść przyjmie prawica. Ale kiedy cytuje reakcje na śmierć Heleny Wolińskiej z 2008 r., dystansuje się od takich ludzi jak historyk Jerzy Eisler czy jej dawna ofiara Władysław Bartoszewski. A ci ubolewali, że nie udało się jej osądzić. Trudno ich zaliczyć do prawicy, więc to coś więcej niż ideologia.

Prawdziwe nazwiska tej pary to Felicja (Fajga) Danielak i Beniamin Zylberberg. Młodzi Żydzi wzięli ślub w Związku Sowieckim, gdzie szukali schronienia podczas II wojny światowej. On powrócił z polską armią w 1944 r. Ona przedarła się do Generalnego Gubernatorstwa, była partyzantką Gwardii Ludowej, związała się z Franciszkiem Jóźwiakiem, po wojnie komendantem Milicji Obywatelskiej. Ta część opowieści jest nacechowana współczuciem dla młodych ludzi miotanych przez wojnę, potem fascynacją jej partyzancką drogą. Kiedy przytacza stanowisko polskiego podziemia, uznającego GL i PPR za sowiecką agenturę, dziennikarka zdaje się tego nie rozumieć.

Ich losy były paralelne. Tyle że on stał się po wojnie jedynie zdyscyplinowanym funkcjonariuszem komunistycznej propagandy, ona – prokuratorką w Naczelnej Prokuraturze Wojskowej. Podpisała nakaz aresztowania Augusta Fieldorfa „Nila". Autorka nie tai jej wyczynów: udziału w sfingowanych procesach, donosów, ba, wyzwisk, którymi obrzucała rodziny swoich ofiar.

Mimo to wciąż szuka usprawiedliwień. Przedwojenny i wojenny antysemityzm jest tu głównym kluczem. II RP jawi się jako piekło, więc walka z jej pozostałościami ma być w jakiś sposób zrozumiała, podobnie wojenne traumy. A przecież nie wszyscy Żydzi wybierali taką drogę, bywali ofiarami Wolińskiej. Straciłem resztki empatii wobec niej po przeczytaniu relacji, jak doprowadziła do skazania na śmierć robotnika rolnego, który po pijanemu podpalił stóg siana. Uznała to za sabotaż.

W 1956 r. Wolińska rozwiodła się z Jóźwiakiem i wróciła do Brusa. Potem on stał się ekonomistą reformatorem. W 1968 r. oboje padli ofiarą marcowej czystki, co wypchnęło ich za granicę.

Ona przestała mnie interesować, kiedy zabiła z premedytacją przypadkowego człowieka, stąd moje pytanie o sens pisania tej biografii. Zamiast takiej refleksji dostajemy czarny obraz kampanii zmierzającej do jej ekstradycji z Anglii po 1989 r. „Figura krwawej, stalinowskiej prokurator, Żydówki zabijającej polskich patriotów, okazała się ponadczasowa i pojemna" – oskarża autorka. Nie wykazuje, co było w niej fałszywego poza powracającą sugestią, że potraktowano ją gorzej niż oprawców nieżydowskiej narodowości.

Baraże tak, blamaż nie



Czy Oskar Pietuszewski zadebiutuje w reprezentacji Polski podczas meczu z Albanią?

Przed polskimi piłkarzami chwila prawdy, a przed kibicami momenty pełne strachu i nadziei. Wielki tydzień polskiego futbolu właśnie się rozpoczął. 26 marca 2026 r. na PGE Narodowym staniemy naprzeciw Albańczyków, aby zrobić pierwszy krok w kierunku wyszarpania biletu na mundial organizowany w Ameryce Północnej



MICHAŁ MUZYCZUK

Kiedy w lipcu ub.r. Jan Urban przejmował stery po Michale Probierzu, wielu kibiców odetchnęło z ulgą. Skończyło się bicie głową w mur i nieznośne zagęszczanie atmosfery wokół kadry. Możemy mieć uzasadnione oczekiwania, że nasza reprezentacja będzie grać nowoczesny futbol. Urban udowodnił, że potrafi zażegnać okołosportowe kryzysy i tchnąć w reprezentację nowego ducha i dobrą energię.

Nowy selekcjoner wniósł do kadry coś, czego w niej od dawna brakowało – radość z gry z orłem na piersi. Urban ufa piłkarzom, pozwala im tworzyć, ale równocześnie nie zapomina o dyscyplinie. W przededniu meczu z Albanią można zaryzykować twierdzenie, że selekcjoner nie zamierza murować bramki. Urban chce grać piłką, co dla polskiego kibica, przyzwyczajonego do „lagi na Roberta", jest czymś zupełnie nowym.

KTO ZDECYDUJE

Zacznijmy od postaci pomnikowej. Nasz kapitan, Robert Lewandowski, ma dziś 37 lat. W Barcelonie nie gra już od deski do deski. Ostatnio Hansi Flick mocno go oszczędza, wpuszczając na ostatnie pół godziny, by „Lewy" swoim instynktem kata dokończył dzieła. 11 goli w tym sezonie La Liga to wynik, który wciąż budzi szacunek, choć pesymiści szepczą, że lepiej już było. Owszem, w tym sezonie zdarzają się mecze, w których napastnik razi nieskutecznością. Jednak dla nas Robert to nadal najważniejsza postać – może i nieco zmęczony trudami kampanii, ale wciąż potrafiący jednym cięciem szabli rozstrzygnąć losy bitwy. W barażach jego doświadczenie będzie bezcenne. Jeśli Jan Urban zdecyduje się na grę dwójką napastników, może liczyć na Arkadiusza Piątka, który ostatnio seryjnie zdobywa bramki w katarskim Al Duhail, i Karola Świderskiego, który z kolei szuka wysokiej niegdyś formy.

W środku pola mamy Piotra Zielińskiego, który jest naszym odwiecznym dylematem narodowym. Piłkarz o wirtuozer-

Fot. Miguel Riopa/AFP/East News

eprasa.pl 9e5fa2ed64

skich umiejętnościach Chopina czasem gra tak, jakby fortepian był dla niego za ciężki. W Interze Mediolan po ciężkich bojach wywalczył sobie mocną pozycję w drużynie, chociaż nie można ukrywać, że pozostaje jednym z pierwszych do rotacji. Nie jest już tylko „artystą od wielkiego dzwonu", ale trybem w maszynie, który rzadko zawodzi. Urban zbudował drugą linię wokół niego, co oczywiście ma sens, bo nikt inny nie posiada ani takiego talentu, ani takich umiejętności jak pomocnik Interu. Ale w środku pola możemy liczyć również na solidnie radzącego sobie w tureckiej lidze Kacpra Kozłowskiego, w grze o miejsce w składzie są również zapewne Jakub Piotrowski z Udinese oraz Bartosz Slisz z Brøndby IF.

Mocnym punktem drużyny wydaje się dzisiaj Nicola Zalewski. Po przenosinach do Atalanty Bergamo skrzydłowy stał się piłkarzem kompletnym. Jego rajdy lewą stroną sieją popłoch w szeregach wroga, jednak 26 marca nie będzie to miało żadnego znaczenia. Tym bardziej dotkliwa okaże się jego nieobecność. Z powodu nadmiaru żółtych kartek musi oglądać mecz z trybun, więc Urban potrzebuje kogoś, kto nie będzie bał się wziąć ciężaru gry na swoje barki.

Wiele dobrego może zrobić Przemysław Frankowski ze Stade Rennais. We francuskim zespole grywa z Sebastianem Szymańskim, choć obaj miewali w swoich karierach lepsze sezony. W starciu z Albańczykami muszą sobie przypomnieć, jak skuteczni byli jeszcze niedawno, biegając po tureckich boiskach.

Liderem reprezentacji w jesiennych meczach był Jakub Kamiński, więc tym razem liczymy również na niego. To najlepszy dowód na to, że zmiana pokoleniowa wcale nie musi być bolesna, a liderzy nie tylko pod względem sportowym, lecz także mentalnym, są gotowi. Czekają, aby wejść w buty Lewandowskiego, kiedy przyjdzie mu je zawiesić na kołku.

Polska tradycja nakazuje, by przed każdą ważną bitwą pojawił się poważny problem. Tym razem nieoczekiwanie padło na obsadę bramki. Kontuzja więzadeł krzyżowych Marcina Bułki to dla nas cios prosto w serce. Golkiper bronił w Nicei jak natchniony, miał być naturalnym zastępcą również kontuzjowanego Łukasza Skorupskiego. Tymczasem czeka go długa rehabilitacja. Między słupkami stanie zapewne Kamil Grabara, który jest pewnym punktem VFL Wolfsburg. W odwodzie pozostaje również Bartłomiej Drągowski, który zimą zamienił Panathinaikos i upalne Ateny na Widzew i chłodną Łódź.

W obronie nie możemy narzekać – przede wszystkim ze względu na parę stoperów, którzy decydują o sile FC Porto, lidera ligi portugalskiej. Jan Bednarek i Jakub Kiwior tworzą w tym sezonie monolit, dzięki któremu Smoki mogą się cieszyć najniższą liczbą straconych goli w lidze i nie zatrzymują się w drodze po mistrzowski tytuł. Duet stoperów grający na co dzień razem w jednym klubie z europejskiego topu to wielki kapitał, bo taka sytuacja zdarza się niezwykle rzadko. Zgranie pary środkowych obrońców jest wartością nie do przecenienia. Ostatni podobny przypadek miał miejsce na początku XX w., kiedy o sile kadry i jednocześnie klubu na europejskim poziomie, jakim było wtedy Schalke 04, stanowili Tomasz Hajto i Tomasz Wałdoch. Oczywiście nasza defensywa nie jest całkowicie szczelna – nadal nie wiadomo, czy uraz Matty'ego Casha jest na tyle poważny, że Urban będzie musiał szukać zastępstwa na flance. Brak zawodnika reprezentującego na co dzień czołowy klub angielskiej ekstraklasy, jakim stała się Aston Villa, będzie poważnym osłabieniem.

A MOŻE PIETUSZEWSKI?

Bednarek i Kiwior to niejedyni Polacy, którzy robią furorę w ojczyźnie muzyki fado. Do składu FC Porto przebojem wdarł się 17-letni Oskar Pietuszewski, którego portugalski klub pozyskał od Jagiellonii Białystok. Chłopak z Porto przyjeżdża na zgrupowanie w aurze objawienia. Kiedy dwa lata temu opuszczał naszą Ekstraklasę, wielu kawiarnianych mędrców kręciło nosem. „Za wcześnie", „Przepadnie", „Kolejny talent, który zwiędnie na ławce w wielkim świecie" – słychać było utyskiwania. Tymczasem w Portugalii, kraju odkrywców i żeglarzy, Oskar nie utonął. Wręcz przeciwnie, nauczył się nawigować po najtrudniejszych wodach. Pod okiem tamtejszych mistrzów taktyki polski chłopak zyskał coś, czego naszym piłkarzom brakowało przez dekady: bezczelność.

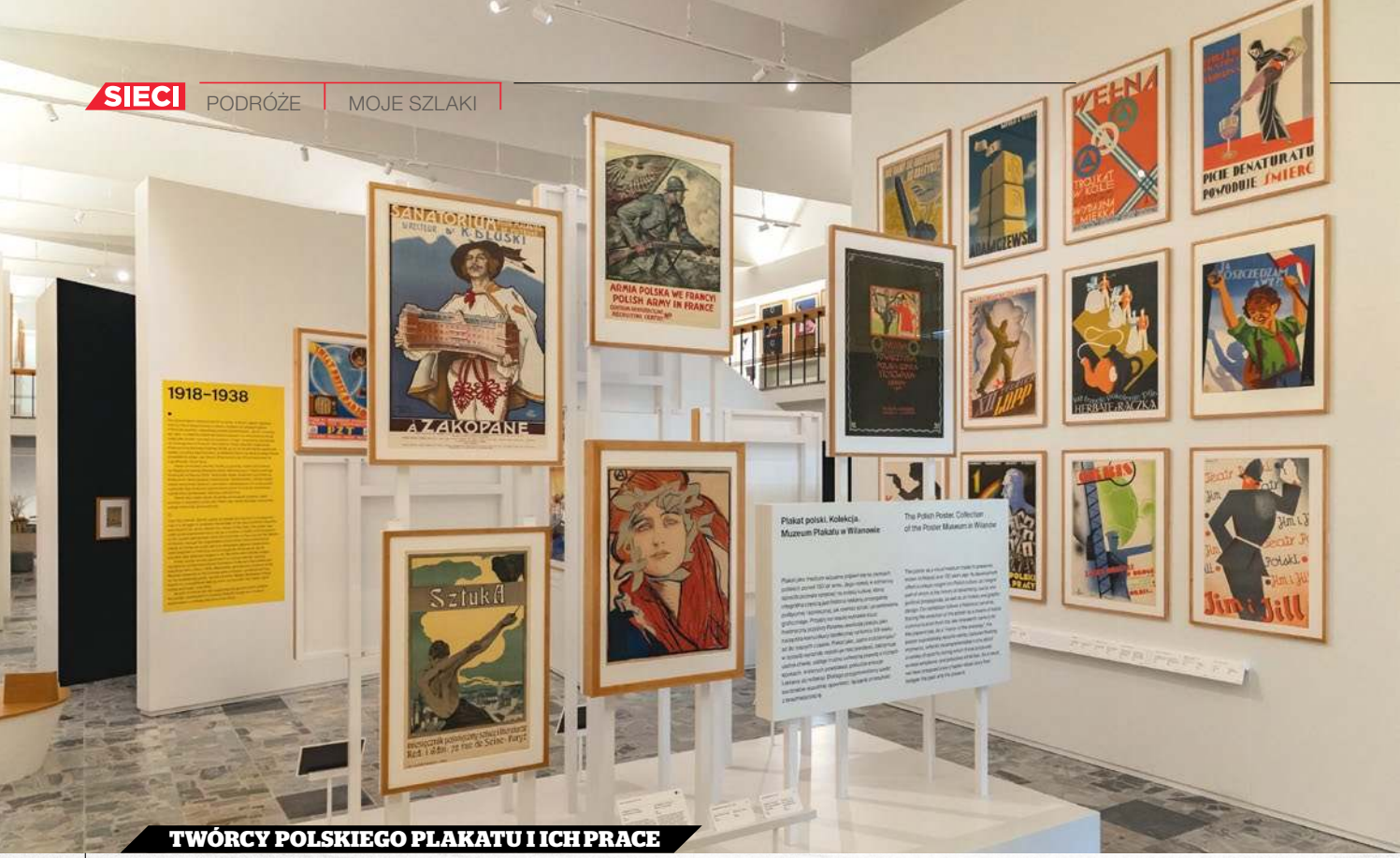
Urban już przestał ukrywać, że wiąże z Pietuszewskim wielkie nadzieje. Wie, że aby przebić się przez albański mur, nie potrzeba nam kolejnego rzemieślnika. Potrzeba kogoś, kto ten mur przeskoczy. Czy selekcjoner zdecyduje się postawić na młodego skrzydłowego, czy stwierdzi, że na swoją szansę będzie musiał jeszcze poczekać. Chyba nie ma na co, bo przecież ostatnio Pietuszewski notorycznie sprawia, że obrońcy rywala żegnają się z czystym kontem. Oczywiście pojawia się pytanie, czy 20-latek poradzi sobie z presją Stadionu Narodowego. Czy nie zadrżą mu nogi, gdy 50 tys. gardeł ryknie: „Polska!"? A może wybór Urbana nas zaskoczy i padnie na regularnie grającego w belgijskim Gent Michała Skórasia? W momencie pisania tego artykułu jeszcze nie wiadomo.

PO PIERWSZE, ALBANIA

Albania pod wodzą Sylvinho gra futbol wyrachowany i fizyczny, więc kibice nie powinni liczyć na piękne i finezyjne starcie. Rywal jest niewygodny, twardy jak skały w okolicach Tirany. Ale nie zapominajmy, że mamy Jana Urbana – człowieka, który wie, jak pięknie wygrywać. Zapewne zagramy w ustawieniu 4-2-3-1 płynnie przechodzącym w 4-3-3 i będziemy starali się kontrolować spotkanie. Albania to już nie są „kelnerzy", dostarczyciele punktów. To zorganizowana armia z Kraju Orłów, która w eliminacjach potrafiła utrzeć nosa możnym tego świata. Albańczycy od lat tworzą solidną europejską drużynę z kategorii średniaków, a mistrzostwa świata to dla nich nieznany ląd. Możemy być pewni, że mundialowy debiut będzie dla nich wystarczającą motywacją, żeby w Warszawie dać z siebie wszystko. A to przecież zaledwie pierwszy krok na drodze do awansu – jeśli Polacy wygrają, już pięć dni później zmierzą się ze zwycięzcą meczu Ukraina–Szwecja. Dopiero drugie zwycięstwo da nam upragniony awans. Czy będzie łatwo? Zdecydowanie nie. Czy awans leży w naszym zasięgu? Absolutnie tak.

Czy Polacy pojadą na mundial? Serce podpowiada, że tak. Rozum każe być ostrożnym, ale patriotyzm nie pozwala na pesymizm. Urban, ze swoim spokojem i wiedzą, wydaje się idealnym sternikiem na wzburzonych wodach i człowiekiem, który może nas przeprowadzić przez baraże suchą nogą. On wie, że w piłce tak jak w życiu liczą się charakter i serce oddane sprawie. 26 marca wieczorem, gdy wybrzmi ostatni gwizdek, obyśmy na PGE Narodowym nie słyszeli płaczu, lecz radosne słowa „Mazurka Dąbrowskiego", gromko odśpiewanego przez tysiące gardeł.

eprasa.pl 9e5fa2ed64



TWÓRCY POLSKIEGO PLAKATU I ICH PRACE

Plakaty wracają do Wilanowa

Dziś niecodzienni bohaterowie „Szlaków", bo też wydarzenie jest wyjątkowe. Po pięciu latach przerwy (zamknięcie dla zwiedzających nastąpiło jesienią 2019 r.) – w tym czasie trwały gruntowne prace modernizacyjne (oraz pierwszy remont od lat 90.) – Muzeum Plakatu w Wilanowie znów zostało udostępnione. Zaprasza na wystawę pt. „Plakat polski. Kolekcja".

Wejście na ekspozycję wskazują dwa rzeźbione konie, idące stępa w dystyngowanej pozie. To nie dziwi, bo Muzeum Plakatu (istniejące od 1968 r.) mieści się tuż obok Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie, na terenie zespołu pałacowo-ogrodowego. Powstało w miejscu dawnej ujeżdżalni pałacowej, dzieła architekta Franciszka Marii Lanciego (1848), po której pamiątką jest elewacja frontowa. Później zostało rozbudowane o Nową Galerię.

240 prac zaprezentowanych na najnowszej wystawie opowiada historię ostatnich 130 lat codziennego życia polskich miast. Przywołuje obraz z ulic m.in. Krakowa, Lwowa czy Warszawy, gdzie przypomniane dziś plakaty (reklamowe, propagandowe i społeczne) były świadectwem, zapowiedzią i komentarzem do wydarzeń swoich czasów.

„Plakat posługuje się językiem, który bezlitośnie i w punkt opisuje rzeczywistość, dokumentuje i współtworzy popkulturę, zawiera wiele cennych, często zakodowanych informacji" – podkreślają komisarze wystawy. „Plakaty pozwalają badać i odkrywać historię polskiej sztuki, kultury, społeczeństwa, polityki. W wielu z nich można odkryć uniwersalne spostrzeżenia, które pozostają aktualne i dziś" – dodają.

Ekspozycja została podzielona na sześć części: „Nowe medium" (przed 1918 r.), „Własne państwo" (1918–1939), „Wojna i pokój" (1939–1948), „Propaganda i autonomia" (1949–1964), „Sztuka plakatu" (1965–1989) i „Plakat na wolności" (po 1989 r.).

Wśród licznych autorów są m.in. Stefan Norblin, Zofia Stryjeńska, Henryk Tomaszewski, Wojciech Fangor, Jan Lenica, Roman Cieślewicz, Olga Siemaszko, Waldemar Świerzy, Franciszek Starowieyski, Jan Młodożeniec, Wiktor Górka, Wojciech Zamecznik, Andrzej Klimowski, Lex Drewiński, Mieczysław Wasilewski, Maja Wolna, Paweł Jońca czy Ola Jasionowska.

Wystawa pozwala też obserwować przemiany projektowania graficznego: od początkowych wpływów malarstwa i grafiki do autonomicznego, współczesnego języka plakatu. Po modernizacji można było zaprezentować także najstarsze druki z kolekcji, stąd obecność m.in. plakatu „Wnętrze" Stanisława Wyspiańskiego z 1899 r. czy wzywającego do udziału w powstaniu warszawskim plakatu Stanisława Miedzy-Tomaszewskiego pt. „W walce – odwet za krew tysięcy Polaków" z 1944 r.

Wystawie będą towarzyszyć dodatkowe wydarzenia. Raz w miesiącu zaplanowano oprowadzania kuratorskie.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Bartosz Bajerski/Muzeum Narodowe w Warszawie

eprasa.pl 9e5fa2ed64



SŁODKO-SŁONY

Smak kiszonej kapusty

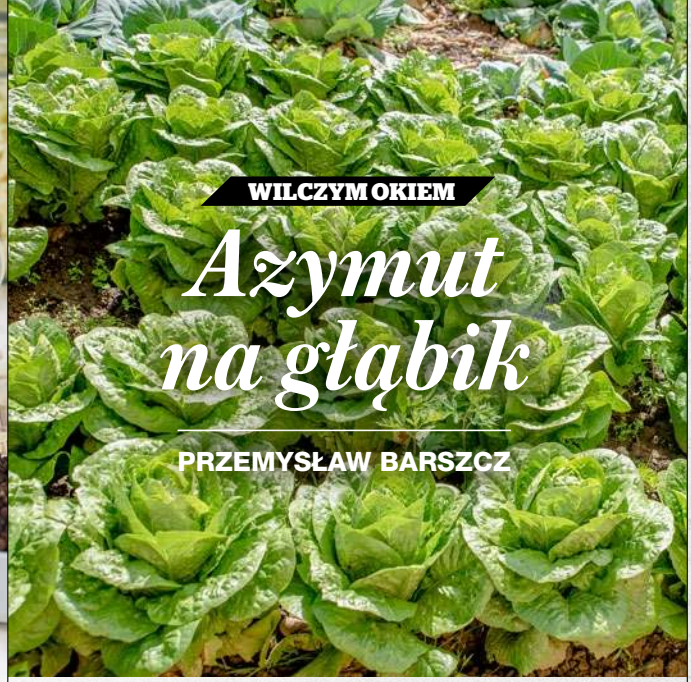
ANNA MONICKA

Mam takie flashbacki z dzieciństwa – wiosną jestem z mamą na bazarze i kupujemy do przyniesionego z domu wiaderka kilka kilogramów kiszonej kapusty, którą rolnik przywiózł w drewnianej beczce. Do słoja bierzemy też sok – uwielbiam go do dziś i bardzo się cieszę, że smakuje też mojej córce. Większość jej kolegów nigdy go nawet nie próbowało, podobnie jak ogórkowego kwasu, który u nas zawsze stoi w lodówce. Gotujemy potem wielki gar zupy na wędzonym żeberku. Mama robi też placki ziemniaczane z kapustą, a ja moją ulubioną surówkę z miodem, która najlepiej mi smakuje z samymi ziemniakami. Tamta kapusta, naturalnie fermentowana, ma niewiele wspólnego z tą, która dziś jest w większości sklepów. Nie ten kolor, smak i chrupkość. Dlatego od czasu do czasu, gdy organizm szczególnie dopomina się probiotyków i witamin, sama kiszę kapustę. Mam wtedy pewność, że nikt nie podpędzał jej octem, pozbawiając przy okazji wartości odżywczych.

Kupuję ładną, zwięzłą główkę białej kapusty – mniej więcej dwukilogramową – i szatkuję ją na mandolinie w cieniutkie paski. Na tarce jarzynowej ścieram dwie lub trzy marchewki i mieszam warzywa w misce. Na początku wydaje się, że jest ich dużo, ale potem siądą. Solę – łyżkę na kilogram kapusty – i dobrze wygniatam, żeby puściła sok. To bardzo ważny etap i nie ma co go skracać – powinien trwać minimum 10 minut, ale lepiej 12–15. Teraz można dodać kminek albo miód – łyżkę na kilogram.

Następnie wpycham kapustę do wyparzonych słoików – tłuczkiem do ziemniaków, żeby usunąć powietrze. Na wierzchu powinien być sok. Zakręcone słoiki odstawiam do garażu, gdzie mam przygotowane miejsce dla moich kiszonek, czyli tekturowe pudełko wyłożone gazetami, bo w czasie fermentacji sok zacznie się ulewać. Codziennie sprawdzam kapustę i ubijam. Po kilku dniach jest gotowa. W chłodniejszym miejscu fermentuje wolniej, w cieplejszym szybciej. Ja lubię nie za mocno ukiszoną. Wcale nie jest słodka, bo bakterie zjadają cały miód, więc jeśli chce się zrobić surówkę, trzeba ją doprawić do smaku kolejną porcją miodu.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Azymut na głąbik

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Sałata (*Lactuca*) należy do grupy rodzajów botanicznych zawierających wiele intrygujących gatunków odznaczających się wyjątkowymi cechami, ciekawą biologią i znajdujących wielorakie zastosowanie.

Ponad 100 gatunków sałaty rośnie na półkuli północnej. Najbardziej znaną z nich jest sałata siewna (*Lactuca sativa*). Tak jak w przypadku wielu roślin uprawnianych od dawnych czasów, jej oryginalne pochodzenie pozostaje tajemnicą, choć można przypuszczać, że jej ojczyzną jest basen Morza Śródziemnego. To właśnie tę sałatę spożywamy, najczęściej w odmianie głowiastej.

Z kolei sałatę łodygową, nazywaną też pędową lub szparagową, uznaje się za odmianę albo podgatunek sałaty siewnej. Niekiedy pod nazwą głąbik krakowski (*Lactuca cracoviensis*) jest wyróżniana jako odrębny gatunek. Jej historia jest niezmiernie ciekawa. W pierwszych wiekach naszej ery sałata dotarła do Chin i to właśnie tam wyhodowano odmianę łodygową. Stamtąd wróciła do Europy – nie wiadomo jednak kiedy, poza tym nie wiemy też, czy dotyczy to także sałaty łodygowej, nazywanej – jak wspomniano – głąbikiem krakowskim. Jeżeli głąbiki są odrębnym gatunkiem – a sałata wciąż skrywa przed nami tę tajemnicę – wówczas nie mogłyby pochodzić od sałaty chińskiej albo pochodziłyby od jeszcze innego gatunku.

W każdym razie ta unikalna dziś roślina była przez wieki (z przypomnieniem o białych plamach w historii sałaty) uprawiana w okolicach Krakowa. Spożywano głównie łodygi surowe, kiszone czy gotowane. W drugiej połowie ubiegłego stulecia stała się rzadka i niemal zupełnie przestała być uprawiana.

Kolejnym wartym wspomnienia gatunkiem sałaty jest sałata kompasowa (*Lactuca serriola*). Można się natknąć na informacje, że pierwsza z wymienionych sałat – siewna – dawno temu została wyhodowana z sałaty kompasowej, co jeszcze bardziej zaciemnia historię tego rodzaju.

W każdym razie sałata kompasowa nie jest jadalna ze względu na gorzki sok, powodujący różne dolegliwości. Podobno można spożywać młode liście, ale nie ryzykowałbym, bo ogólnie jest rośliną trującą. Ma jednak inną cechę. Jak wskazuje jej nazwa, należy do roślin kompasowych – chroni się bowiem przed zbyt silnym nasłonecznieniem, układając swoje liście pionowo i na osi północ–południe.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

3 MIŁOŚCI

Gabrynia i Remiś



ROBERT TEKIELI

„Der Spiegel": prokuratura w Mediolanie prowadzi śledztwo w sprawie „turystów snajperów", którzy podczas wojny w Bośni w latach 1992–1995 strzelali do cywilów. 230 Włochów, Francuzów, Belgów, Szwajcarów i Austriaków miało zapłacić wysokie sumy, by móc bezkarnie polować na ludzi.

Kilkanaście lat temu BBC opublikowała reportaż o krwawej turystyce magicznej do krajów Czarnej Afryki. 30-, 40-letni menedżerowie z USA i krajów Starej Europy płacili duże pieniądze za weekendowy wypad do Gabonu, Nigerii czy Kamerunu, podczas którego miejscowy szaman składał ofiarę z dziecka ulicy w intencji rozwoju kariery turysty mordercy.

Autor książki „Okultyzm" dr Maciej Stępień opisywał niedawno na antenie radia Niepokalana.FM ewolucję satanicznego narkobiznesu w Meksyku, Kolumbii i Ekwadorze. Bossowie karteli przestali korzystać z usług kapłanów miejscowych synkretycznych kultów śmierci. Dziś narkosataniści sami składają rytualnie ofiary, aby zapewnić sobie ochronę przed policją i rywalami. Najczęściej mordowani są dorośli mężczyźni.

Władze federalne USA od kilku miesięcy informują o epidemii brutalnego ekstremizmu nihilistycznego NVE (Nihilistic Violence Extremism). Tym mianem określane są osoby dopuszczające się przemocy bez powiązania z jakąkolwiek jasno określoną ideologią polityczną. Reprezentują one uogólnioną wrogość wobec instytucji społecznych i chcą wyrządzić krzywdę lub siać chaos.

Dyrektor FBI Kash Patel powiedział kilka tygodni temu w senackiej Komisji Sądownictwa, że biuro odnotowało gwałtowny wzrost liczby takich przypadków. „Znaczna część śledztw dotyczących terroryzmu krajowego dotyczy nihilistycznego, brutalnego ekstremizmu – osób, które dopuszczają się aktów przemocy motywowanych głęboką nienawiścią do społeczeństwa, niezależnie od tego, jakie jest ich uzasadnienie".

Czym różni się nihilizm od kultu zła? Jakie ma znaczenie dla ofiar, czy mają do czynienia z kultyczną czy zsekularyzowaną formą wynaturzonej przemocy? Szatan nie potrzebuje, by w niego wierzyć. Wystarczy dopuszczać się jego czynów.

Nowożytność to era dzikich duchowości. Karykatur religii. Również w tej sferze człowiek stał się miarą rzeczy. Z katastrofalnym skutkiem.

Rozpoczynało się od intelektualnych marginesów. Dziś dzikie duchowości,

Nowożytność to era dzikich duchowości. Karykatur religii. Również w tej sferze człowiek stał się miarą rzeczy. Z katastrofalnym skutkiem

w tym współczesny ateistyczny satanizm, są osoczem krwiobiegu kultury i popkultury.

Bunt Lutra, poszukiwania ojca współczesnej medycyny Paracelsusa wynikające z ciekawości świata, a także dotykające demonicznych praktyk, astrologia, korzystająca z ksiąg uczona magia, hermetyzm renesansowy, kabała chrześcijańska to początek tradycji wiedzy tajemnej, z wieku na wiek konsekwentnie odrzucanej przez ośrodki akademickie i autorytety religijne.

Kolejny istotny etap nowożytnej, heretyckiej ścieżki duchowej, nurtu humanistyki sprzecznego z nauką i wiarą, bierze początek od żyjącego w latach 1688–1772 Emanuela Swedenborga, szwedzkiego naukowca, filozofa, mistyka i interpretatora Pisma Świętego.

Swedenborg wprowadził do europejskiej myśli przekonanie, że demoniczne wizje i prywatne jawienia mają przynajmniej równą wagę co autorytet Objawienia Starego i Nowego Testamentu.

Kontakty z duchami uspołecznił XIX-wieczny spirytyzm. Miał on być przywoływaniem „duchów" (w rzeczywistości w trakcie seansów przychodzą nie dusze czy duchy, a demony). Całe pokolenia ludzi Zachodu doświadczały demonicznych inicjacji na drodze spirytystycznej.

Okultyzm, który powstał w połowie XIX w. niejako w opozycji do spirytyzmu, nie sprowadzał się już jedynie do biernego w pewnym sensie kontaktu z bezcielesnymi inteligencjami. Okultyści chcieli więcej, niż mógł dać spirytyzm. Chcieli nie tylko poznawania „zaświatów" dzięki relacjom „duchów" – oprócz wiedzy pragnęli władzy. Okultyzm karmił się wieloma ideami – „światła astralnego", „eteru", kosmicznego fluidu, „aeth-u", siły „Od", mocy „Vril" i innych – domniemaniem istnienia niewidzialnego czynnika przenikającego świat. Okultysta miał nad nim panować i dzięki temu dokonywać czynów nadprzyrodzonych.

Teoretycy nurtu, tacy jak Éliphas Lévi Zahed (właśc. Alphonse Louis Constant), francuski autor ksiąg o te-

eprasa.pl 9e5fa2ed64

matyce magicznej, mason, wystrzegali się demonicznych eksperymentów, czyli rytuałów. Praktycy, jak Paschal Beverly Randolph, afroamerykański lekarz, okultysta, spirytysta i medium transowe, twórca alchemii erotycznej, posługiwali się rytuałami. Randolph wiedział, że jest opętany.

Gdy w latach 20. XX w. środowiska okultystyczne ostatecznie się skompromitowały z powodu skandali nie tylko obyczajowych, pałeczkę „nadprzyrodzoności poza Kościołem" przejęła parapsychologia. Przyczyn telepatii, „jasnowidzenia" czy telekinezy szukano w rzekomych zdolnościach umysłu. Psychologizowanie demonicznych zjawisk duchowych okazało się ścieżką donikąd. Julian Ochorowicz, ks. Klimuszko i inni – o ile nie byli oszustami – doświadczali manifestacji demonicznych, a ich przyczyn nie szukano już w kosmicznych „energiach" czy w świetle astralnym, lecz „znajdowano" w psychice nad-człowieka.

Gdy zaś po kilku dekadach również parapsychologia się skompromitowała, kolejne pokolenie ludzi szukających nadprzyrodzonej władzy znalazło inne pole realizacji swoich pełnych pychy potrzeb. Nastąpił czas religijności New Age. Czyli synkretycznego ruchu duchowego zakładającego, że zbiorowym wysiłkiem uda się spowodować nadejście „Ery Wodnika", co oznacza zakończenie „Ery Ryb", czyli ery chrześcijaństwa.

Newage'owy monizm (wszystko jest jednością) i panteizm (Bóg jest we wszystkim) były tylko formą zbiorowego zwiedzenia. Podobnie bezpłodne są: zgodny z duchem rewolucji 1968 r. indywidualizm, odrzucenie zorganizowanych religii na rzecz osobistych doświadczeń, wiara w reinkarnację, energię, rozwój świadomości, holistyczne podejście do duchowości. Upadła dziś wiara w to, że człowiek jest boski i posiada nieograniczony potencjał, a „Bóg" to bezosobowa siła kosmiczna. Równie nieprawdziwy okazał się też kolejny „dogmat" duchowości Nowej Ery – przekonanie o ewolucji świadomości: mimo zbiorowej medytacji dziesiątków tysięcy ludzi ludzkość nie przeszła na wyższy poziom duchowy. A ogłaszano to jako pewnik.

Ruch Nowej Ery w pierwotnej formie uległ załamaniu na początku lat 80., gdy okazało się, że zbiorowy wysiłek ludzi „przebudzonych duchowo" jest bezowocny. Oni na serio byli przekonani, że do pokoju na świecie doprowadzą tysiące osób wspólnie medytujących, mantrujących, ślących dobre myśli i jasne wibracje. Nie doprowadziły. Nie udało się też tysiącom medytujących zebranych w kręgu wokół Pentagonu podnieść tego budynku za pomocą myśli i siły woli.

Kompromitacja ruchu jako całości nie sprawiła jednak, by jego uczestnicy zaprzestali praktyk. A wiele z nich jest otwieraniem się na demony. Praca z „energią" (reiki, tai chi, bioenergoterapia), astrologia, channeling (kontakt z duchami), także niektóre formy medycyny niekonwencjonalnej oraz quasipsychologii. Intelektualnie zwodniczy okazał się również synkretyzm duchowości New Age: łączenie elementów wschodnich religii (karma, joga, reinkarnacja) z zachodnim okultyzmem, psychologią humanistyczną i ezoteryką.

I tak w ciągu 200 lat historia zatoczyła koło. Dzisiejszy okultyzm postsekularny po newage'owy, magia chaosu, herezje energetyczne, przeszczepione na Zachód zdesakralizowane praktyki religijne Czarnej Afryki, Indii, Japonii, Polinezji – to praktyki inicjacyjnego otwarcia się na rzeczywistość demoniczną.

Dzisiejsi magowie chaosu otwierają się na dziki świat duchowy. Robią to również niczego nieświadome kobiety w polskich domach kultury czy remizach, do których zawitało manifestowanie pragnień, pozytywne myślenie, zwesternizowana, zdesakralizowana joga. Ci, którzy dziś mówią o energii, wibracjach, polu morfogenetycznym, pamięci wody, o energii qi, chi, Księgach Akaszy, powielają kolejne wariacje na temat światła astralnego, siły „Od", „Vril" czy kosmicznego fluidu.

Dziś ludzie otwierają się na demoniczny świat duchowy stojący za bioenergoterapeutami, ludźmi wróżącymi z kart tarota, jasnowidzami czy osobami czyniącymi pokłon przed Kosmicznym Światłem. Szatan nie potrzebuje, by



Fot. Lyndon B. Johnson Library

w niego wierzyć. Wystarczy dopuszczać się jego czynów.

Nihilizm, niewiadome otwieranie się na świat demoniczny i kult zła. Syndykat śmierci w różnych odmianach. Współpraca tego, co niewidzialne, z tym, co widzialne.

Dla Syndykatu równie użyteczni są wyznawcy zła świadomi i nieświadomi. Ci ostatni są chętni do współpracy z szatanem nawet bez inicjacyjnego, rytualnego otwarcia się na toksyczny świat duchowy.

Jest gdzieś bowiem miara zła, której przekroczenie stanowi akt bezpośredniej współpracy z demonem. Turysta snajper strzelający do ludzi, nihilistyczny morderca siejący chaos, zabijający przypadkowe osoby. Te akty są wyznaniem panowania szatana nad życiem człowieka, choćby niewierzącego w jego istnienie.

Ale trzeba pamiętać, że Bóg ma władzę nad tym wszystkim. Co prawda oszalał z miłości do człowieka i dał mu wolną wolę – stąd biorą się wszystkie wyżej opisane rzeczy. Jest jednak inny świat. I tego świata zazwyczaj doświadcza absolutna większość ludzi. Np. miłość dziadowska. To dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Dopiero od 20 miesięcy mam wnuka.

Gabrynia i Remiś. Tak zdrabniają imiona swych wnucząt znajome mi osoby. Nie będę szukał wyrazistszej manifestacji miłości. Zło dzieli, a łączy ludzi miłość Jezusa Chrystusa.

eprasa.pl 9e5fa2ed64

OGNIEM NA WPROST

Kto mieczem wojuje...



Andrzej Rafał Potocki

Rządząca w Polsce koalicja 13 grudnia słynie ostatnio ze straszenia wojną z Federacją Moskiewską. Dlatego cytowanie wypowiedzi polityków KO czy Nowej Lewicy mija się z celem, ponieważ nie wiadomo, co jest prawdą, a co propagandą mającą tworzyć atmosferę zagrożenia. Ale jeśli mówi to przedstawiciel ośrodka prezydenckiego i szef BBN, warto się nad tym pochylić. Sławomir Cenckiewicz – bo o niego chodzi – stwierdził w rozmowie z Jackiem Prusinowskim w Kanale Zero, że „ze wszystkich źródeł, również otwartych, wynika, że Rosja przygotowuje się do konfrontacji z Zachodem". „We wszystkich swoich medialnych planach operacyjnych czy tym, co jest komunikowane przy okazji kolejnych »Zapadów«, czyli wielkich, ofensywnych ćwiczeń przeciwko Zachodowi, w tym Polsce, to wszystko jest zaszyte albo można nawet powiedzieć – ujawnione" – dodał. Wcześniej Cenckiewiczowi wtórował były sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen, który oświadczył, że „Rosja może zaatakować jeden z krajów Sojuszu Północnoatlantyckiego nawet przed końcem tej dekady. Atak mógłby nastąpić bardzo szybko, Europa nie jest przygotowana i nie mamy żadnej gwarancji pomocy ze strony USA. Dlatego zgadzam się z prezydentem Macronem, kiedy mówi, że znajdujemy się w stanie zagrożenia bezpieczeństwa". Wygląda na to, że żarty powoli się kończą i analiza sytuacji na froncie ukraińsko-moskiewskim staje się coraz bardziej aktualnym tematem. Kto tak nie uważa, temu Bóg po prostu poskąpił wyobraźni.

Co do ewentualnego terminu ataku na kraje NATO, w tym nasz, armia Kremla jest dziś bardzo mocno poturbowana – tak twierdzi generał sił powietrznych w stanie spoczynku Philip Breedlove, były najwyższy dowódca sił USA i NATO w Europie. „Zanim Rosja mogłaby realnie zmierzyć się z NATO, musiałaby przejść proces odbudowy. Musiałaby odtworzyć sprzęt, uzupełnić straty, przeszkolić nowych żołnierzy, rozbudować jednostki i przywrócić sprawność struktur, które zostały w tej wojnie poważnie zniszczone. Słyszałem prognozy mówiące o dwóch latach, ale nie sądzę, by Rosja mogła się odbudować w dwa lata. Słyszałem też pięć lat, a nawet siedem lat. Moim zdaniem prawda leży gdzieś pośrodku" – podsumowuje gen. Breedlove. W dużym skrócie – tak długo, jak Ukraina trzyma front, jesteśmy bezpieczni i warto o tym pamiętać. Zdanie to kierujemy do zwolenników partii Grzegorza Brauna, który zbija kapitał polityczny na opowiadaniu Polakom bredni o rzeczywistości.

W historii Kremla niewielu władców zmarło śmiercią naturalną. Albo spiskowcy poderżnęli im gardło, albo udusili poduszką (Paweł I). Jedną z najbardziej spektakularnych egzekucji moskiewska swołocz dokonała na Dymitrze Samozwańcu, którego na tron wyniosło wsparcie polskich magnatów. Po roku jego rządów bojarzy wznieciли powstanie. W maju 1606 r. troglodyci zamieszkujący Moskwę i okolicę wpadli na Kreml, dopadli władcę, pokroili go na kawałki, a to, co zostało, wepchnęli do lufy armatniej i wystrzelili w kierunku Rzeczypospolitej. Dlatego pomny historii Władimir Putin na posiedzeniu Zarządu Federalnej Służby Bezpieczeństwa 24 lutego 2026 r. osobiście zlecił „wzmocnienie ochrony wysoko postawionych urzędników Ministerstwa Obrony i przemysłu obronnego, urzędników państwowych, a także liderów opinii, dziennikarzy i wolontariuszy". Nakazał również podjęcie „poważnych, dodatkowych środków w celu ochrony granicy państwowej". Teoretycznie ma to zapobiegać ewentualnym zamachom terrorystycznym na terenie Federacji. Kremlowskie władze, wyspecjalizowane w siłowym eliminowaniu swoich przeciwników i morderstwach na zlecenie, zaczęły się nagle obawiać o swoje bezpieczeństwo. Tak to jest na tym świecie, że kto mieczem wojuje, często od miecza ginie.

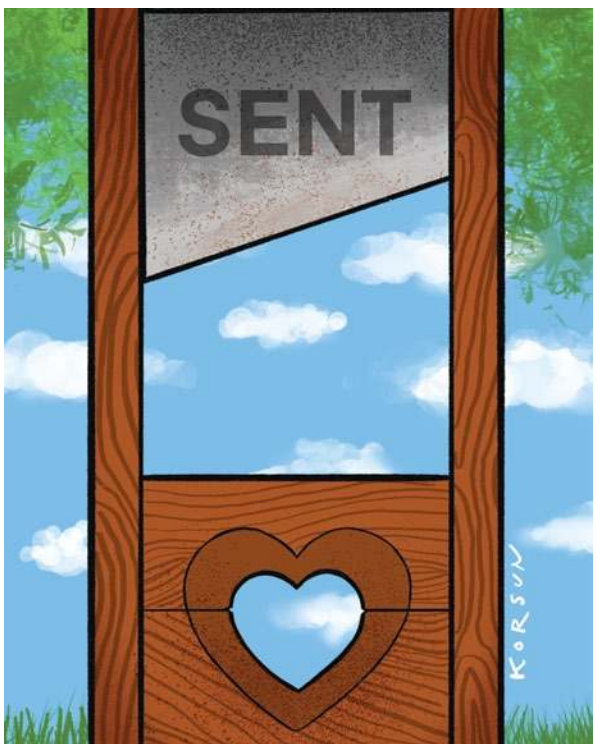
Krótko o sytuacji na froncie. Najciekawszym odcinkiem jest Zaporoże. Siły ukraińskie prowadzą kontrataki na północny zachód od Hulajpola. Ukraińskie kontrnatarcia w obwodzie dniepropietrowskim prawdopodobnie zmuszą siły Kremla do wyboru między obroną przed ukraińskimi kontratakami a skierowaniem sił i sprzętu do działań ofensywnych w innych częściach linii frontu, co może pokrzyżować plany ruskiej ofensywy wiosenno-letniej 2026 r. Choć jeszcze daleko do wyciągania ostatecznych wniosków, to zamiast ataku Kacapów na Zaprożu mamy poważną kontrę Tryzubów.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9e5fa2ed64

***Michał Korsun prezentuje:* Drakońskie kary systemu SENT dla przedsiębiorców**



Wycinki z przeszłości

Hipnoza to niebezpieczna rzecz. W 1924 r. „Goniec Częstochowski" opisywał pokaz Maksymiliana Langnera, który zahipnotyzował policjanta i wmówił mu, że „znajduje się wobec pożaru więzienia wznieconego przez zbuntowanych aresztantów". W efekcie funkcjonariusz „w śnie hypnotycznym zastrzelił 3 osoby z pomiędzy widzów", a po przebudzeniu „dostał pomieszania zmysłów". Langnera aresztowano.

(sp)


GONIEC CZĘSTOCHOWSKI

Zgodne budżety!

(—) **Zamordowanie w hypnozie trzech ludzi.** Maksymiljan Langner, hypnotyzer, podczas publicznych doświadczeń z hypnozą w jednym z teatrów, pomiędzy innymi widzami, zahypnotyzował także policjanta, w którego wmówił, że znajduje się wobec pożaru więzienia, wznieconego przez zbuntowanych aresztantów. Policjant w śnie hypnotycznym zastrzelił 3 osoby z pomiędzy widzów.

Langner ocucił ze snu z wielką tylko trudnością policjanta, który po przebudzeniu się i po zorjentowaniu, co uczynił, dostał pomieszania zmysłów. Langnera aresztowano.

Z WOLEJA

J-23 i...



Ryszard Czarnecki

Jednak dziś nie o Hansie Klossie, czyli polskim agencie, który robił Niemców w konia (na indoktrynację ideologiczną, która towarzyszyła „Stawce większej niż życie", chyba byliśmy uodpornieni). Ten numer „Sieci" trafi do państwa 23 marca, a to ważna data w historii sportu. Tego dnia w trzech różnych stuleciach (!) działy się rzeczy wyjątkowe. W 1883 r. (a więc w XIX w.) Manchester City wygrał 11:3 z Lincoln City i było to najwyższe w historii zwycięstwo Obywateli w meczu ligowym. Na świecie bardziej popularny jest inny klub z tego miasta – „eksportowy" Manchester United. Jego mecz na Old Trafford oglądałem na żywo 23 (!) lata temu, 23 (!) kwietnia 2003 r., gdy w ćwierćfinale Ligi Mistrzów wygrał z Realem 4:3 (dwie bramki Beckhama dla MU i trzy bramki Ronaldo dla Królewskich). Jednak lokalsi wolą City. Też oglądałem ich na żywo... 23 (!) lata temu w meczu z Groclinem Grodzisk Wielkopolski, gdy po fantastycznym golu Sebastiana Mili z wolnego Polacy zremisowali 1:1 (bramkę dla gospodarzy zdobył słynny Nicolas Anelka).

23 marca 1980 r. (a więc w XX w.) to data wybuchu bodaj największej afery w historii włoskiego futbolu. Nazwano ją Totonero. Za ustawianie meczów w I i II lidze Italii do Serie B zdegradowano dwa historyczne kluby: AC Milan i rzymskie Lazio, a pięciu innym w obu ligach zabrano pięć punktów na starcie nowego sezonu. Prezesa Milanu dożywotnio zdyskwalifikowano, prezesa klubu Bologna FC zdyskwalifikowano na rok. Dyskwalifikacją od trzech miesięcy do sześciu lat ukarano też 19 piłkarzy.

23 marca 2014 r. (a więc w XXI w.) nasz równie fenomenalny, co sympatyczny (i zdrowo myślący) skoczek narciarski Kamil Stoch zdobył Puchar Świata w skokach. Parę tygodni wcześniej podczas igrzysk olimpijskich w Soczi odegrano mu dwukrotnie (!) najpiękniejszą melodię świata – „Mazurka Dąbrowskiego". Szczególnie słucha się go na rosyjskiej ziemi! Nie ma przypadków, są znaki: pierwsze podium i od razu zwycięstwo w Pucharze Świata nasz olimpijski multimedalista (trzy złota i brąz) odniósł 23 (!) stycznia 2011 r.

Kocham historię sportu i dlatego muszę odnotować, że nasz Robert Lewandowski właśnie pobił rekord Ligi Mistrzów, strzelając gola (a nawet dwa) 41 klubowi w LM. Był to Newcastle United, czyli Sroki. I były to bramki numer 108 i 109 „Lewego" w tych rozgrywkach. Tylko Ronaldo (140) i Messi (129) zdobyli ich więcej...

eprasa.pl 9e5fa2ed64



OD A DO ZYBERTOWICZ

Bez gwarancji

Długoterminowe zadłużenie kraju wymaga uczciwej debaty. Uczciwej, czyli ponad podziałami politycznymi i bez histerycznego pośpiechu

Gdy w czasach niestabilności państwo zaciąga kredyt, który będzie spłacany przez dekady, to jest on czymś dużo więcej niż tylko instrumentem ekonomicznym. To przede wszystkim narzędzie wpływu politycznego i strategicznego. Kto się nim posłuży?

CUKIERKÓW ZABRAKŁO

Wśród dziecięcych wspomnień, które przypadają na koniec lat 70. XX w., jedno mam takie, że nagle półki zaczęły pustoszeć. Dla mnie ważne były te ze słodyczami – były słodycze i potem znikły. Nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe...

Wśród dzieci i dorosłych krążyło wówczas takie powiedzonko: „Chcesz cukierka – idź do Gierka". Czy Donald Tusk podzieli los Gierka?

Gdy dziś słucham, jak premier, strasząc wojną, przedstawia unijną pożyczkę SAFE jako coś, bez czego Polska nie jest w stanie się zbroić, smutek epoki Edwarda Gierka jako żywo staje mi przed oczami.

INWESTYCJA W CIEMNO

Jasne, że zadłużanie za czasów Gierka było czymś innym. Polegało na masowym zaciąganiu kredytów zagranicznych – głównie w zachodnich bankach – w celu uprzemysłowienia kraju i podniesienia poziomu życia w PRL. Jednak dobrej bazy dla rozwoju nie zbudowano.

Spłacanie pożyczek ciągnęło się przez kolejne dekady. W celu skupu długu na rynku wtórnym w 1989 r. powołano Fundusz Obsługi Zadłużenia Zagranicznego (FOZZ) – słynną instytucję, która zamiast poprawić sytuację, zyskała miano matki afer III RP.

Pewnie nie da się prosto porównywać tamtych pożyczek z programem SAFE, ale ze względu na rozłożenie spłat na dziesiątki lat trudno nie pytać, jak to wszystko się dla nas skończy. A pieniądze mają być dostępne i wydawane do końca 2030 r. Jaki sprzęt wojskowy można tak szybko kupić i jeszcze mieć pewność, że raz-dwa się nie zestarzeje? W czasach przyspieszenia technologicznego można nakupić czegoś, co za chwilę będzie np. niekompatybilne z jakimiś nowymi systemami cyfrowymi. Każdy z nas wie, jak szybko starzeje się choćby elektronika kuchenna.

Ale o wiele ważniejsze jest coś innego. Na razie mamy w Polsce dualizm prawny, któremu towarzyszy chaos instytucjonalny. Jak w takich warunkach ma wyglądać uczciwa obsługa kredytów na zbrojenia? Z jak dużą ingerencją podmiotów międzynarodowych w nasze sprawy będzie się to wiązało? A co, jeśli unijnym grupom interesu nie spodoba się wynik wyborów w 2027 r. i Unia Europejska zastosuje mechanizm „głodzenia finansowego", po który sięgnęła, „przywracając praworządność"? Unia ze swoimi podwójnymi standardami nie jest gwarantem ani bezpieczeństwa, ani uczciwości.

CO NAGLE, TO PO DIABLE

Długoterminowe zadłużenie kraju wymaga uczciwej debaty. Uczciwej, czyli ponad podziałami politycznymi i bez histerycznego pośpiechu.

Żyjemy w czasach wielkiej niepewności. Mówi się o epoce „czarnych łabędzi", czyli zdarzeń, które w teorii są bardzo mało prawdopodobne. Jakie czarne łabędzie jeszcze nas zaskoczą i jak wpłynie to na spłatę długów? Polska jest w poważnym kryzysie demograficznym – kto w przyszłości będzie pracował na spłatę zobowiązań? Za sprawą technologii cyfrowych mamy dynamikę, za którą często nie nadążają przepisy prawa. Czy nadążą za nowymi kontekstami, w których długi będzie trzeba spłacać?

Donald Tusk, forsując jak najszybsze przyjęcie programu SAFE, podkreśla, że „nie ma czasu na kombinacje". To nieuczciwe i prymitywne. Tak samo jak nieuczciwa wobec obywateli jest odmowa przez postkomunistę marszałka Sejmu procedowania projektu ustawy zgłoszonego przez prezydenta RP. Obowiązkiem polityków pozostaje analiza ryzyka i rozważanie różnych dróg zapewnienia bezpieczeństwa Polsce.

Nie wierzę obecnemu premierowi. W okresie swych poprzednich rządów wieszczył, że zrobi z Polski drugą Irlandię (w początkach XXI w. Irlandia była nazywana „celtyckim tygrysem" i stanowiła przykład udanej transformacji gospodarczej). I co? A na początku obecnego roku, powołując się na swego ministra finansów, oświadczył, że za parę lat Polska we wzroście PKB na mieszkańca przegoni nawet Wielką Brytanię. Przyznam, że gdy zapowiada kolejne „plany", to w tyle głowy słyszę: „Chłopie, ty nawet swoich studniowych »konkretów« przez ponad dwa lata nie dowiozłeś!".

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 9e5fa2ed64

O kulisach polityki
WIEMY WSZYSTKO



Subskrypcja **SIECI**

wPolityce.pl Premium +

już od

7,90 zł

WIESZ PIERWSZY:
Pełne e-wydania tygodnika „Sieci”
już w niedzielę o 18:00.
Zanim inni omówią przekaz, Ty znasz scenariusz.

WIDZISZ WIĘCEJ:
Nielimitowany dostęp do zamkniętych artykułów na wPolityce.pl Premium+. Dziennikarstwo bez cenzury i politycznej poprawności.

ROZUMIESZ KONTEKST:
Dostęp do pełnego archiwum wydań oraz unikalnych e-booków „Sieci Extra”.

WSPIERASZ NIEZALEŻNOŚĆ:
Twoja subskrypcja to potężny oręż i cegiełka do budowy prawdziwie wolnych mediów w Polsce.

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

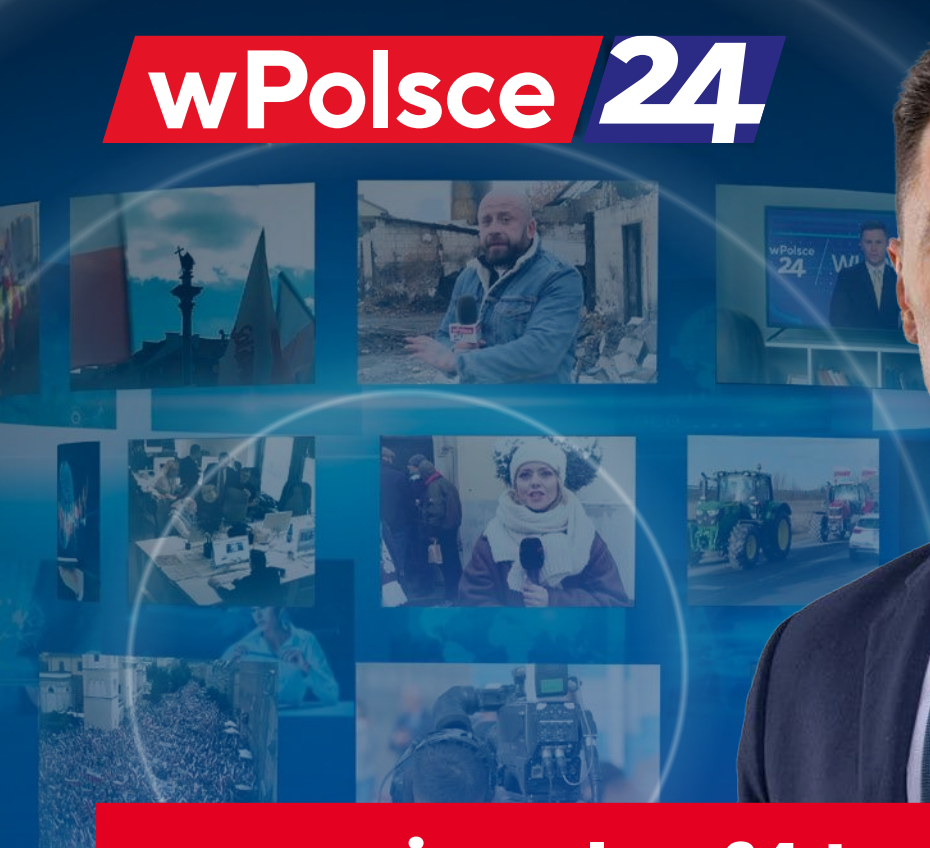
ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 9e5fa2ed64

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce24





Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 9e5...zed...